



Agnieszka Janiszewska

AŻ PO HORYZONT

TOM II

Przeszłość kończy się dopiero wtedy,
gdy ją zaakceptujemy.

NOVAE RES

Agnieszka Janiszewska

AŻ PO HORYZONT

Tom II



NOVAE RES

Rozdział 1

W maju osiemdziesiątego szóstego roku Michał Reczyński, świeżo upieczony maturzysta, oznajmił, że zamierza zdawać egzamin wstępny do Instytutu Historii na Uniwersytecie Warszawskim. Ani dla Weroniki, ani dla Jarka nie było to zaskoczeniem – syn już wcześniej dawał im do zrozumienia, że bierze to pod uwagę. Weronika nie protestowała, ale też nie wpadła w entuzjazm. „Rób, jak uważasz – oznajmiła. – To twoje życie. Jak wybierzesz, tak będziesz miał”.

Wiedziała, że od lat pasjonował się historią, a kolejne wakacyjne wyprawy z ojcem tylko w nim tę pasję pogłębiały. Dużo czytał, dużo wiedział, świetnie się uczył – była z niego dumna. I choć w głębi duszy żywiła obawy, czy ta pasja zapewni synowi dobry start, czy nie ograniczy jego perspektyw zawodowych, postanowiła nie zatruwać tym głowy ani jemu, ani sobie. Nie będzie mu odbierała entuzjazmu i radości studiowania. A co będzie później, to się jeszcze zobaczy, stwierdziła. Nie dziwiła się też, gdy z kolei jej rodzice podeszli do sprawy z dużo większym sceptycyzmem. Wprawdzie nie zaprotestowali ani nie wyrazili zbyt otwarcie niezadowolenia – lata większego dystansu, jaki narzuciła im Weronika, sprawiły, że oboje nie ingerowali już w jej życie – niemniej ojciec westchnął znacząco i z troską popatrzył na wnuka.

– Zastanawiałeś się, co będziesz potem robił? Gdzie będziesz pracował? Jak zarobisz na utrzymanie swoje i przyszłej rodziny?

– Ma czas, by o tym myśleć – odpowiedziała zamiast syna, bo choć Reczyński nie zadał swoich pytań napastliwym tonem, natychmiast poczuła niepokój. Nie tyle o przyszłość Michała, co z obawy, czy ojciec ponownie nie zamierza ingerować w jej życie.

Chłopak jednak przyjął uwagę dziadka z humorem, co rozładowało atmosferę.

– Poradzę sobie, dziadku – oznajmił wesoło. – A poza tym naprawdę jeszcze nie zamierzam się żenić, nie mam takich planów.

– Twoja matka też tak przed laty mówiła – mruknął Reczyński. – A potem...

– Tato – syknęła Weronika, ale chłopak tylko się roześmiał.

– Będzie dobrze, nie martw się. – Poklepał dziadka po dłoni.

Był bardzo podobny do Jarka, Weronika miała nawet wrażenie, że z każdym rokiem coraz bardziej. Była też pewna, że jej ojciec także to dostrzegał, jak zresztą każdy, kto znał jej byłego męża. Podobieństwo to nie dotyczyło wyłącznie koloru oczu, włosów, sylwetki, lecz także sposobu bycia, spojrzenia i tego wiecznego optymizmu. Wystarczyło na przykład, że powiedział: „wszystko będzie dobrze”, by natychmiast stawała jej przed oczami własna młodość. A konkretnie ten dzień przed wielu laty, gdy w warszawskim Ogrodzie Botanicznym zagadnął ją młody chłopak, który także był przekonany, że jeśli tylko będą zawsze trzymali się razem, wszystko im się uda, pokonają każdą przeszkodę. Myśląc o tamtych dniach i nocach, wciąż nie mogła się nadziwić, że niebo w tych wspomnieniach było zawsze pogodne, rozjaśnione słońcem lub gwiazdami. Cumulusy, a potem jeszcze groźniejsze chmury pojawiły się dopiero wtedy, gdy ona

przestała cieszyć się tym słońcem i gwiazdami, a Jarek w pewnym momencie zaprzestał walki, by ratować ich miłość.

Nie ma sensu o tym myśleć, upominała samą siebie. Było, minęło, nie wróci. A jednak, gdy patrzyła na Michała, gdy go słuchała, nie potrafiła powstrzymać tych wspomnień. Nawet studia wybrał te same, co ojciec.

Była pewna, że Jarek popierał wybór syna – w tej jednak kwestii spotkało ją spore zaskoczenie. Jarek był wprawdzie dumny z syna i z wyników jego matury, niemniej do jego planów na przyszłość podszedł niemal z tym samym sceptycyzmem, co dawny teść. Przynajmniej ten jeden raz zgadzali się ze sobą, choć nie mieli (i nie szukali) okazji do osobistej rozmowy.

– Namawiałem go na studia prawnicze. To daje o niebo lepsze perspektywy, otwiera więcej możliwości – westchnął Jarek, gdy oboje wraz z synami wybrali się na kawę i lody, aby uczcić maturę Michała. Na chwilę zostali sami przy stoliku, bowiem w tej knajpce zamówienie trzeba było złożyć przy ladzie i zajęli się tym chłopcy. Na ogół nie zdarzały im się podobne okazje, od rozwodu nigdzie razem nie wychodzili, a podczas krótkich spotkań w domu zawsze towarzyszył im któryś z synów. Do tej pory zresztą ich rozmowy ograniczały się do kwestii czysto formalnych.

– Nie wierzę, że to słyszę – parsknęła Weronika. – O ile sobie przypominam, twój tata przed laty miał podobne obiekcje w sprawie twoich wyborów. – Wolą już nie dodawać, jaką opinię na temat przyszłego zięcia miał w przeszłości jej własny ojciec. Tak czy inaczej, to, co teraz powiedziała, było prawdą. W przeszłości jej teść także obawiał się, w jaki sposób starszy syn zdoła utrzymać rodzinę. Doskonale zapamiętała jego uwagi, że czym innym jest bujanie w obłokach, gdy nie ma się jeszcze poważnych życiowych zobowiązań, a czym innym proza życia. Jarek wówczas śmiał się z tych przewidywań, a ona jeszcze wtedy wierzyła, że

szara codzienność akurat ich obojga z pewnością nie dopadnie. Boże, jacy byli wtedy młodzi, głupi i pełni nadziei na przyszłość!

Jarek najwidoczniej myślał o tym samym, bo uśmiechnął się smętnie i nieznacznie pokiwał głową. Nic jednak nie odpowiedział; może dlatego, że nie widział sensu w komentowaniu jej słów. A poza tym do stolika już zbliżali się obaj synowie, którzy zdążyli złożyć zamówienie.

Słuchała potem jednym uchem ich rozmowy, a nawet od czasu do czasu sama wtrącała jakiś niezobowiązujący komentarz, ale jednocześnie miała wrażenie, jakby jakaś obręcz zaciskała się jej na gardle.

Kiedy patrzyła na swoich dorosłych już właściwie synów i ich ojca, przypomniła sobie ich ostatnie wspólne wyjście. Stało jej ono przed oczami tak wyraźnie, jakby to było wczoraj, a nie kilkanaście lat temu. Wybrali się wtedy do ZOO, a potem na lody, choć nie do kawiarni, na którą nie mogli sobie finansowo pozwolić. Lody kupili u ulicznego sprzedawcy, śmietankowe i czekoladowe. Chłopcy mieli wtedy odpowiednio po pięć i cztery lata. Pamiętała też, że był to dzień powszedni, choć już nie mogła sobie przypomnieć, który konkretnie. Na pewno jednak nie sobota po południu i nie niedziela – te bowiem zawsze spędzała w Jaktorowie. Jarek rzadko tam przyjeżdżał, teściowie zresztą nie nalegali na jego odwiedziny. Ona, szczerze mówiąc, w pewnym momencie także tego zaprzestała – atmosfera sztucznej, wymuszonej uprzejmości między nim a jej rodzicami stała się z czasem trudna do zniesienia. W końcu uświadomiła sobie, że bez męża czuła się u rodziców swobodniej. To spostrzeżenie powinno ją być zaalarmować, przyjęła je jednak ze spokojem, co najwyżej z rezygnacją.

Pochłonięta bez reszty wspomnieniami i niewesołymi refleksjami, prawie wyłączyła się z rozmowy przy kawiarnianym stoliku. Drgnęła, gdy nagle wpadły jej w ucho słowa: „dziadek” i „Jaktorowo”. Lecz zanim zdolała wrócić do rzeczywistości i połapać się, o czym mowa, usłyszała, że

Michał zaczął z kolei opowiadać o jakichś znaleziskach na poddaszu domu ciotki Rozalii w Komorowie.

– Pamiętasz tę starą, wielką skrzynię? Tę przykrytą dywanami. Tam to dopiero były skarby, sam tak wtedy mówiłeś.

– Grzebaliście w rzeczach ciotki na strychu? Nigdy mi nie powiedzieliście, co was tam tak fascynowało – zauważyła z żartobliwą przyganą w głosie. Żartobliwą, bo przecież dobrze wiedziała, że Ostrowska sama im na to pozwoliła.

„Niech czują się u mnie swobodnie” – tak to mniej więcej ujęła. A zatem czuli się coraz swobodniej, choć ciotka dziwiła się, dlaczego tak bardzo fascynował ich akurat stary, zagracony strych.

– Jurek, przy wszystkich swoich zaletach, miał tę wadę, że nie mógł się z niczym rozstać. Każda rzecz mu o czymś lub o kimś przypominała, a jak już nie miała żadnego zastosowania w codziennym użyciu, lądowała na strychu – oznajmiła z rezygnacją w głosie. – Po jego śmierci postanowiłam, że zrobię tam wreszcie porządek. Ale szybko dałam za wygraną. Skończyło się na wyrzuceniu starych, pustych pudeł i szmat, które gromadziły się tam chyba od początku istnienia tego domu. Tych wszystkich komód i skrzyń już nie ruszałam. Za dużo z tym ambarasu. Nie pojmuję tylko, jak dzieci mogą spędzać czas w tej pełnej kurzu rupieciarni zamiast korzystać ze świeżego powietrza na zewnątrz.

Oczywiście ze świeżego powietrza także korzystali, ogród jednak nie fascynował ich tak jak strych. Zwłaszcza zaś podczas wizyt składanych jesienią i zimą nie sposób było zachęcić chłopaków, by zajęli się czym innym. Dopiero w licealnych czasach już sobie odpuścili tę rupieciarnię na poddaszu.

– Strych był fajniejszy od domu i ogrodu – oznajmił Michał. – Bo prawdę mówiąc, bez tego poddasza nie bardzo było tam co robić.

– Myślałam, że lubiliście jeździć ze mną albo z wujem do ciotki – zauważyła ze zdziwieniem Weronika. Przy czym zdumiało ją nie tyle wyznanie syna, ile własna niedomyślność. Wówczas właściwie z góry zakładała, że dobrze się tam czuli. Jak zwykle nie przyjmowała wtedy do wiadomości tego, co teraz uświadamiali jej dorośli już chłopcy.

– Ciocia jest w porządku. Ale w sąsiedztwie nie mieliśmy żadnych kumpli. Nie mogliśmy przecież bez sensu tylko biegać godzinami dookoła domu, gdy wy ze sobą gadałyście – odpowiedział Michał. – Ale na szczęście był ten strych. I od niego wszystko się zaczęło... – dodał z szelmowskim błyskiem w oku.

– Co się zaczęło? – Była pewna, że zaraz usłyszy o kolejnej psocie, którą udało im się wówczas przed nią zataić. Dopiero po latach ze śmiechem przyznawali się do swoich psikusów. Czyżby i na strychu coś zmalowali? Nie można było tego wykluczyć, mieli idealne warunki, przecież Rozalia prawie nigdy tam nie zaglądała.

– Mów za siebie, w moim przypadku nic się nie zaczęło – odbił piłeczkę Piotrek.

– Ale co się zaczęło? Co tam zmajstrowaliście? – powtórzyła.

– Moja przygoda z historią. Tam złapałem bakcyła – odparł z komiczną powagą starszy syn. Żartobliwy ton był jednak tylko pozorny; Weronika natychmiast odgadła, że mówił poważnie.

– Przede wszystkim nałykaliście się tam kurzu. Do dziś nie pojmuję, jak mogłam na to pozwalać.

Ale oczywiście pojmowała i dobrze pamiętała, dlaczego nie zabroniła chłopcom tych zabaw. Dzięki temu miała kilka godzin spokoju. Bez tego strychu chłopcy domagaliby się, by zorganizowała im jakoś czas w komorowskim domu i ogrodzie. Czyli jednak, mniej lub bardziej

świadomie, nawet wtedy dopuszczała do siebie myśl, że jej synowie nie zawsze odnajdywali się w domu Ostrowskiej.

– Nie umarliśmy od tego. A pasja historyka nieraz rodzi się i rozwija w kurzu. Niekoniecznie w przestronnej czytelnicy.

– Mów za siebie. Ja nie zostałem historykiem – przypomniał mu młodszy brat.

– Mam zrozumieć, że w tych szufladach i skrzyniach znaleźliście coś ciekawego? – spytała ponownie Weronika.

– On tak twierdzi. – Piotrek wzruszył ramionami, wskazując na brata.

– Ty jesteś innego zdania?

– Jakieś dwa stare albumy z pożółkłymi zdjęciami – skrzywił się chłopak. – Kartki ledwie się trzymały i śmierdziały stęchlizną. Ale on był oczywiście zachwycony... – Ponownie wskazał na Michała.

– Niektóre z tych zdjęć zostały zrobione jeszcze w dziewiętnastym wieku – odparł z przejęciem Michał. Oczy mu się zaświeciły, twarz pojaśniała. – Były fascynujące.

– Zwłaszcza nieboszczycy w otwartych trumnach. Boże, spać potem w nocy nie mogłem – wstrząsnął się Piotrek i wyglądało na to, że nie była to wyłącznie zwykła kpina. – Nawet teraz, gdy to sobie przypomniałem...

– Takie były wtedy zwyczaje. Robiono zdjęcia zmarłym i traktowano je jak cenną pamiątkę rodzinną. Zresztą zwyczaj ten przetrwał do dwudziestego wieku, nawet w dzisiejszych czasach...

– Chyba jednak nie dam rady tego zjeść. – Piotr teatralnym gestem odsunął talerzyk z ciastem. Tym razem także nie żartował.

– Co cię tak brzydzi? Rozmowa o zmarłych i trumnach? – wyszczerzył się Michał. Zaraz jednak spoważniał i wzruszył ramionami. – Kiedyś ludzie mieli inne podejście do śmierci. Nie unikali tego tematu, mieli świadomość, że jest integralną częścią życia. Czymś naturalnym, od czego się nie

ucieknij i do czego w miarę możliwości trzeba się przygotować. Dziś większość ludzi stara się o tym nie myśleć, jakby to mogło uchronić ich przed nieuchronnym. Jakby potem niczego już nie było. Po prostu koniec, przed którym trzeba się bronić rękami i nogami. Tak jak przed widokiem zmarłych.

– Ty, może jednak powinieneś zostać księdzem, a nie historykiem? – parsknął Piotrek. – Gadasz jak wikary w Zaduszki.

– Co to za fotografie? Rozpoznaliście kogoś? – spytała Weronika. Zaraz jednak pożałowała swoich pytań. Najlepiej zmienić temat na jakiś pogodniejszy. Naprędce zaczęła szukać takiego w głowie.

Zerknęła na Jarka, w nadziei, że może on przejmie inicjatywę, lecz milczał zadumany, jakby słowa syna go zaczarowały. Ją do pewnego stopnia chyba także, skoro nic nie przychodziło jej na myśl. Zamiast tego oczami wyobraźni zobaczyła te fotografie. Brr, nic dziwnego, że mały wówczas Piotrek tak się potem bał. Dlaczego jednak wtedy, przed laty, o niczym jej nie powiedział?

– Ja miałem rozpoznać nieboszczyków w trumnie? – usłyszała głos młodszego syna i zadrżała, jakby uderzyło w nią lodowate powietrze. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że chłopak odpowiedział na jej pytanie.

– Ja też nikogo nie rozpoznałem – odparł spokojnie Michał. – To pewnie rodzina wuja Jerzego, tak mi się zdaje. Może też rodzice ciotki, ale nie wiem. Nie znałem ani jednych, ani drugich.

– Oczywiście – rzekła pospiesznie Weronika. – Niepotrzebnie pytałam.

– Nie mówiliśmy o tych albumach cioci Rozalii. Sam nie wiem dlaczego. Po prostu je tam zostawiliśmy. Nawet myślałem, czy ich po prostu nie zabrać, ale...

– Jak to: zabrać? – oburzyła się. – Ukraść?!

Michał zaczerwienił się po uszy i spuścił głowę. Weronika natychmiast pożałowała tych słów.

– Ciotka i tak o nich nie pamięta. Co za różnica? – bąknął.

– Powinieneś ją jednak najpierw zapytać – odezwał się wreszcie Jarek.

– Wiesz, jacy są starsi ludzie... Zaraz zaczęłyby snuć te swoje opowieści, a potem wzdychać, jak bardzo przywiązana jest do tych pamiątek, choć leżały na zatęchłym strychu – mruknął niechętnie Michał. – Ale dobrze, kiedyś zapytam. Bo może przydadzą mi się do jakichś badań, pracy magisterskiej...

– Jeszcze nie zacząłeś studiów, a już myślisz o magisterce? – roześmiał się Jarek, a Piotrek mu zawtórował.

Tylko Weronika się skrzywiła.

– Nie chcę w domu żadnych starych, zatęchłych albumów. Przywleciesz mi jakieś mikroby albo bakterie.

– Mamo, wyluzuj! Nie otworzyłem grobowca Tutanchamona, tylko pudełko na strychu ciotki Rozalii.

– I nawet gdyby były tam jakieś mikroby, to jednak nas nie zabiły – dorzucił Piotrek. – Ciotka pozwoliła nam zabrać kilka starych książek – wyjaśnił, odpowiadając na pytające spojrzenie matki.

– Jakich starych książek? – nastroszyła się.

– Tylko kilka. Piękne, przedwojenne wydania! Prawdziwy zabytek! Niektórych tytułów do tej pory nie wznowiono. Ale ciotka pozwoliła nam je zabrać – powtórzył pospiesznie Michał. – Niczego nie zwędziliśmy, możesz być spokojna. Machnęła tylko ręką. „Możecie zabrać – powiedziała – leżały nie wiadomo ile czasu, wieki tam nie zaglądałam. Weźcie je, inaczej zmarnują się na tym strychu albo, nie daj Boże, myszy się do nich dobiorą”.

– Zupełnie sobie nie przypominam, abyśmy kiedykolwiek wracali z Komorowa z jakimiś książkami. – Nadal przyglądała im się podejrzliwie.

– To było dobrych parę lat temu. Chodziliśmy jeszcze do podstawówki, jakoś tak do piątej, szóstej klasy. – Piotrek wzruszył ramionami.

– Tamtego dnia pojechaliśmy do Komorowa tylko z wujem Oskarem, jego samochodem. Ty byłaś już umówiona z jedną ze znajomych do kina – przypomniał sobie Michał.

– I nie pokazaliście mi potem tych książek?

– Pokazaliśmy. Ale byłaś czymś zajęta i chyba rzeczywiście nie zwróciłaś na nie uwagi. – Starszy z chłopców popatrzył niepewnie na młodszego. Obaj wymienili porozumiewawcze spojrzenia z ojcem. Weronika domyśliła się, że jej coraz bardziej natarczywe pytania i podejrzliwy ton, jakim je zadawała, musiały ich zastanowić i zaskoczyć.

Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co mnie napadło. Gotowi jeszcze pomyśleć, że wpadam w paranoję albo w histerię, i to bez powodu, przyznała po chwili w duchu i nawet poczuła się nieswojo. Czyżby upiorna opowieść chłopaków o zdjęciach zmarłych w trumnach aż tak rozstroiła jej nerwy? Na myśl o tym omal nie parsknęła głupim śmiechem.

– Chętnie zobaczyłabym je jeszcze raz – odparła, głównie po to, aby przerwać ciszę, która zapadła. W gruncie rzeczy była przecież pewna, że najprawdopodobniej nie wrócą już do tego tematu.

Młodszy z synów zresztą chyba czytał jej w myślach, bo zabawnie przewrócił oczami i stwierdził od niechcienia, że książki od ciotki leżą w biblioteczce pod stertą różnych starych podręczników, które już dawno powinno było się sprzedać na różnych szkolnych giełdach albo wynieść do antykwariatów.

– Chyba nie zamierzałaś sprzedać tych książek z Komorowa? – obruszył się Michał.

– Ty też do nich od lat nie zajrzałeś – odbił piłeczkę Piotrek. – W sumie spotkał je nie lepszy los niż na strychu u ciotki. O ile nie gorszy. Na co komu książki, które już się dawno przeczytało?

– Żeby je mieć. Ale taki abnegat książkowy jak ty nigdy tego nie pojmie.

– Chyba się nie pobijecie? – zauważył komicznie Jarek, rozładowując atmosferę.

Obaj chłopcy uśmiechnęli się półgębkiem i skoncentrowali uwagę na poczęstunku.

– Ale tamtego notesu ciotka jednak nie pozwoliła nam zabrać – westchnął po chwili Michał. W westchnieniu tym można było usłyszeć autentyczny żal.

– Jaki znowu notes? – skrzywiła się Weronika. – Mało to innych śmieci ciągle gromadziło się w waszych pokojach? Gdyby nie ja, utonęlibyście w tym bałaganie.

– Też tak mówiłem – skinął z udaną powagą Piotrek – ale on był innego zdania. – Po raz kolejny wskazał na brata, lecz tym razem sugestywnie zakręcił palcem po czole.

Weronika wzruszyła ramionami i sięgnęła po filiżankę z kawą. Niestety napój zdążył już wystygnąć. Obejrzała się na kelnerkę, by poprosić o kolejną porcję, ale zanim zdążyła to zrobić, odezwał się znowu Michał.

– Ale to był jakiś pamiętnik albo coś w tym rodzaju... W każdym razie osobiste zapiski.

– Zapiski? – Zrezygnowała z przywołania kelnerki i popatrzyła uważniej na syna. – Może wuja Jerzego? Ciotka Rozalia wspominała, że był aktywnym lokalnym społecznikiem, a w czasie wojny działał w ruchu oporu. To faktycznie mogłoby cię zainteresować. Porozmawiam z ciotką, może zgodziłaby się pożyczyć...

– Raczej nie. – Michał zgrabnie wszedł jej w słowo. – Chyba nie była zadowolona, gdy zapytałem ją o te zapiski. „Tam nie ma nic ciekawego dla ciebie” – powiedziała. Oczywiście nie przyznałem się, że i tak to wcześniej zdążyłem przejrzeć.

– Myślisz, że się nie domyśliła? – skrzywił się brat.

– Nie powinienesz czytać niczyich zapisków bez zgody właściciela – zdenerwowała się ponownie Weronika.

Nie przypominała sobie, by Rozalia wspominała jej kiedyś o podobnym incydencie, nigdy też nie skarżyła się, że chłopcy sięgali po coś, co nie było dla nich przeznaczone. Co nie zmienia faktu, że obaj byli w przeszłości dość ciekawskimi dzieciakami i pewnie nie raz przekroczyli granice, myszkujejąc po kątach Komorowa i Jaktorowa.

– Historycy na ogół tak robią – zażartował ponownie Jarek, aby przywrócić dobry nastrój.

Weronika nie podchwyciła jego tonu, a nawet rzuciła mu zirytowane spojrzenie.

– Wiem, że nie powinienem był tego czytać bez pozwolenia ciotki – pośpieszył z wyjaśnieniami Michał. Spojrzenie, które matka rzuciła ojcu, nie uszło jego uwagi i najwyraźniej zdenerwowało go, podobnie jak wtedy, gdy był małym dzieckiem, toteż Weronika natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. – Ale tam były różne ciekawe informacje, o których nie miałem do tej pory pojęcia – kontynuował. – Na przykład o dziadku i babci. O pradziadkach. Ale nie tylko... Różne takie ciekawostki... – Przez chwilę się zastanawiał, po czym wzruszył ramionami. – Czasami trochę dziwne... sprawy. To na pewno nie były zapiski wuja Jerzego.

Weronika odniosła wrażenie, jakby wokół niej pociemniało. Jakby jakiś cień padł na ich stół. Zrobiło się cicho. Było tak surrealistycznie, że aż

zadrżała. Wrażenie to zniknęło niemal tak szybko, jak się pojawiło. Niemniej potrzebowała dłuższej chwili, by się otrząsnąć.

– Nie miałam pojęcia, że Rozalia pisała pamiętnik – uśmiechnęła się blado. – Nawet słowem się o tym nie zająknęła.

Choć z drugiej strony, czy musiała się z tego zwierzać? Mimo tego spostrzeżenia Weronika ponownie poczuła chłód na całym ciele.

– To nie były także jej zapiski – odparł Michał.

– A zatem czyje? – spytała zmienionym głosem. Tym razem uznała, że ma prawo do niepokoju. Kto był autorem wspomnień o jej rodzicach i dziadkach, a także, jak ujął to Michał, różnych ciekawostek i dziwnych spraw? Kto miał taką wiedzę na temat jej rodziny?

I nagle pojęła, że chyba zna odpowiedź. Wyjaśnienie syna było jedynie potwierdzeniem jej domysłu.

– Siostry dziadka Jana. – Piotrka najwyraźniej zastanowiło spojrzenie matki, bo na wszelki wypadek dodał: – Tej, która przed laty wyjechała z Polski.

Nie wierzę, pomyślała Weronika. Jak to możliwe? Niczego nie rozumiała.

Jakim cudem te zapiski, pamiętnik czy cokolwiek to było, znalazło się na strychu w Komorowie? Tam, gdzie Rozalia przechowywała stare książki, stare graty i inne szpargały. Czy ciotka nie zwróciła uwagi na ten notes? Zapomniała o nim i dopiero odkrycie chłopaków o wszystkim jej przypomniało? Raczej tak, skoro – wedle relacji Michała – najwyraźniej zdenerwowała się, gdy pokazał jej te zapiski. To było najbardziej racjonalne wytłumaczenie całej sytuacji, choć nie znaczy, że prawdziwe. Zwłaszcza że cała ta historia sprawiała wrażenie mało sensownej.

– Mówiliście o tym dziadkowi? – spytała, z trudem panując nad drżeniem w głosie. – To znaczy o tych zapiskach...?

Synowie wymienili między sobą krótkie spojrzenia. Odniosła wrażenie, że spochmurnieli.

– A po co? – wtrącił się Piotrek. – Nie było sensu tego robić. Skoro dziadek nigdy nie chciał opowiadać o swojej siostrze... Babcia zresztą także... Kurczę, niepotrzebnie wspomniałeś mamie o tym notesie. Już wtedy obiecaliśmy, że nie powiemy o tym nikomu. – Ostatnie, pełne pretensji słowa, były skierowane do brata.

– No, bez przesady. Chyba wszyscy lubimy takie zagadki – zaprotestował Jarek. Widać było, że wciąż dokładał starań, by przywrócić wszystkim dobre humory.

– Nie wszyscy tu obecni są historykami. – Piotrek był nieprzejednany. Uchylił się przed kuksańcem ze strony ojca i teatralnie przewrócił oczami. – Ja zaczynam się już nudzić. Cholerni nudziarze. Zmieniam towarzystwo.

– Dobra, w takim razie zmiana tematu – zakomenderował Michał. Wyglądało na to, że podchwycił ton ojca. Nie ulegało też wątpliwości, że zależało mu na jak najlepszej atmosferze tego spotkania. Skoro znowu, tak jak przed laty, siedzieli razem przy stole, nawet jeśli był to tylko stolik kawiarniany. – Może jakieś wino? Kto stawia? – dodał już wesoło.

– Tak, dość już smęcenia o starych sztambuchach i tym podobnych – podchwycił Piotrek. – Bo jak znowu zaczniecie, to przysięgam, że wstanę i odejdę w siną dal. Nie żartuję. No to... jak będzie z tym winem?

Rozdział 2

Na Staszka zwróciłam uwagę dopiero w czerwcu czterdziestego pierwszego roku. Był drużbą na ślubie Janka i Izy. Pamiętam, jak bardzo zdumiała mnie jego obecność na ceremonii i fakt, że pełnił tam tak istotną funkcję, przewidzianą zwykle dla krewnego lub bliskiego przyjaciela. Oczywiście wiedziałam, że przed wojną Janek się z nim przyjaźnił, ale byłam pewna, że to należy już do przeszłości. Że z chwilą zerwania z Jadzią Mikołajską Janek automatycznie przestał kumplować się z jej kuzynem. Albo Staszek z Jankiem – to nawet wydało mi się znacznie bardziej prawdopodobne jako logiczna konsekwencja tego, co zrobił Janek. A przynajmniej ja tak uważałam. Dlatego gdy zobaczyłam go w kościele, w pierwszej chwili osłupiałam.

Mam jakieś zwidy, pomyślałam, chyba wariuję z tego wszystkiego.

Decyzję brata o ślubie z Izą przyjął z ponurą rezygnacją. Wówczas jeszcze z trudem akceptowałam ją w roli mojej bratowej; zrobiłam to dopiero, gdy urodziła Weronikę. Wybierając się do kościoła na ślub, solennie sobie obiecałam, że przybiorę tam pełną rezerwy i chłodu, bardzo oficjalną postawę. Rodzice, którzy także nie skakali z radości, starali się przynajmniej robić dobrą minę; ja nie zamierzałam. Jednak wszystkie moje postanowienia spaliły na panewce, gdy zobaczyłam Staszka. Nie w głowie

mi były wystudiowane gesty, chłód i dąsy. Patrzyłam tylko na niego. I nic a nic nie pojmowałam.

Dlatego, gdy po ceremonii podszedł i przywitał się ze mną, od razu, bez żadnych wstępów i ceregieli zadałam mu to pytanie. Co tu robi? I dopiero potem uświadomiłam sobie, jak głupio zabrzmiało.

Staszek oczywiście się roześmiał. Pod tym względem (zresztą nie tylko pod tym) był bardzo podobny do Jadzi.

– Jestem družbą. Nie zauważyłaś? – wyszczerzył się od ucha do ucha.

Zaczerwieniłam się z zakłopotania i zdenerwowania.

– Widzę, ale... – Ponownie postanowiłam zagrać w otwarte karty. – Co z Jadzią?

– No... Jadzia, jak widzisz, nie przyszła – zaśmiał się jak z najlepszego dowcipu. – A poza tym ma się całkiem dobrze, oczywiście na tyle, na ile w dzisiejszych czasach to w ogóle możliwe.

Wyraźnie się ze mną przekomarzał. Nie miałam jednak zamiaru dać za wygraną. Co to, to nie.

– Jesteś jej bliskim kuzynem – wykrztusiłam z oburzeniem.

– I przyjacielem Janka.

– Przyjacielem? – Nie wierzyłam własnym uszom. – W dalszym ciągu? Po tym, co się stało?

Wymownie wskazałam spojrzeniem na parę nowożeńców odbierających życzenia.

– A co niby takiego straszego się stało? – Poruszył brwiami. – Co takiego, co nie zdarza się milionom ludzi na świecie?

Byłabym podjęła tę rękawicę, gdybym w tej samej chwili nie przypomniała sobie rozmowy z Jadzią. Jeszcze przed wojną, zaraz po jej rozstaniu z Jankiem. Jadzia nie była zrozpaczona i nie miała żalu do

mojego brata. Odniosła się do całej sprawy z zadziwiającą dezynwolturą. Tak jakby cała kwestia w gruncie rzeczy mało ją obeszła, może nawet wcale. A jeśli już okazała zniecierpliwienie, to jedynie wobec moich natarczywych pytań i lamentów. Lada moment takie samo zniecierpliwienie i irytację zacznie okazywać jej stryjeczny brat. Wniosek był jasny i oczywisty – jedyną osobą odczuwającą autentyczny smutek z powodu tego, co się stało, byłam ja. Robiłam z siebie idiotkę.

Wzięłam się w garść. Przyglądałam piórka i przybrałam tak uprzejmy wyraz twarzy, na jaki zdołałam się zdobyć.

– Co ona teraz porabia? To znaczy Jadzia? – spytałam takim tonem, jakby mnie to niewiele obchodziło. – Dawno jej nie widziałam.

Dawno, bo od naszej ostatniej rozmowy minęły dwa lata. Potrzebowałam czasu, aby przywyknąć do nowej sytuacji, ale kilka tygodni po moim ostatnim spotkaniu z Jadzią wybuchła wojna i całe nasze dotychczasowe życie stanęło na głowie.

– Jadzia wyszła za mąż. Rok temu. Niedawno urodziła córeczkę – odparł, a ja ponownie osłupiałam.

Roześmiał się, klepnął mnie po ramieniu i ruszył witać się z pozostałymi gośćmi. Zostawił mnie z prawdziwym mętlikiem w głowie, który towarzyszył mi podczas skromnego obiadu weselnego zorganizowanego w Bożanowie. Ciotka Janka, która była współwłaścicielką majątku, z ciężkim sercem zgodziła się na to przyjęcie, i choć wyraźnie dystansowała się od całej reszty weselników, wznieciła w moim sercu płomyczek sympatii. Podobało mi się, że z nieskrywaną dezaprobatą przyglądała się pannie młodej.

Obserwowałam Janka i Staszka. Przyjaciele, prawdziwa przyjaźń... – dumalam. I zaraz naszła mnie gorzka refleksja, że ja nigdy czegoś podobnego nie zaznałam. Nie zaprzyjaźniłam się z żadnym z dzieci z naszej kamienicy, na co oczywiście złożyło się bardzo wiele powodów. Nie

zbliżyłam się też do żadnej ze szkolnych koleżanek – tu jednak doszła jeszcze jedna, bodaj najważniejsza przyczyna, a mianowicie mój brat. Odkąd Janek z nami zamieszkał, nie potrzebowałam innych przyjaźni. I dopiero Jadzia Mikołajska przełamała we mnie tę barierę. Była miłą dziewczyną, z którą chętnie spędzałam czas, bo nigdy mnie nie zanudzała, lubiła się śmiać i bawić, ale w gruncie rzeczy – co sobie dopiero później uświadomiłam – niewiele miałyśmy sobie do powiedzenia. Z jej punktu widzenia nie byłam zapewne nikim innym, jak tylko miłym dzieciakiem, któremu od czasu do czasu poświęcała czas, ale na poważne pogaduchy umawiała się ze starszymi dziewczętami. Ja niewiele wtedy wiedziałam i rozumiałam, byłam rozpuszczona jak dziadowski bicz. Kto wie, może czasami moje towarzystwo zwyczajnie ją nużyło? Czy nie dała mi tego do zrozumienia już wówczas, gdy zakomunikowała, że bez żalu rozstała się z Jankiem? Mogło to również oznaczać, że z ulgą pożegnała się także z jego smarkatą siostrą, która tak często domagała się jej uwagi i bywała niekiedy bardzo absorbująca. I która wpadła w histerię, gdy dowiedziała się, że brat zdecydował się związać z inną dziewczyną. To, że potem przestałyśmy się z Jadzią widywać, mówiło samo za siebie. Nie było spowodowane wybuchem wojny, jak sobie do tej pory wmawiałam. Przecież prawdziwe przyjaźnie potrafiły wytrzymać i taki sztorm. Nawet wojna nie mogła ich zerwać.

Ponownie popatrzyłam na Janka i Staszka. A potem już tylko na tego drugiego. Do tej pory, to znaczy do dnia, w którym zobaczyłam go na ślubie brata, nie zwracałam na niego większej uwagi. Przed wojną czasem widywałam go w naszym domu, wiedziałam, że Janek nazywał go swoim przyjacielem. Najpierw zaprzyjaźnił się ze Staszkiem, potem zakochał się w jego kuzynce. Ale męskie przyjaźnie mojego brata w ogóle mnie nie interesowały. Przynajmniej do dnia jego ślubu.

To właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Zatańczyłam ze Staszkiem, pogadaliśmy, umówiliśmy się na następną sobotę. Zaproponowałam kino, ale się skrzywił.

– Naprawdę masz ochotę oglądać to gówno, na jakie łaskawie pozwalają nam szwaby? – spytał spokojnie, a ja, zawsze taka czupurna i pyskata, gdy chodziło o obronę moich racji, tym razem poczułam się tak, jakby mnie piorun poraził. Albo jakbym została polana wrzątkiem. Na moment zapomniałam języka w gębie, a potem zaczęłam bełkotać, że czasem po prostu mam ochotę obejrzeć jakiś film. Czy to od razu musi oznaczać coś złego?

Pokręcił głową z dezaprobatą.

– Tylko świnie siedzą w kinie – oznajmił, a kiedy zaczerwieniłam się jak burak w polu, dodał tonem łagodnego wyjaśnienia: – To taki cytat. Nie mów, że nigdy o nim nie słyszałaś.

– Nie przypominam sobie. Rzadko chodzę do kina – skłamałam.

Byłam kilka razy w kinie, ale uznałam, że Staszкови nie będę się do tego przyznawać ani tym bardziej argumentować swoich racji. Nie dał po sobie poznać, czy mi uwierzył, ale skinął głową z aprobatą.

– I tak trzymaj. Niczego dobrego tam nie zobaczysz, za to nasłuchasz się propagandy o szwabskich zwycięstwach.

Tym razem zdecydowałam się podjąć wyzwanie.

– Przecież to wszystko prawda – rzekłam nieco złośliwym tonem. – Niemcy zwyciężają wszędzie...

– Nie wszędzie – spochmurniał. – Z Anglią, jak dotąd, im się nie udało, teraz mogą połamać sobie zęby na Rosji. A wtedy... – Przerwał, jakby stracił ochotę do kontynuowania tematu. A może uznał, że nie jestem partnerką do takiej rozmowy? Że nie mam odpowiedniej wiedzy i w ogóle sprawiaam wrażenie trzpiotowatej idiotki, która lubi spędzać czas

w niemieckim kinie? Nie mogłam pozwolić, aby tak o mnie myślał. Nagle, niespodziewanie dla samej siebie, wręcz obsesyjnie zapragnęłam, aby myślał o mnie jak najlepiej. Nie wiedziałam tylko, jak wykazać się wiedzą, której w istocie nie miałam, i tak mnie to rozzłościło, że postanowiłam go trochę podrażnić.

– Mówisz o tym w taki sposób i z takim marsem na czole, jakbyś żałował, że Niemcy mogą przegrać w Rosji – zakpiłam.

– Bo to oznaczałoby dla nas katastrofę – odparł z kamiennym wyrazem twarzy.

– Dla nas? – Jego słowa przejęły mnie zgrozą.

– Dla Polski – sprecyzował.

Nie lubiłam rozmów o polityce. Wystarczyła mi ponura okupacyjna rzeczywistość. Codzienny strach, niepewność nie tylko jutra ale i – niekiedy – najbliższej godziny. Nie planowałam przyszłości – mogła przecież w ogóle nie nadejść. Żyłam terażniejszością. Liczyło się tu i teraz. Nie gapienie się w gwiazdy. Nie sięganie wzrokiem daleko, aż po horyzont. Dzięki temu łatwiej mi było zachować głowę na karku. Zresztą mój ojciec także twierdził, że musimy być realistami. Przegraliśmy wojnę, jesteśmy na łasce zwycięzców. Są bezwzględni i coraz bardziej brutalni, ale stawianie im oporu to jak niszczenie gniazda pełnego rozsierdzonych os. A przecież najważniejsze jest przetrwanie narodu. Przyjęła to do wiadomości większość pokonanych przez Niemców społeczeństw i raczej nie najgorzej na tym wychodzą. Powinniśmy brać z nich przykład zamiast porywać się z motyką na słońce. Co nie zmieniało faktu, że niezależnie od głoszonych poglądów mój ojciec nienawidził Niemców z całego serca i życzył im jak najgorzej. Za Rosjanami zresztą także nie przepadał. Podzielał więc ogólne zadowolenie z wybuchu wojny między naszymi dwoma odwiecznymi wrogami. Niemal wszyscy, których znałam, uważali, że oznaczać to będzie

przełom, dla naszego kraju jak najbardziej korzystny. Tym razem jednak miałam możliwość rozmowy z człowiekiem, który był przeciwnego zdania.

– To chyba dobrze, że Niemcy i Rosjanie będą się nawzajem osłabiać – powtórzyłam przy najbliższej okazji zasłyszana opinię. Nie miałam pewności, czy to były słowa ojca, czy któregoś z wujów. A może Janka? Na pewno nie Izy, bo ona, wbrew temu, co się działo w pierwszych tygodniach na froncie wschodnim, od początku była przekonana, że wygrają Rosjanie.

– Zakładanie, że obydwie te państwa zadadzą sobie nawzajem takie rany, że żadne z nich już się nie podniesie, jest naiwnością – odparł Staszek i spochmurniał jeszcze bardziej, co sprawiło, że wydał mi się nagle znacznie starszy niż na weselu Janka, gdy cały czas żartował i szczyrzył zęby z uciechy. – Jedno z nich wygra. A wtedy my oberwiemy jak nigdy dotąd.

Zrobiło mi się zimno i to pomimo pięknej, czerwcowej pogody. Zapragnęłam wrócić do domu i zawinąć się w koc dosłownie po czubek głowy. Straciłam ochotę na kontynuowanie tej rozmowy i na planowane spotkanie.

Staszek spostrzegł, że zmarkotniałam, i jego twarz ponownie się wypogodziła. Nawet się uśmiechnął, tak jak byśmy przed chwilą nie rozmawiali o rzeczywistości, w jakiej przyszło nam żyć, i o nie najlepszych prognozach na przyszłość.

– Po prostu chodźmy na spacer – zaproponował. – Pojedźmy gdzieś za miasto. Nie musimy wyruszać Bóg wie gdzie. Wystarczy wybrać się zupełnie niedaleko, aby zobaczyć lato w pełni i chociaż na chwilę zapomnieć o wszystkim innym.

Potem były kolejne spotkania. Czasami codziennie, choć bywało, że nie widywaliśmy się po dwa, nawet trzy tygodnie. Wtedy tłumaczył, że musi jechać po zaopatrzenie, czyli na wieś, po zakup żywności. Nie było w tym nic dziwnego, niemal wszyscy w ten sposób ratowali się przed głodem, na

jaki skazywała nas wprowadzona przez Niemców reglamentacja. Czarny rynek okazał się prawdziwym wybawieniem, choć nie wszyscy potrafili się na nim swobodnie poruszać i niejednokrotnie trzeba było korzystać z pomocy kogoś bardziej obrotnego.

Oczywiście nie było mowy, abym utrzymała tę znajomość w tajemnicy. Słabo się zresztą o to starałam, nie przewidywałam przecież jakichkolwiek sprzeciwów ze strony najbliższych. Okazało się jednak, że byłam w błędzie. Gdy po raz pierwszy Staszek odwiedził mnie w domu, rodzice zachowali się grzecznie, ale jednocześnie sprawiali wrażenie dość zakłopotanych. Przez to rozmowa się nie kleiła i wszyscy czekaliśmy na koniec tego spotkania. W każdym razie ja poczułam ulgę, kiedy Staszek poszedł. Niemniej jeszcze nie panikowałam. Uznałam, że rodzice, którzy wciąż uparcie widzieli we mnie swoją małą córeczkę, po prostu z trudem uprzytamniali sobie, że ich dziewczynka już dorosła, że zaczęła potrzebować także innego towarzystwa niż tylko mamy, taty, względnie pozostałych krewnych. A fakt, że dotąd wystarczali mi tylko oni, nie oznaczał, że to się nigdy nie zmieni. Bo właśnie się zmieniło. Nie miałam żadnej bliskiej koleżanki, o przyjaciółce już nawet nie wspominając, za to zyskałam przyjaciela. Miłego chłopaka, z którym mogłam pogadać o wszystkim. W dodatku nie był kimś obcym dla moich rodziców, więc w końcu musieli przetrwać myśl, że zaczęłam wyfruwać z tego gniazdka, jakie mi wymościł. Potrzebowali czasu – tak przynajmniej zakładałam. Zdecydowanie bardziej zdumiała mnie postawa Janka.

– Zastanów się – mruknął. – Ta wasza znajomość... zażyłość... – poprawił się. – To chyba nie najlepszy pomysł.

W pierwszej chwili sądziłam, że się przesłyszałam. Dopiero potem się zaperzyłam.

– Staszek jest moim przyjacielem – odparłam z oburzeniem. – Słowo „zażyłość” jest tu nie na miejscu i sugeruje Bóg wie co.

Nie spodziewałam się takiej reakcji po moim bracie. Nie po nim.

– Widzę, jak to wygląda, nie zamydlisz mi oczu – odparł, ale spojrzeniem uciekał gdzieś w bok. Uśmiechnął się lekko. – Przyjaźń... Daj spokój, siostrzyczko. Nikogo w ten sposób nie oszukasz, nawet samej siebie. Staszek jest m o i m przyjacielem; ty traktujesz go zupełnie inaczej.

Na moment odjęło mi mowę. Jednocześnie poczułam, że zrobiło mi się gorąco, a twarz mam czerwoną jak piwonია. Janek zachowywał się gorzej niż rodzice, bo oni, nawet jeśli snuli podobne podejrzenia (dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że pewnie snuli), to przynajmniej nie wyrazili ich wprost. Tak czy inaczej, wszyscy byli wstrętni, cała moja rodzina! Jak śmieli wtrącać się w moje sprawy! Nie miałam zamiaru tak tego zostawić i postanowiłam odbić piłeczkę.

– A może chodzi ci o Jadzię? – spytałam jadowicie. – Za późno, braciszku, na wyrzuty sumienia.

– Chyba oszalałaś! – Tym razem Janek zdenerwował się nie na żarty. – O Jadzię?! Też coś! Chodzi o Stacha!

– Ach tak! – zacisnęłam dłonie. – Czyżbyś był o niego zazdrosny?

Dopiero ponieważ uświadomiłam sobie, w jaki sposób mógł zinterpretować te słowa. Najchętniej bym je cofnęła, ale one już i tak padły. Nic nie mogło tego zmienić.

– Jesteś głupia, Wanda – odparł spokojnie. – Nie przypuszczałem, że kiedyś ci to powiem, ale widocznie czasem szczerść jest konieczna.

Byłam wściekła, a jednocześnie zbierało mi się na płacz. Mój kochany brat! Wstydziałam się słów, które przed chwilą mi się wypsnęły, ale to, co właśnie usłyszałam od niego, oburzyło mnie do głębi.

– Nie wiem, w czym przeszkadza ci nasza przyjaźń – wydusiłam z siebie. – I nic mnie to nie obchodzi! Nie ty będziesz o tym decydował, nie twoja sprawa.

Miał taką minę, jakby już zdążył pożałować swojej „szczerości”. Widziałam, że z trudem szukał odpowiednich słów; nie zamierzałam mu tego ułatwiać.

– Chodzi mi wyłącznie o twoje dobro – rzekł w końcu, tym razem znacznie łagodniej niż poprzednio. – Nie chcesz w to uwierzyć, ale tak właśnie jest. Nie chcę, abyś cierpiała.

– Jak możesz tak mówić o własnym przyjacielu?! – Nie wytrzymałam. – Co do niego masz? Pokłóciliście się o coś? Muszę to wiedzieć!

Zawahał się. Ponownie powędrował wzrokiem ponad moją głowę.

– Nie we wszystkim się zgadzamy – odparł w końcu cicho. – Ale nie o to chodzi... To znaczy nie tylko o to.

– Poszło o mnie, tak? – Cofnęłam się, bo zrobił taki gest, jakby próbował położyć mi dłoń na ramieniu. – Nie chcę o tym dłużej rozmawiać, rozumiesz? Dość już usłyszałam.

Wyszłam, trzaskając drzwiami, ale w sieni natknęłam się na bratową. Byłam niemal pewna, że wszystko słyszała. Wyczytałam to w jej czujnym i wystraszonej spojrzeniu. Od dawna zdawałam sobie sprawę, że czasami mnie uważnie obserwowała. Snuła się jak duch po tym Bożanowie, niewiele się odzywając, często pozostawiona sama sobie. Na ogół pierwsza nie zaczynała z nikim rozmowy – wiedziała, że rodzina i przyjaciele Janka za nią nie przepadali. Zdawała też sobie sprawę, że ja żywiłam do niej jeszcze większą niechęć niż pozostali, dlatego na ogół schodziła mi z drogi. Tym razem jednak było inaczej. Patrzyła na mnie tak, jakby chciała mi coś wyznać, ale nie potrafiła się przemóc. A może się mnie bała? W pierwszej chwili chciałam rzucić jej jakieś niezobowiązujące słowa na pożegnanie, ale jej spojrzenie jakby mnie zatrzymało. W końcu to moja bratowa, pomyślałam. I raczej nic już tego nie zmieni. W dodatku spodziewała się

pierwszego dziecka. Choćby z tego powodu należały jej się jakieś względy z mojej strony. Powinnam do niej zagadać.

Zrobiłam to i potem gorzko żałowałam tej chwili słabości. Najpierw jednak zapytałam, co u niej, jak się czuje i tak dalej. Takie pytania, jakie na ogół zadaje się ciężarnym kobietom, nie tylko bratowym.

– Trochę kopie, ale to chyba dobrze – uśmiechnęła się blado, tak że sama nie byłam pewna, czy cieszyło ją to kopiące dziecko, czy wręcz przeciwnie. Położyła jednak obie dłonie na brzuchu i ten czuły gest dodatkowo mnie rozmiękczył.

– Na pewno wszystko będzie dobrze – rzekłam i musiało to zabrzmieć na tyle życzliwie, że ośmieliła się mnie zagadnąć o moje nieporozumienie z Jankiem. Tak to nazwała – nieporozumienie. Jakby nie słyszała naszych podniesionych głosów!

– Dałam mu do zrozumienia, co myślę o wtrącaniu się w moje życie – odparłam gniewnie. Gniew ten jednak kierowałam pod adresem Janka, nie Izy, co ona natychmiast rozumiała.

– Chodzi o Staszka, tak? – spytała, choć byłam pewna, że wiedziała, lub przynajmniej się domyślała, w czym rzecz. W odpowiedzi mruknęłam coś przytakująco, a wtedy ona, ni tego, ni z owego, dodała cicho i bardzo ostrożnie: – Coś jest z nim nie tak – dokładnie to powiedziała.

Natychmiast pojęłam, że miała na myśli Staszka, nie mojego brata. Niech cię лихо porwie, pomyślałam ze złością. Niepotrzebnie w ogóle się do ciebie odezwałam.

– To nie twoja sprawa, nie pytałam cię o zdanie – burknęłam.

Widziałam, że i ona w tym momencie pożałowała swojej szczerości. Odniosłam wrażenie, że chciała przeprosić, wytłumaczyć się, jakoś załagodzić sytuację, ale nie miałam ochoty jej słuchać. Zamiast tego

zapraǳnęłam wyładować na kimś swoją frustrację i żal. Iza znakomicie się do tego nadawała.

– Ja także od samego początku nie byłam tobą zachwycona i nie zmieniłam w tej sprawie zdania, ale to przecież bez znaczenia. Przyjęłam do wiadomości, że mój brat wybrał właśnie ciebie, więc i ty z łaski swojej się do mnie nie wtrącaj – warknęłam.

– Nie zamierzam. Wybacz, nie chciałam cię urazić – pokajała się natychmiast Iza. Była bliska płaczu, nie chciała tej kłótni. I bez tego problemów jej chyba nie brakowało. – Tak mi tylko przyszło do głowy, ale... Nie musisz się tym aż tak przejmować.

– Nie będę – oznajmiłam i wyszłam, po raz drugi tego dnia trzaskając drzwiami.

Potem, już w domu, gdy ochłonęłam, przyszło mi do głowy, że niepotrzebnie aż tak się uniosłam. A fakt, że na ogół działałam impulsywnie, tym razem mnie nie tłumaczył. I mógł nie wystarczyć do pogodzenia się z bratem... a także z bratową. Czy tego chciałam, czy nie, Iza przecież była moją bratową. Skoro nie pozwalałam im wtrącać się w moje życie, powinnam być konsekwentna i zaakceptować także ich decyzje i wybory. Powinnam była inaczej to wszystko przeprowadzić. A przede wszystkim nie okazywać gniewu i urazy. Zamiast tego mogłam zażartować, czy nawet wykpić ich podejrzenia, jakobym była zakochana w Staszku albo on we mnie. Nic takiego przecież nie miało miejsca, lecz moja gwałtowna i pełna urazy reakcja mogła wskazywać na coś zupełnie przeciwnego. Postanowiłam zatem, że tak szybko, jak tylko będzie to możliwe, pojedę do Bożanowa i przeproszę ich oboje. Na razie jednak muszę dać czas zarówno sobie, jak i im, zaczekać, aż opadną wszelkie gniewne emocje. Był jeszcze inny, nie mniej istotny powód.

Kolejne dni przyniosły wzmożenie ulicznych łapanek. Wojna na kilku frontach, w tym szczególnie wymagający stałych uzupełnień wojskowych front wschodni, powodowała, że w III Rzeszy brakowało pracowników. Stąd te „polowania” na ludzi na warszawskich (i nie tylko warszawskich) ulicach. Niekiedy bardzo wzmożone, jak w ostatnim czasie. Liczyliśmy jednak na to, że taka sytuacja nie będzie trwała bez końca. Niemcy nie mogli przecież wszystkich wywieźć do Reichu, potrzebowali także robotników w Generalnej Guberni, trzeba było tylko jakoś przeczekać najgorsze i nie kręcić się bez potrzeby po ulicach. A zatem wstrzymać się również przed podróżą do Bożanowa, aby przeprosić się z rodziną.

W tym samym jednak czasie straciłam z oczu także Staszka, a gdy wreszcie odważyłam się pójść do jego domu, dozorca zatrzymał mnie jeszcze przed bramą i oznajmił, że pan Mikołajski wyprowadził się przed kilkoma tygodniami i nie spowiadał się nikomu dokąd. Z pewnością zaś nie spowiadał się stróżowi.

– Niech panienka już się tu nie kręci – oznajmił kategorycznie, po czym odwrócił się do mnie tyłem i kontynuował zamykanie chodnika przed posesją.

Wyprowadził się? Nie wiadomo dokąd? No cóż, zdarza się. Jest wojna, ludzie z różnych powodów opuszczają swoje miejsca zamieszkania i zacierają za sobą ślady, myślałam, wracając do domu. Ta refleksja przestraszyła mnie do tego stopnia, że zaczęłam snuć najczarniejsze wizje. Potem przyszło mi do głowy, że przyczyny jego decyzji mogły być znacznie bardziej prozaiczne, nie musiałam snuć Bóg wie jakich podejrzeń. Co nie znaczyło, że humor mi się poprawił. Wręcz przeciwnie – w miejsce strachu pojawiło się przygnębienie. Widocznie nasza przyjaźń nie znaczyła dla niego tyle samo, co dla mnie. W innym wypadku z pewnością by mnie

powiadomił o swoich planach. Warunki były trudne, ale gdyby mu zależało, znalazłby jakiś sposób, aby wysłać mi wiadomość. Ha, trudno.

Próbowałam sobie wmawiać, że nic mnie to nie obchodzi. Było jednak inaczej – to, co się stało, uwierało mnie i nie dawało mi spokoju. Podejrzewałam, że Janek musiał wiedzieć, gdzie przebywał jego przyjaciel, ale postanowiłam o nic nie pytać. Kto wie, jak by zareagował mój brat. Może by się zdziwił („Jak to, nie wiesz?”), a może pokiwałby głową („A nie mówiłem, że będziesz przez niego cierpieła?”). Nie, nie narażę się na podobne komentarze. Pozostałam wierna mojemu postanowieniu. Gdy wreszcie spotkałam się z bratem, nie poruszyłam tematu Staszka. Janek także go nie podjął. W ten sposób porzuciłam myśl o przeproszeniu zarówno jego, jak i jego żony za to, co wydarzyło się wcześniej między nami. W ogóle zachowywaliśmy się tak, jakby tamtej kłótni wcale nie było, co jednak oznaczało, że w moich relacjach z bratem pojawiła się rysa. Nie byliśmy już wobec siebie szczerzy jak dawniej. I tak już miało pozostać.

Wszystko to jednak raz na zawsze ukształtowało moje stosunki z bratową. Nigdy więcej z własnej inicjatywy nie podjęła ze mną żadnej osobistej rozmowy, wyraźnie mnie unikała, co niestety miało ten skutek, że gdy urodzili się Weronika, a potem Oskar, Iza postarała się, na tyle, na ile mogła, odgrodzić swoje dzieci od naszej rodziny, zwłaszcza ode mnie. Nie mogła wprawdzie zabronić mi widywać bratanków – Janek nigdy by jej na to nie pozwolił – ale widziałam, że niechętnie przyjmowała to do wiadomości, a jako matka wywierała przecież wpływ na dzieci. Nie miałam wątpliwości, że tym samym dawała mi do zrozumienia, że niczego nie zapomniła, i choć potem niejednokrotnie podejmowałam próby, by jakoś poprawić nasze kontakty, nie wyzbyła się dystansu i chłodu. W końcu uznałam, że skoro nie ma innego wyjścia, będę zachowywać się tak samo.

I taka właśnie chłodna, sztywna uprzejmość miała charakteryzować nasze stosunki prawie do końca. Prawie.

Rozdział 3

– Dzięki Bogu dożyłam kolejnego lata – oświadczyła Rozalia Ostrowska, zasiadając w wiklinowym fotelu i wystawiając twarz do słońca. Nigdy nie chowała się w cieniu – jesień i zima dłużyły jej się bardzo, tęskniła wtedy za słońcem i ciepłem, dlatego gdy aura się wreszcie zmieniała, nawet największy upał jej nie przerażał.

„Zawsze byłam zmarzluchem – oświadczyła kiedyś Weronice – Od dziecka przez większość roku marzłam i dlatego, gdy wiosna wreszcie zagościła na dobre, szkoda mi było zmarnować każdego promienia słonecznego. I tak mi zostało, nawet teraz, gdy jestem już stara”.

„Nie jesteś stara” – sprostowała wówczas Weronika, ale w głębi duszy musiała przyznać, że ciotka w ciągu ostatnich lat jakby zmaląła, skurczyła się. Jej włosy tu i ówdzie przyprószyła coraz bardziej widoczna siwizna. Jednak oczy zachowały pełen życia blask, przez co twarz wyglądała znacznie młodziej, niż wskazywała metryka.

– Kocham czerwiec – rzekła Rozalia. – Dla mnie mógłby się nigdy nie kończyć.

– Nie znudziłby ci się? – zagadnęła Weronika, zasiadając w sąsiednim fotelu i wręczając ciotce filiżankę z kawą.

– Niby co miałyby mi się znudzić? – obruszyła się zabawnie Ostrowska. – Długie, ciepłe dni? Dla mnie oznaczają niemal

zmartwychwstanie po tym ciągłym zimowym mroku. No sama popatrz: nie jest tu jak w raju? Nawet jeśli mój ogród coraz bardziej przypomina małą gaj?

– Jest pięknie – przyznała Weronika.

Już w zeszłym roku Rozalia zaprzestała intensywnych prac na swojej posesji. Grządki nie były już takie równe, tak niemal geometrycznie rozplanowane niczym w osiemnastowiecznym francuskim ogrodzie. Trawnik także nie przypominał już pola golfowego, lecz łąkę, na której swobodnie mogły kwitnąć stokrotki, niezapominajki i kaczeńce. Weronika domyślała się, że głównym powodem tego stanu rzeczy były kurczące się siły ciotki. Gdy jednak zasugerowała, że Michał, Piotrek, Oskar, a także ona sama mogliby pomóc, starsza pani natychmiast zaprotestowała.

– Przecież jestem jeszcze w stanie zająć się tym sama – oświadczyła stanowczo. – Mam więcej czasu niż wy wszyscy razem wzięci, ale... Pomyślałam, że nie ma takiej potrzeby. Popatrz sama. Jurek także wolał chaszcze w ogrodzie, jak mawiał, ale zostawił mi wolną rękę. Długo myślałam, że praca w ogrodzie po prostu go nie interesowała, ale teraz doszłam do wniosku, że to jednak on miał rację. Po co ingerować w naturę? Co najwyżej, gdy trawa będzie już za wysoka i nie do przejścia, twoi chłopcy ją skoszą. To wszystko.

Weronika zatem nie podjęła już tematu, tym bardziej że i jej przypadł do gustu „mały gaj”. Starła się odwiedzać ciotkę raz, dwa razy w miesiącu, czasem w towarzystwie synów, częściej z Oskarem, przeważnie jednak sama. Gdy robiło się ciepło, siadały na nasłonecznionym ganku, a gdy stawało się zbyt gorąco, przesuwały fotele do jedyne rogu, na który padał cień od rosnącego nieopodal dębu. Przy czym ciotka i tak zajmowała najbardziej nasłonecznione miejsce, w cieniu przeważnie chronili się jej goście.

Także i ta wizyta przebiegała według utartego scenariusza. Jak zwykle usiadły na ganku i jak zwykle ciotka zaczęła rozmowę od refleksji na temat pogody. Potem jednak zapadło milczenie – nie było w nim nic krępującego, ostatecznie znały się na tyle dobrze, by czuć się w swoim towarzystwie swobodnie, niezależnie od tego, czy omawiały jakąś frapującą kwestię, czy napawały się ciszą. Weronika wiedziała, że milczenie przerwie, jak zwykle, Rozalia i zada stałe pytania o chłopców, o Oskara – jak się czują, co u nich słychać. Zapyta także o starszych Reczyńskich. Zawsze to robiła, choć rodzice Weroniki nigdy nie pytali o swoją krewną. Wiedzieli oczywiście, że córka i syn nawiązali kontakty z ciotką, nie ulegało wątpliwości, że ta wiadomość raczej ich nie uradowała, niemniej w żaden sposób jej nie skomentowali.

Tego dnia Weronika nie miała jednak ochoty na odpowiadanie Rozalii na te same pytania, co zwykle. Odpowiedzi te zresztą także od lat były podobne. Chłopcy są zdrowi, ale zajęci. Wiadomo, jak to młodzi. Dużo nauki, zwłaszcza w przypadku Michała, który w tym roku przygotowywał się najpierw do matury, a potem do egzaminów wstępnych na wyższą uczelnię. Poza tym koledzy, imprezy i tak dalej. Oskar zapracowany, kazał pozdrowić, oczywiście przyjedzie, jak tylko złapie oddech i trochę wolnego czasu. Rodzice także czują się dobrze, matka od dwóch lat była już na emeryturze, ojciec kontynuował praktykę, ale zwolnił tempo.

– Wszyscy się starzejemy – skwitowała Rozalia i uśmiechnęła się pod nosem, jakby to spostrzeżenie niekoniecznie ją zmartwiło. – Każdy wiek ma swoje dobre strony – dodała.

O złych stronach nigdy nie wspominała.

I wtedy Weronika postanowiła zagadnąć o kwestię, której nie podejmowała od lat. Jadąc kolejką do Komorowa, cały czas zastanawiała się, jak przeprowadzić swój zamysł, jak podejść ciotkę, by ta natychmiast,

już na wstępie nie zamknęła się w swoim kokonie. Nie zasłoniła się niepamięcią lub brakiem wiedzy. Coś przecież musiała wiedzieć. Na pewno więcej, niż ujawniła wówczas, gdy Weronika odwiedziła ją po raz pierwszy.

Czy zapytać ją o zapiski Wandy? – zastanawiała się po raz nie wiadomo który. Wedle relacji Michała Rozalia nie była zadowolona, że chłopcy znaleźli ten rękopis, ale to przecież miało miejsce kilka lat temu. Michał i Piotrek byli jeszcze wtedy dziećmi, być może zatem Ostrowska uznała, że treść pamiętnika to nie lektura dla dwunasto-, trzynastolatków. Może teraz byłaby bardziej skłonna o tym porozmawiać? Nawet jeśli nie z chłopakami, to przynajmniej z ich matką.

Z drugiej jednak strony nie można było wykluczyć, że Wanda nie życzyła sobie, by ktokolwiek poza Rozalią przeczytał jej pamiętnik, być może bardzo osobiste wspomnienia. Pozostawało wprawdzie pytanie, czemu w ogóle go zostawiła u kuzynki, czemu nie zabrała ze sobą do Francji – ale to już osobna kwestia, której pewnie nigdy nie uda się rozstrzygnąć.

Mimo długich rozmyślań Weronika wciąż nie zdecydowała, jak zagadnąć Rozalię o te zapiski i czy w ogóle powinna to zrobić. Obserwując wygrzewającą się w słońcu ciotkę, nadal analizowała wszystkie za i przeciw. Ciekawość jednak zwyciężyła.

Będę ostrożna, postanowiła, najpierw zapytam o rodzinne fotografie. Mało to oryginalne, ale trudno. Od czegoś trzeba zacząć.

– Rodzinne fotografie? – zdziwiła się Rozalia. Otworzyła na chwilę jedno oko, by zerknąć na swojego gościa, ale zaraz ponownie je zmrużyła. Słońce padało przecież prosto na jej twarz. – Zdaje się, że już kilkakrotnie je oglądałyśmy.

– Nie wszystkie – odparła pozornie niezobowiązującym tonem Weronika. Cieszyła się, że w tamtym momencie Rozalia na nią nie patrzyła,

choć wiedziała, że zaraz z pewnością to zrobi. – Chciałabym, abyś opowiedziała mi o tych starych albumach na strychu.

– Na strychu? – powtórzyła jak echo Ostrowska, po czym, zgodnie z przewidywaniami Weroniki, odwróciła twarz od słońca i spojrzała jej prosto w oczy.

– Ostatnio, gdy tam byłam, zobaczyłam kilka albumów w szufladach. Muszą być bardzo stare. Zerknęłam na niektóre fotografie, ale nic mi one nie mówią.

Zdawała sobie sprawę, że ciotka być może wyrazi zdumienie, w jakim celu w ogóle wdrapywała się na ten strych i kiedy to miało miejsce, ale Rozalia o nic takiego nie zapytała.

– To pewnie stare albumy Ostrowskich – odparła za to po chwili.

– Wyglądają ciekawie. Nie chciałabyś mieć ich na dole, w biblioteczce? – zagadnęła Weronika. – Są rodzinną pamiątką. Ale oczywiście to nie moja sprawa – dodała speszona nieco zagadkowym spojrzeniem ciotki.

– Może i pamiątka, ale Jurek zdecydował, aby je tam wynieść. Przy okazji remontu parteru i pierwszego piętra domu. A potem postanowił je już tam zostawić. Te albumy nie przedstawiają już większej wartości. Stare, rozlatujące się strony. Większość fotografii jest już bardzo niewyraźna. Wyobrażam sobie, ile tam kurzu...

– Nie chciałabyś ich jednak obejrzeć? – spytała desperacko Weronika. – Może kogoś poznasz? Mnie na przykład bardzo interesują takie pamiątki.

To ostatnie zdanie tylko do pewnego stopnia było zgodne z prawdą. W dodatku prośbę swoją wyraziła zbyt natarczywie. Rozalia przyjrzała jej się uważniej.

– To naprawdę jedynie stare rodzinne fotografie Ostrowskich – rzekła. – Sama prawie nic o nich nie wiem. To taki rodzaj pamiątek, których nie

wypada wyrzucić na śmietnik, więc znajduje się dla nich miejsce na strychu. W każdym razie na pewno nie ma tam zdjęć Wandy, ani jednego – dorzuciła jak gdyby nigdy nic.

Weronika zarumieniła się i spuściła wzrok.

– Chodzi ci o Wandę? Nie myślę się, prawda? – westchnęła Rozalia.

Nie wyglądało jednak na to, aby była rozgniewana. Nie było tego słyhać w jej głosie. Jeśli już – to raczej smutek i rezygnację.

– To prawda – odparła cicho Weronika.

Nie zdobyła się jednak na to, by spojrzeć ciotce prosto w oczy.

– Myślałam, że już dawno przestałaś się nią interesować.

– Nie. Tak naprawdę wciąż o niej myślałam. To znaczy nie codziennie. Nie co tydzień, nie co miesiąc, ale jednak...

– To dokładnie tak jak ja – odparła w zamyśleniu Ostrowska, a słowa te, w połączeniu ze spokojnym tonem, jakim zostały wypowiedziane, trochę ośmieliły Weronikę.

Postanowiła, że jednak nie zapyta o pamiętnik. Ale przecież mogła napomknąć o innej sprawie. Dopiero teraz przyszło jej to do głowy.

– Podobno Wanda straciła dziecko – rzekła wobec tego, czując, jak napinają się jej wszystkie mięśnie. – Jeszcze w czasie okupacji...

Ostrowska drgnęła i ostrożnie odstawiła filiżankę. Jednak szybko opanowała wzburzenie.

– Wanda poroniła w czwartym miesiącu ciąży – potwierdziła cicho. – Kto ci powiedział o dziecku? Twój ojciec? – spytała po chwili.

W pytaniu tym Weronika usłyszała z trudem tłumione zdumienie.

– Lucia Bellodi powiedziała o tym Oskarowi – rzekła. – Wtedy, przed laty, gdy pojechał do Francji. A ojciec to później potwierdził.

– Lucia... – uśmiechnęła się w zamyśleniu Ostrowska. – Pasierbica, którą Wanda pokochała jak córkę. Pasierbowie wypełnili te przestrzenie w jej sercu, które przewidziane są tylko dla dzieci.

Tym razem w tonie głosu Rozalii zabrzmiała jakaś rzewna nuta. Weronika ją wychwyciła i nagle poczuła, jakby coś ścisnęło ją za gardło.

– Jednak dzieci nie wypełnią każdej pustki w sercu – powiedziała to tak, jakby chciała pocieszyć bezdzietną kobietę, napotkawszy jednak spojrzenie ciotki, zarumieniła się po nasadę włosów. Takie słowa nie tylko nie mogły być pociechą, lecz przede wszystkim przygnębiły ją samą.

– Pewnie masz rację – odparła łagodnie Rozalia. – Ale cóż, widocznie nie można mieć w życiu wszystkiego.

Wszystkiego? Kto mówi o wszystkim? – zakpiła w duchu Weronika, a widząc, że ciotka wciąż jej się przygląda, nadludzkim wysiłkiem wykrzywiła wargi w czymś, co od biedy mogło przypominać uśmiech.

Przyjechała tu, aby zapytać o Wandę, ale zmieniła zamiar. Czemu nie miałybyśmy najpierw pogadać o moim ojcu? – pomyślała nagle. – Opowiedział mi o swoim dzieciństwie, a potem już nic z niego nie wyciągnęłam. Nic nie wiem o czasach jego młodości.

Nie chciał nawet opowiedzieć, w jakich okolicznościach poznał swoją przyszłą żonę. Skoro wzdragał się, by mówić o początkach ich miłości, tym bardziej nie wyjawiał powodów, dla których ta miłość się skończyła.

Co do tego ostatniego Weronika już dawno wyzbyła się resztek złudzeń. Dzieci nie wypełnią każdej pustki, powtórzyła w myślach z goryczą. Mogłaby niejedno powiedzieć o tych pustych przestrzeniach w swoim sercu. Jej rodzice pewnie także... Gdyby zechcieli o tym mówić.

– Czemu nie porozmawiasz ze swoim ojcem na temat Wandy? – zagadnęła niespodziewanie Ostrowska. W każdym razie zaskoczyła Weronikę nie tyle samym pytaniem – teoretycznie jak najbardziej

sensownym – ile faktem, że w ogóle zdecydowała się kontynuować temat, którego do tej pory unikała. – Na pewno opowiedziałby ci więcej niż ja. Skoro ojciec zdecydował się powiedzieć o jej dziecku... – dodała.

– To ostatnie jedynie potwierdził – sprostowała Weronika. – I tylko dlatego, że nie miał już innego wyjścia. W ogóle jest raczej skryty, a o tamtych sprawach po prostu nie chce rozmawiać.

Nie była wprawdzie pewna, czy tak szczerze postawienie sprawy nie zamknie z kolei ust ciotce, jednak Ostrowska przyjęła je z pełnym zrozumieniem.

– Życie go tego nauczyło – rzekła. – I w czasie okupacji, i po wojnie, gdy niejeden z nas musiał lawirować, aby jakoś utrzymać się na powierzchni. A to oznaczało, że nie zawsze można było pozwolić sobie na nazywanie rzeczy po imieniu. Twojego ojca to także dotyczyło.

Po raz kolejny Weronikę zdumiało, a zarazem ujęło, zrozumienie, z jakim Ostrowska odnosiła się do stryjecznego brata. Jej zaskakująca lojalność, zważywszy na fakt, że Reczyński nie tylko nie odpłacał jej tym samym, ale wręcz odsunął się od kuzynki. Jakby skazał ją na zapomnienie, bo nie tylko od lat jej nie odwiedzał, nie zapraszał, lecz nawet nie rozmawiał o niej ze swoimi dziećmi. A myśmy to po prostu przyjęli do wiadomości...

– Jerzy jednak nie chciał tego zrozumieć – podjęła Rozalia z pełnym czułości uśmiechem, a widząc, że Weronika wlepiła w nią zdumiony wzrok, dodała z rezygnacją: – To znaczy nie chciał zrozumieć takiego postępowania. Relatywizmu, gotowości pójścia na wszelki kompromis ze złem, jak mawiał. Był w tych sprawach pryncypialny, a mówiąc bez ogródek, niezłomny, wierny swoim wartościom i ideałom. Kiedyś próbowałam mu wytłumaczyć, że świat się zmienił. I być może nie ma innego wyjścia, jak przyjąć to do wiadomości, bo inaczej czeka go

odrzuć. „I co z tego? – odparł. – Ja wciąż jestem taki sam i nie zamierzam się zmienić. A lepiej być odrzuconym niż bratać się z taką bandą”. W czterdziestym ósmym roku dostał wyrok dożywocia, wcześniej przeszedł ciężkie śledztwo w ubeckich katowniach. Wyszedł na mocy amnestii w pięćdziesiątym szóstym, ale bezpowrotnie stracił młodość i zdrowie. A także rodzinę. Gdy odsiadywał wyrok, zmarła jego żona, potem córka. Zawsze uważał, że to także ofiary ubecji, bo choć nie zostały zamordowane podczas śledztwa, to przyszło im się użerać z niedostatkiem i głodem. A to dlatego, że pierwsza żona Jurka nie ugięła się, gdy ubecy naciskali, aby wniosła pozew o rozwód. Z tego także powodu Jurek do końca życia nie wybaczył ani komunistom, ani tym, którzy wchodzili z nimi w jakiegokolwiek układy.

– A zatem dlatego nie przyjeżdżał do Jaktorowa – szepnęła Weronika. Nigdy o to nie pytała, do tej pory po prostu uważała, że jakiegokolwiek były powody tego stanu rzeczy, nie mają już znaczenia. Teraz jednak uznała, że wszystko ma znaczenie. Każda informacja dotycząca przeszłości jej rodziny. – Nie chciał się widywać z moim ojcem...

Jerzy Ostrowski nie zamierzał utrzymywać żadnych kontaktów z człowiekiem, który w przeciwieństwie do niego poszedł na układy. Lawirował, jak to określiła Rozalia. Jan Reczyński uznał, że to jedyny sposób, by komuniści odpuścili mu „grzech” polegający na tym, że do czterdziestego czwartego roku był współwłaścicielem majątku ziemskiego. A fakt, że władza ludowa ograbiła go z tego majątku, w niczym go w oczach tej władzy nie rehabilitował. Wręcz przeciwnie – wciąż musiał się liczyć z tym, że Urząd Bezpieczeństwa nie da mu spokoju i będzie go nękał na wszelkie możliwe sposoby. Że komuniści będą go traktować jak wroga klasowego, który żyje w poczuciu krzywdy i dąży do wyrównania rachunków. Chyba że zaakceptuje nowy porządek polityczny i zdecyduje

się go poprzeć. Przy czym, jeśli nie chciał iść na dno, musiał okazać daleko idącą lojalność i gorliwość. Jak daleko idącą? O tym Weronika wolała nawet nie myśleć. Przecież osiągnął tak wysoką pozycję w Jaktorowie i okolicach. Był zamożnym weterynarzem i właścicielem szklarni. I – jak to kiedyś sarkastycznie ujął Oskar – wiedział, z kim trzymać.

Nagle przypomniały jej się wszystkie tego typu przytyki i jawne zarzuty, jakie Oskar stawiał ojcu. Dziś fakt, że brat tak szybko opuścił rodzinny dom, jawił jej się w nowym świetle. Podobnie jak niechęć, z jaką zareagował Jarek, gdy zaproponowała, by przynajmniej w tych pierwszych, najtrudniejszych latach małżeństwa zamieszkali w Jaktorowie. Zawsze uważała, że Jarek tak unikał jej rodzinnego domu, bo źle się tam czuł w roli ubogiego i z trudem akceptowanego zięcia. Teraz uświadomiła sobie jeszcze inną, kto wie, czy nie ważniejszą, przyczynę. Czemu wcześniej jej nie dostrzegała? Skoro sprawy te były czytelne dla innych, ona także powinna być ich świadoma. Jednak przez lata niczego nie dostrzegała, nie kojarzyła, nie przyjmowała do wiadomości. Była przede wszystkim kochaną córunią mamusi i tatusia. Jarek próbował jej to uzmysłwić, choć starał się to robić w możliwie oględny sposób. I przegrał. Ona zresztą także, ale to już inna sprawa.

Słuchając teraz ciotki Rozalii, Weronika nie miała już wątpliwości, dlaczego nie poznała bliżej Jerzego Ostrowskiego.

– Ale ty nie zerwałaś z nami kontaktów – zauważyła cicho. – Od czasu do czasu jeszcze do nas wpadałaś, choć coraz rzadziej... To musiało być dla ciebie trudne.

Ja prawie na okrągło przebywałam w Jaktorowie, nawet wtedy, gdy Jarek unikał wizyt u moich rodziców, jak tylko mógł, zwłaszcza wtedy, pomyślała. Smutna to była refleksja.

Odpowiedziało jej milczenie. Rozalia nie odwzajemniała jej spojrzenia, patrzyła na zarośnięty krzewami parkan.

– Zresztą potem ty również przestałaś nas odwiedzać – westchnęła cicho Weronika. – Dlaczego?

– Już ci to kiedyś wyjaśniłam. Jurek chorował, starałam się nie opuszczać na dłużej domu. Nawet na kilka godzin – odparła łagodnie ciotka.

– Tak, oczywiście. – To bez wątpienia był ważny powód, niemniej Weronika nie miała już wątpliwości, że ciotka nie mówi jej wszystkiego. Zebrała się na odwagę. – A poza tym, jak przypuszczam, pewnie także nie pochwalałaś... strategii życiowej mojego ojca? – Uśmiechnęła się gorzko.

– Nie pochwalałam, ale go za to nie potępiałam. Nie był jedynym, który stracił nadzieję, że sytuacja polityczna w kraju kiedykolwiek się jeszcze zmieni i że wobec tego jakikolwiek opór ma jeszcze sens. A poza tym czuł się odpowiedzialny za rodzinę, za ciebie i twojego brata. – Tym razem to na twarzy Rozalii pojawił się smutny uśmiech. – Kiedyś powiedział, że dzieci bohaterów przeważnie zostają sierotami i żyją w nędzy. Nie chciał dla was takiego losu.

Weronika niejasno sobie przypomniała, że sama także słyszała takie słowa. Nie potrafiła tylko przywołać w pamięci, w jakich okolicznościach ojciec je wypowiedział. Na pewno nie mówił tego do niej, do kogo jednak kierował te uwagi? I kiedy to było?

– Twierdził, że jak się ma rodzinę, to głupotą jest rzucanie się z motyką na słońce – dodała po chwili Ostrowska. – Taki już był...

– A jaka była ona? – Weronika nie wytrzymała.

– Ona...?

Przez moment wydawało jej się, że po twarzy ciotki przesunął się jakiś cień.

– Jego siostra – uściśliła, choć zastanowiło ją, czemu Rozalia w ogóle potrzebowała takiego doprecyzowania.

Natychmiast odniosła wrażenie, jakby Ostrowska rozważała w duchu jakąś decyzję. A może tylko zastanawiała się, co powiedzieć? Lub przywoływała odległe wspomnienia? Każda z tych opcji była możliwa. Z pewnością ciotka potrzebowała czasu na odpowiedź i Weronika nie zamierzała jej popędzać.

– Wanda pod wieloma względami była zupełnie inna niż Janek – odezwała się w końcu Rozalia. – Wesoła, spontaniczna, roztrzepana... Moja matka uważała ją za rozpuszczoną do granic możliwości i bynajmniej nie była osamotniona w tej ocenie. Przy tym jednak Wanda była naprawdę urocza. Dlatego prawie wszyscy wybaczała jej różne grzeszki.

– Prawie wszyscy? – podchwyciła zaciekawiona Weronika. Utrzymana w pogodnym tonie odpowiedź ciotki zachęciła ją do dalszych pytań.

– Prawie – potwierdziła niemal wesoło Rozalia. – Bo jednak niektórych drażniła. Niektóre kobiety patrzyły na nią krzywo. Miała szalone powodzenie u mężczyzn i na przykład moja matka... – Przerwała i machnęła tylko ręką.

No tak, przypomniała sobie Weronika, matka Rozalii nie mogła przeboleć, że jej własna córka takiego powodzenia nie miała.

– Janek i Wanda byli jak ogień i woda – podjęła po chwili Ostrowska. Wyglądało na to, jakby pomimo wcześniejszej rezerwy znajdowała teraz upodobanie w tych wspomnieniach. – Bo on dla odmiany od dziecka był bardzo poważny, skupiony, zamknięty w sobie. Oczytany. Gdy zamieszkał z ojcem i macochą, miał dwanaście lat i już wtedy nazywano go w rodzinie małym intelektualistą. Nigdy małym mądralą, bo nie tylko się nie wymądrzał, ale w ogóle raczej niewiele mówił. W przeciwieństwie do Wandy. Ta gadała jak najęta.

– Ten opis tylko częściowo pasuje mi do ojca – odparła trochę zaskoczona Weronika. – Zamknięty w sobie milczek, owszem, to się zgadza. Ale intelektualista? – Ledwo to powiedziała, a stanęła jej przed oczami przepastna szafa w gabinecie ojca, pełna książek. Kiedy je jednak czytał? Kiedy miał na to czas? Stale był zajęty pracą, „biznesem”, jak czasem żartował.

– Być może zmieniła go wojna – rzekła Rozalia. – Wszystkich nas zmieniła. A potem także nastąpiły bardzo trudne czasy. – Na jej twarzy ponownie pojawił się ten charakterystyczny uśmiech, który towarzyszy wspomnieniom, i tym dobrym, i smutnym. – Wanda także była już inna.

– Zakochana? – podjęła po chwili Weronika. Zdawała sobie sprawę, że być może nie uzyska odpowiedzi, choć z drugiej strony nie rozumiała, czemu miałyby to być aż taką tajemnicą. Oczywiście, że trzydzieści, czterdzieści lat temu panowały inne obyczaje, lecz przecież pewne sprawy przytrafiały się ludziom niezależnie od epoki, w której przyszło im żyć. – Przecież spodziewała się dziecka... – dodała jeszcze ciszej.

Co wcale nie musi oznaczać, że była zakochana, dopowiedziała sobie już tylko w myślach.

Rozalia zachnęła się, ale nie odwróciła wzroku od rozłożystych dębów na sąsiedniej posesji.

– Przepraszam, że tak o to wypyuję. – Weronika zaczerwieniła się mimo woli. – Ale skoro dowiedziałam się już o niektórych sprawach... Czy to źle, że wreszcie zaczęłam się interesować tak bliską krewną?

– Na pewno nie... – Rozalia pokręciła głową. Wciąż patrzyła przed siebie. – Oczywiście, że nie – dodała, jakby chciała w tym upewnić samą siebie, po czym wreszcie przeniosła wzrok na Weronikę. – On był bliskim kolegą twojego ojca. Nazywał się Stanisław Mikołajski. Staszek. Tak o nim

mówiła. Byli zaręczeni, zamierzali się pobrać. – Głos jej drgnął. – Nie zdążyli. Cóż, nie oni jedni...

– Co się z nim stało? – spytała prawie bez tchu Weronika.

– Został zabity w czasie okupacji.

Weronika podniosła się z krzeselka. Czuła, że nie usiedziałyby na nim dłużej. Podeszła do balustrady i zapatrzyła się w wysoki krzak róż, pnący się tuż przy werandzie.

– To był jakiś wypadek czy może... – Nowa myśl zaświtała jej w głowie. – Należał do ruchu oporu?

– Owszem. Przez pewien czas był związany z ruchem oporu – odparła głucho ciotka. W jej oczach na moment zapaliło się osobliwe światło.

– Przez pewien czas? – Co to miałyby znaczyć?

– Tak. – Rozalia nie zmieniła tonu.

– Dla ciotki Wandy musiało to być bardzo smutne przeżycie – rzekła cicho Weronika, uznając, że wypada jakoś skomentować to, czego się przed chwilą dowiedziała.

– Smutne przeżycie?

W tonie głosu Rozalii Ostrowskiej było teraz coś takiego, co sprawiło, że Weronika zadrżała. Nie umiała tego nazwać. Niedowierzenie? Zgroza? Oburzenie? Ironia? Nie istniało jedno określenie.

– W jaki sposób... Jak on zginął? – spytała nieco zmieszana Weronika. Zdawała sobie sprawę, że być może niezręcznie się wyraziła.

Rozalia potrzasnęła głową, jakby starała się uporządkować własne myśli, po czym również, tak jak przedtem Weronika, podniosła się z fotela i podeszła do balustrady. Nie odwzajemniała jednak spojrzenia młodszej kobiety.

– To było pod koniec maja czterdziestego czwartego roku... – zaczęła i przerwała, jakby kolejne słowa były zbyt trudne, by precyzyjnie się przez jej gardło.

– W maju czterdziestego czwartego roku? – Weronika patrzyła z niedowierzaniem na ciotkę. Nagła myśl, podejrzenie poraziło ją niczym uderzenie pioruna. Czemu wcześniej nie wzięła pod uwagę takiej możliwości? – Wtedy, gdy Wanda... – Tym razem to ona nie była w stanie dokończyć.

– Tego samego dnia. – Rozalia mówiła teraz bardzo cicho. – Wanda straciła Staszka, a kilka godzin później... ich dziecko.

Rozdział 4

Natknęłam się na niego zupełnie niespodziewanie pod koniec kwietnia czterdziestego trzeciego roku, ponad rok od jego zniknięcia. To był ponury, zimny, deszczowy dzień. Taki, który nie nastraja optymistycznie, lecz sprawia, że zapomina się o wiosnie, a jeśli już się o niej pomyśli, to raczej z powątpiewaniem, by kiedykolwiek miała jeszcze nadejść. Brnąc w kierunku dworca kolejowego, poślizgnęłam się na błocie i pewnie runęłabym na ziemię, walając w brudzie pożyczony od mamy płaszczyk, gdyby w ostatniej chwili nie przytrzymał mnie jakiś miły chłopak. Przy okazji wesoło, a zarazem grzecznie do mnie zagadał, a ja, rzuciwszy na niego okiem, stwierdziłam, że był całkiem niczego sobie, ale potem odruchowo odwróciłam wzrok i zamarłam. Kilkadziesiąt kroków dalej zobaczyłam wyłaniającego się z tłumu podróżnych Staszka. Przez moment miałam takie wrażenie, jakby cały świat wokół nas nagle przestał istnieć. W tym również sympatyczny młody człowiek, który uratował mnie przed upadkiem i być może skręceniem nogi. W tej jednej chwili zapomniałam nawet o nim, przestał mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie i nigdy potem go już nie spotkałam. W tamtym momencie widziałam wyłącznie Staszka i tylko on się liczył. Nie mogłam się jednak poruszyć, nie byłam w stanie go zawołać. Stałam jak zaczarowana, zupełnie obojętna na potrącających mnie, spieszących się ludzi. Gdyby w tamtej chwili Niemcy urządzili

łapankę, z pewnością nawet nie podjęłabym próby ucieczki. Tak naprawdę Staszek mógł mnie wcale nie spostrzec, sprawiał bowiem wrażenie pochłoniętego swoimi myślami i sprawami. W dodatku nie rozglądał się na boki, miał skupiony i jakby trochę nieobecny wyraz twarzy. Byłam nawet pewna, że przejdzie nieopodal mnie, minimy się i ponownie stracę go z oczu. Tak się jednak nie stało. Choć Bóg mi świadkiem, że potem, po wielu miesiącach, a nawet latach, szczerze żałowałam, że jednak nie poszedł sobie dalej i nie zniknął w tłumie.

Jednak wówczas, gdy spostrzegłam, że mnie zauważył, poczułam niewyobrażalną ulgę. I radość. Wystarczyło, że podszedł i wymówił moje imię, a ja bez chwili zastanowienia rzuciłam mu się na szyję, choć nigdy wcześniej, ani razu, tego nie zrobiłam. Lecz zaraz potem odezwała się we mnie wściekłość, której nie zamierzałam tłumić.

– Gdzieś ty był?! – warknęłam. – Gdzieś się podziewał przez tyle czasu?! Stróż powiedział, że się wyprowadziłeś, a mnie trudno było przyjąć do wiadomości, że zrobiłeś to bez jednego słowa, bez jakiegokolwiek uprzedzenia, wyjaśnienia. Tak jakbym nic dla ciebie nie znaczyła... – W tym momencie dotarło do mnie, że nieco się zagalopowałam. Przecież do tej pory Staszek ani razu nie dał mi do zrozumienia, że... Ze mną było zresztą podobnie. Aż do tej chwili.

Zreflektowawszy się, poczułam się jak ostatnia idiotka, ale postanowiłam jakoś wybrnąć z sytuacji.

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi – dodałam wobec tego.

– Wiem. Głupio wyszło. Przepraszam – odparł i uśmiechnął się tym swoim uroczym, rozbijającym uśmiechem małego urwisa, który wie, że nabroił, a teraz liczy na to, że uda mu się jakoś rozczulić tych, których zawiódł. Zdawałam sobie oczywiście sprawę, jak podstępna jest ta metoda, toteż postanowiłam, że nie dam się złapać się na lep.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – najeżyłam się.

Ale już wiedziałam, że zmięknę tak jak inni, czy raczej inne, którym w ten sposób patrzył w oczy.

– Co się z tobą tak naprawdę działo? – spytałam, jeszcze nadąsana, choć już znacznie spokojniejsza.

– Kiedyś ci opowiem, obiecuję – rzekł i tym razem odniosłam wrażenie, że mówił poważnie.

– Ukrywałeś się? – spytałam, bo takie właśnie wytłumaczenie ni z tego, ni z owego zaświtało mi w głowie, zaraz się jednak wystraszyłam. Nawet nie ściszyłam głosu, a przecież wokół było pełno ludzi. W dodatku oboje ze Staszkiem już wystarczająco zwracaliśmy na siebie uwagę. On zresztą doszedł do podobnego wniosku, bo znacząco położył palec na moich ustach, a potem chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą.

– Chodź, pogadamy.

Ruszyłam za nim, choć tego dnia miałam zupełnie inne plany. Ale mniejsza o nie, myślałam, mniejsza o wszystkie inne plany. Mniejsza o cały świat i to koszarne wariactwo, jakie na nim od kilku lat panuje. Idąc pospiesznie obok Staszka, czując silny uścisk jego dłoni, miałam wrażenie, jakby skrzydła wyrosły mi u ramion. Serce tłukło się we mnie jak szalone, byłam pewna, że nie tylko on to słyszał, ale i wszyscy ludzie, których mijaliśmy po drodze. Nie pytałam, dokąd mnie prowadził. Poszłabym za nim wszędzie. Przecinając ulicę Grójecką, a potem, zbliżając się do placu Narutowicza, byłam tak szczęśliwa, jak jeszcze nigdy dotąd.

Na podwórzu starej kamienicy natknęliśmy się na stróża, który na nasz widok na chwilę przestał zamiatać, wyprostował się i uchylił czapki. Podchwyciłam jego dwuznaczny uśmiezek, odgadłam, co miał na myśli, ale kompletnie o to nie dbałam. Staszek także zauważył spojrzenie starego, ale w przeciwieństwie do mnie zareagował.

– Dzień dobry, panie Różycki – zagadnął i wskazując na mnie, dodał: – To moja narzeczona.

Tak, to właśnie wtedy po raz pierwszy tak mnie nazwał. Swoją narzeczoną. A mnie po raz drugi tego dnia odjęło mowę i spiekłam raka.

– No jasne, jasne. – Stróż wciąż uśmiechał się półgębkiem. – Która to już narzeczona, panie Staszku? Gdy pomyślę, że ja z jedną kobitą przez całe życie... Ech... – Machnął ręką z udawaną rezygnacją.

– Dobrze, dobrze, panie Różycki, tylko bez takich... – Staszek żartobliwie mu pogroził.

– A co mi do tego, panie Staszku. Młodość musi się wyszumieć. Zwłaszcza że nie wiadomo, co będzie jutro. – Różycki wzruszył ramionami. – I czy w ogóle będzie jakieś jutro... – Powiedział to tak, jakby niepewna perspektywa jutra niekoniecznie go zmartwiła. Jakby nie warto było łamać tym sobie głowy... dziś.

Ton jego głosu sprawił, że zamiast się obruszyć, od razu go polubiłam.

Zanim ponownie wziął się za zamykanie, wskazał miotłą w kierunku okien.

– Każdy stara się cieszyć życiem po swojemu. Młodzi tak, a starzy inaczej. Na ten przykład stara Bujanowska tyle ma z tego życia przyjemności, co sobie na innych popatrzy.

Odruchowo podniosłam głowę i spostrzegłam, że w jednym z okien poruszyła się firanka. Nie miałam jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo Staszek pociągnął mnie za sobą na górę, do mieszkania na drugim piętrze. Było nieduże, zaledwie jeden pokój, mała kuchnia, mikroskopijna łazienka, ciasny korytarz. Miałam wprawdzie zapytać go o te wszystkie „narzeczone”, o których wspomniał stróż, ale nagle uznałam, że to bez znaczenia. Co innego teraz chodziło mi po głowie.

– Więc tu się przeprowadziłeś? – Pytanie było oczywiście retoryczne, niemniej Staszek mi odpowiedział.

– Tak. Tak wyszło.

„Dlaczego?”, chciałam go w pierwszej chwili zapytać, ale ugryzłam się w język. Uznałam, że nie muszę tego wiedzieć. Nie chcę. Już dawniej podejrzewałam, że miał jakieś kontakty z ruchem oporu. Janek także niedwuznacznie dawał mi to do zrozumienia, jakby w ten sposób chciał mnie ostrzec, abym nie angażowała się zbyt w znajomość, która mogła się skończyć tragicznie również dla mnie. Nie musiał mnie ostrzegać, miałam tego świadomość. A mimo to... Może właśnie dlatego nie potrafiłam wtedy zrezygnować z tej przyjaźni. Staszek nigdy mi nawet nie wspomniął o swoim ewentualnym zaangażowaniu, ja zaś wolałam o to nie pytać. Wystarczyły mi opinie, które czasem wygłaszał na temat wojny, a także decyzji podejmowanych przez wielkich tego świata. I na temat perspektyw – na ogół w jego przypadku pesymistycznych – co do przyszłości naszego państwa i narodu. Przypomniałam sobie, że raz czy dwa razy ściał się przez ten temat z moją bratową, choć to raczej ona go wtedy zaatakowała, bo on najwyraźniej nie miał ochoty na żadne dyskusje, przynajmniej z nią. W końcu Janek dał swojej żonie do zrozumienia, by się przymknęła, co ona, rada nierada, musiała przyjąć do wiadomości i się zastosować.

Teraz, gdy ponownie, po tylu miesiącach, znalazłam się blisko Staszka, postanowiłam, że tak jak dawniej, nie będę go wypytywać o sprawy, o których lepiej, abym nie wiedziała.

– Napijesz się herbaty? – zagadał wesoło. – Zdobyłem nawet cukier. A z ostatniej wyprawy na wieś przywiozłem kielbasę, palce lizać. Pouczujemy sobie.

– Wiesz, że wybierałam się dzisiaj do Bożanowa, do brata? – spytałam, obserwując, jak przygotowywał stół do naszej „uczty”. – Przy najbliższej

okazji powiem mu, że porwałś mnie z dworca i dlatego nie przyjechałam.

Zauważyłam, że spochmurniał. Choć zaraz ponownie zmusił się do uśmiechu.

– Nie będzie z tego zadowolony – mruknął.

– Dlaczego? – Odgadywałam, jaka będzie odpowiedź na to pytanie, ale nie mogłam sobie odmówić, by je zadać.

Wzruszył tylko ramionami, układając na talerzu kawałki rzeczywiście wspaniale pachnącej kiełbasy.

– Z nim także nie widziałeś się przez ten czas? – spytałam ostrożnie.

– Czasem się widujemy. Choć bardzo rzadko. W każdym razie w Bożanowie już dawno nie byłam.

– Janek nic mi o tym nie mówił. – Nawet nie starałam się ukryć pretensji.

– A pytałaś go? – Przekorny uśmieszek przemknął mu po twarzy.

Tym pytaniem zamknął mi na chwilę usta.

Nie pytałam o ciebie, bo byłam zła, że zniknąłeś bez słowa, a nie chciałam zdradzać się przed rodziną, jak bardzo mnie to ubodło, jak bardzo mi na tobie zależy. Taka była prawdziwa odpowiedź na jego pytanie, ale nie wyobrażałam sobie, że mogłabym powiedzieć to na głos, patrząc mu w oczy. Jemu przecież na mnie nie zależało. Gdyby było inaczej, skontaktowałby się ze mną wcześniej. Znalazłby jakiś sposób. Ponownie przypominałam sobie wzmiankę stróża o „narzeczonych”, które odwiedzały go w tym mieszkaniu, i ponownie poczułam gorąco na policzkach.

Staszek zauważył mój rumieniec i domyślił się wszystkiego. Przestał się uśmiechać, w każdym razie nie w taki sposób jak poprzednio. Popatrzył na mnie ciepło, pogodnie, życzliwie.

– Musiałem poluzować niektóre kontakty i przyjaźnie – wyjaśnił spokojnie. – Nawet z bliskimi widuję się rzadziej. Uwierz mi, tak trzeba. –

Czekałam ze ściśniętym sercem na jego dalsze słowa. Położył mi dłoń na ramieniu i zajął głęboko w oczy. – Obiecałem Jankowi, że nie będę cię szukał. Bardzo mu na tym zależało, więc...

– A jednak złamałeś tę obietnicę – przerwałam mu, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Wściekłość na brata za to, że wciąż traktował mnie jak dziewczynkę i wtrącał się w moje sprawy, walczyła we mnie o lepsze z podnieceniem i jakimś nerwowym rozedrganiem spowodowanym bliskością Staszka.

– Nie – zaprzeczył, odnosząc się do mojej uwagi. – Nie szukałem z tobą kontaktu. To czysty przypadek, że się na siebie natknęliśmy. Nie musiało się tak stać. Więc może to przeznaczenie? – Ostatnie zdanie ponownie zabrzmiało żartobliwie, we mnie jednak znowu zatłukło się serce.

Oczywiście, że przeznaczenie. Jakżeby inaczej!

Spędziliśmy wtedy ze sobą kilka godzin. Mieliśmy tyle do powiedzenia! Uzbierało się przez ten bez mała rok, gdy straciłam go z oczu. Wspomniałam o mojej maleńkiej bratanicy Weronice, która urodziła się prawie trzy miesiące temu, ale wiedział o tym.

– Janek jest taki dumny z córeczki – rzuciłam z emfazą, jak zawsze, gdy rozmowa dotyczyła maleństwa. – Dziecko na szczęście jest podobne do niego, nie do matki – dodałam, zanim zdążyłam ugryźć się w język. Głupio mi się zrobiło, nie powinnam była mówić tego na głos. Domyślałam się wprawdzie, że Staszek nie przepadał za Izą – awersja była zresztą wzajemna – tak jak i on zdawał sobie sprawę, że nie dogadywałam się z bratową, niemniej pewne spostrzeżenia lepiej zachować dla siebie. Tym bardziej że po narodzinach małej Weroniki podjęłam pewne próby pojednania się z jej matką. Wprawdzie na razie zupełnie przez nią ignorowane, niemniej jeszcze wtedy nie traciłam nadziei na jakiś przełom w naszych wzajemnych relacjach. Z pewnością jednak do tego przełomu nie

dojdzie, jeśli będę sobie pozwalala na takie uwagi jak ta, którą przed chwilą wygłosiłam.

Na szczęście Staszek nie skomentował moich słów, paradoksalnie jednak wzmianka o narodzinach mojej małej bratanicy naprowadziła nas na temat klęski Niemców pod Stalingradem – a to dlatego, że obydwie te wydarzenia dosłownie zbiegły się w czasie. Oba miały miejsce na początku lutego czterdziestego trzeciego roku.

Niemcy, którzy dotąd szumnie i z pompą na łamach każdej gazety i z każdej ulicznej „szczekaczki” wychwalali kolejne zwycięstwa Wehrmachtu, tym razem, porażeni rozmiarami klęski, nawet nie próbowali minimalizować jej znaczenia, a co dopiero ukrywać ten fakt. Na wszystkich publicznych gmachach okupowanej Europy wywieszono zostały czarne flagi i ogłoszono żałobę po III Armii.

Pierwszą tak poważną niemiecką klęskę większość okupowanych społeczeństw przyjęła z ulgą, a nawet entuzjazmem, ale z oczywistych przyczyn publicznie ich nie okazywano. Staszek należał jednak do tej mniejszości, która uznała, że przynajmniej my, Polacy, nie bardzo się mamy z czego cieszyć.

– Zwycięstwo Stalina nad Hitlerem w dalszej perspektywie będzie dla nas oznaczać kolejną, tym razem sowiecką, okupację – powiedział. – Wspomnisz moje słowa – skwitował, gdy próbowałam mu zaprzeczyć.

Słabo się znałam na polityce, a o wojnie w ogóle nie lubiłam rozmawiać. Wystarczyło mi, że okupacyjna rzeczywistość wdzierła się w niemal każdą szczelinę mojego życia. Pamiętałam jednak, że Staszek nie uciekał od takich tematów, że jego często „niepoprawne” poglądy wzbudzały we mnie fale oburzenia. Przecież w podobnym tonie rozmawiał ze mną w czerwcu czterdziestego pierwszego roku, na weselu Janka, zaraz po ataku Niemiec na Związek Sowiecki. Wprawdzie wtedy Rosjanie cofali

się na wszystkich frontach, ponosząc ogromne straty, niemniej już wówczas Staszek w czarnych barwach widział ewentualny przełom. Jego poglądy w tej kwestii bardzo kiedyś oburzyły moją bratową. Użyła nawet określenia, że takie słowa to „zdrada”.

Ponowne wspomnienie Izy sprawiło, że postanowiłam szybko zmienić temat. Tego dnia myślałam o niej zbyt często. I to właśnie dziś – gdy rozpierała mnie radość z ponownego spotkania z przyjacielem.

– Dość już o tym – zakomenderowałam. – Widzę, że masz gramofon.

– Chcesz posłuchać muzyki? – Jeśli zmiana tematu go zaskoczyła (a zapewne tak było), to nie dał tego po sobie poznać. Nawet się roześmiał.

– Mam ochotę potańczyć – oznajmiłam niemal wyzywająco.

– Teraz? Tutaj? – Chyba musiał się upewnić, czy dobrze mnie zrozumiał.

Bez wątpienia udało mi się go zaskoczyć, z czego byłam bardzo rada.

– Właśnie. Tak jak na weselu Jasia. Byłeś najlepszym tancerzem ze wszystkich obecnych. Oczywiście mojego brata nie biorę pod uwagę, bo ma dwie lewe nogi do tańca i porusza się, jakby kij połknął.

To samo zresztą dotyczy jego żony, dodałam, ale już tylko w myślach. Tym razem na szczęście zadbałam, aby trzymać język za zębami.

Tego wieczora opuściłam mieszkanie Staszka w ostatniej chwili, by zdążyć wrócić do siebie przed godziną policyjną. Odprowadził mnie kilka ulic, ale nie towarzyszył mi do samego domu. Nie chcieliśmy rzucać się w oczy sąsiadom, o moich rodzicach nie wspominając. Nie miałam bowiem cienia wątpliwości, że nie byliby zachwyceni (delikatnie mówiąc) odnowieniem moich kontaktów ze Staszkiem. Co do tego mieli takie same zastrzeżenia jak Janek, i choć o to nie dbałam, nie chciałam wysłuchiwać ich zrządzenia.

Wychodząc, ponownie natknęliśmy się na stróża. Na nasz widok zerknął na zegarek, uśmiechnął się pod nosem i znacząco pokręcił głową, podkreślając przy tym wąsa. Oczywiście oboje ze Staszkiem zgadywaliśmy, o co mu chodziło, żadne z nas jednak na to nie zareagowało. Niezależnie od siebie uznaliśmy, że jakikolwiek komentarz jest tu zbędny. Tamtego dnia nie zaszło przecież między nami nic, co potwierdzałoby podejrzenia starego dozorca. Nic poza rozmową, przekomarzaniem się, tańcem. Choć z drugiej strony sama przed sobą musiałam jednak przyznać, że w istocie stało się coś więcej – uzmysłowiłam sobie to, czemu niegdyś tak zajadle zaprzeczałam, zarówno przed bratem, jak i przed samą sobą. Staszek znaczył dla mnie więcej, niż znaczyłby jako przyjaciel – nie mogłam i nie chciałam się już dłużej oszukiwać. A on doskonale odgadywał moje uczucia. Wobec tego nie mogło już być mowy o tym, abyśmy zgodnie z życzeniem moich rodziców, brata i bratowej trzymali się z daleka od siebie. Wręcz przeciwnie, w miarę upływu czasu nasze kontakty stawały się coraz bardziej zażyłe.

Kilka miesięcy później domysły dozorca Różyckiego stały się już jak najbardziej uzasadnione, zostaliśmy kochankami, ja zaś byłam pewna, że oto przeżywam największą miłość i najpiękniejsze dni mojego życia. Tak właśnie myślałam... wtedy.

Dopóki nie poznałam całej prawdy o moim ukochanym. I dopóki kilka lat po wojnie nie związałam się z Paolem Bellodim.

Rozdział 5

– Staszek? – Reczyński na moment znieruchomiał. Weronika nie miała wątpliwości, że jej pytanie wstrząsnęło ojcem. Nawet nie starał się tego ukryć. – Kto ci o nim powiedział? Rozalia?

– Od ciotki Rozalii nie dowiedziałam się zbyt wiele – odparła. Do pewnego stopnia było to prawdą. – Powiedziała, że Mikołajski był twoim bliskim kolegą, a oprócz tego...

– Zawrócił w głowie mojej siostrze – wtrącił Reczyński.

Pomału dochodził już do siebie. Weronika zawsze podziwiała go za umiejętność odnalezienia się w każdej, najbardziej nawet niewygodnej sytuacji.

– Czemu nigdy o tym nie mówiłeś? Czemu nie mówiłeś o nim?

Dlaczego w ogóle z takim trudem mówisz o przeszłości? Takie pytanie także by się przydało, ale na podobne dywagacje przyjdzie pora później. Teraz lepiej nie odchodzić od tematu.

– Miałem opowiadać o człowieku, który wpędził moją siostrę w kłopoty? O tym, że była jedną z całego wianuszka dziewcząt i kobiet, które straciły dla niego głowę? I nie tylko głowę? – prychnął. – Wybacz, ale nie są to opowieści, którymi raczy się dzieci i wnuki.

– Był twoim przyjacielem. – Weronika z trudem zapanowała nad uczuciem przykrości, jakie wywołały w niej słowa ojca. – Zginął w czasie

okupacji. To dla ciebie nic nie znaczy?

W ciszy, jaka zapadła, było coś złowrogiego. W uważnym, przenikliwym spojrzeniu ojca zobaczyła coś, co przejęło ją lękiem. Był to jednak nie tyle gniew, ile... ból. Wywołany otwarciem starej, jako tako zabliźnionej rany.

– Przestał być moim przyjacielem, gdy uwiódł moją siostrę – odparł sucho. – Choćby ze względu na naszą przyjaźń mógł zostawić Wandę w spokoju. Nie musiał także jej włączać do kolekcji swoich trofeów. Prosiłem go, niestety nie posłuchał. Wiesz, czym to się skończyło dla Wandy. Rozalia na pewno nie omieszkała ci o tym powiedzieć.

W ostatnim zdaniu zawarta była jawna ironia.

– Mówisz o człowieku, który działał w konspiracji. Naprawdę miałby czas na uwodzenie kobiet? – Nie mogła powstrzymać się przed tym pytaniem. – Wybacz, tato, ale na podstawie filmów, książek i lekcji w szkole nabrałam innego wyobrażenia o warunkach życia w okupacji.

– Okupacja, czy nawet konspiracja, nie sprawiły, że ludzie przestali ulegać tym samym emocjom i uczuciom, co w czasach pokoju. – Tym razem oczy ojca rzuciły gniewne błyski. – Bynajmniej nie zamieniliśmy się wówczas w chodzące pomniki ze spiżu.

– A nie przyszło ci do głowy, że twoją siostrę traktował jednak inaczej niż pozostałe kobiety? Że naprawdę ją kochał? A ona jego? – podjęła.

– Takie ckliwe pytania zachowaj sobie lepiej na rozmowy z Rozalią. – Ponownie się skrzywił. – Sentymentalne bzdury. Baby je lubią...

– Nie mów tak! – oburzyła się Weronika.

Nie przejął się tym okrzykiem.

– Stach jej nie wyróżniał. Nie traktował poważniej niż innych. Ale ona wierzyła w to, w co chciała. Była uparta jak osioł.

– Z tego wniosek, że, wbrew opinii ciotki Rozalii, twoja siostra była jednak bardzo do ciebie podobna – odcięła się Weronika.

– Co to miało znaczyć? Jakieś osobiste wycieczki?

– Dlaczego nie dopuszczałeś i nadal nie dopuszczasz do siebie myśli, że tych dwoje naprawdę chciało być razem? Dlaczego z góry przekreśliłeś taką możliwość? Przecież się zaręczyli, planowali ślub.

Dlaczego z góry przekreśliłeś Jarka? Naprawdę czułeś satysfakcję, gdy się nam nie udało? – Nie wiedziała, czemu nagle taka refleksja zaświtała jej w głowie. Pojawiła się znienacka, zanim zdążyła nad nią zapanować.

Odniosła przy tym wrażenie, jakby ojciec czytał w jej myślach. I jakby te myśli dodatkowo go rozgniewały.

Ale nie bała się go. W przeszłości kochała go bezwarunkowo, był silny, zaradny i wiedziała, że zawsze mogła liczyć na jego pomoc. Teraz był już starszym człowiekiem, wyglądał na swoje lata. Na twarzy miał wypisane zmęczenie, zniechęcenie, poruszał się wolniej, w ogóle zrobił się jakiś ociężały. Nadal go kochała, ale dostrzegała w nim te wady, których kiedyś nie chciała widzieć.

– Już to tłumaczyłem. Nie będę się powtarzał.

Ponownie zapadła cisza, Reczyński zdjął i przetaił okulary. Weronika postanowiła dać za wygraną. Nic tu po mnie, pomyślała ponuro, niepotrzebnie przyjeżdżałam do Jaktorowa.

Pozwoliła sobie nawet na złośliwą refleksję, że znacznie mądrzej by zrobiła, gdyby dała się namówić znajomym na wyjście do teatru. Zdecydowała jednak, że odwiedzi rodziców, bo może uda jej się nakłonić ojca do kolejnych wspomnień. No cóż, jak widać błędnie rozpoznała sytuację. Najchętniej od razu, czyli jeszcze w sobotę wieczorem, wróciłaby do Warszawy. Oczywiście nie robi tego, zostanie do jutra, wiedziała, że rodzice ucieszyli się z jej wizyty – przecież od kilku tygodni się u nich nie

pokazywała – niemniej nawet nie próbowała maskować rozczarowania. Jaktorowo wydało jej się ponurym, zimnym miejscem i nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej wiązała z tym domem aż tak negatywne uczucia, a po prawdzie jakiegokolwiek negatywne uczucia.

– A zatem Wanda uczyniła Rozalię powiernicą swoich sekretów – usłyszała w tym samym momencie. – Kto by pomyślał? Nie podejrzewałem ich obu o taką zażyłość.

Reczyński unikał spojrzenia córki, pozornie ironizował, jednak w gruncie rzeczy nie ulegało wątpliwości, że był poważnie zaniepokojony. Zauważyłby to nawet średnio spostrzegawczy obserwator. Z jednej strony prowokował, z drugiej – w napięciu czekał na odpowiedź.

– Spotkały się przed wyjazdem ciotki Wandy do Francji – odparła chłodno. – Co w tym dziwnego, że przed opuszczeniem kraju Wanda postanowiła odwiedzić swoją stryjeczną siostrę i pogawędzić z nią jak z przyjaciółką?

Ale oczywiście wiedziała, dlaczego ojca tak to zaskoczyło.

– Wanda nie miała przyjaciółek. – Reczyński ponownie spochmurniał. Nawet pełen złośliwej ironii ton zniknął z jego głosu. – Nie potrafiła, i chyba nie chciała, przyjaźnić się z kobietami.

Rozalia też tak to mniej więcej ujęła, przypomniała sobie Weronika. Dała do zrozumienia, że kobiety były zazdrosne o Wandę.

Uwaga ojca sprawiła, że teraz ona czekała w napięciu na jego dalsze słowa.

– A jednak odwiedziła Rozalię – przypomniała ostrożnie.

– A ta z kolei opowiedziała ci o tym wszystkim z detalami?

– Myślę, że nie o wszystkim i nie z detalami – obruszyła się Weronika. – Dała mi do zrozumienia, że detale znasz tylko ty – dodała

i natychmiast odniosła wrażenie, jakby twarz ojca jeszcze bardziej pociemniała.

– Wiesz już wystarczająco dużo.

Przygryzła wargi. No cóż, dysponowała wiedzą znacznie większą niż jeszcze kilka lat temu, z pewnością jednak nie była to wiedza wystarczająca. Postanowiła zmienić taktykę. Spróbowała podejść ojca z innej strony.

– No dobrze – zauważyła z pozornym spokojem. – Powiedzmy, że nie podobało ci się, że twoja siostra zakochała się w Mikołajskim, choć podobno był twoim przyjacielem. Nie wierzyłeś, aby poważnie ją potraktował. Być może się mylisz, ale nie mogę tego udowodnić, i dlatego zostawmy już tę kwestię. W dalszym ciągu jednak nie pojmuję, dlaczego nie podobał ci się jej związek z Bellodim. Czemu stale podważałeś jej życiowe wybory? Jakby była nierozgarniętą dziewczynką. Miała prawo się wkurzyć, nie uważasz?

Odniosła wrażenie, że chyba przyjął z ulgą zmianę tematu. Co nie zmieniało faktu, że wciąż był niezadowolony. Nie tak sobie wyobrażał wizytę dawno niewidzianej, ukochanej przecież córki.

– Jej małżeństwo z Bellodim mogło nas wpędzić w poważne kłopoty – odparł zniecierpliwiony. – Przypominam, że był to początek lat pięćdziesiątych, jeszcze przed odwilżą. Nasza rodzina wciąż była postrzegana jako element obcy klasowo, w każdej chwili byle kacyk mógł nam to wypomnieć. Mógł mi wypomnieć... Bożanowo...

– Z którego to ty zostałeś ograbiony. Nie na odwrót.

– I co z tego? – zirytował się. Jak zawsze zresztą, gdy wspominał odziedziczony po matce majątek. – Co to zmieniało? Nie głaskali mnie za to po głowie. Ani innych, których spotkało to samo. Pokonany i ograbiony wróg klasowy był nie mniej znienawidzony niż wcześniej.

– Ale nie ty! – Nie mogła sobie darować tej uwagi. – Ty sobie poradziłeś!

Ty przeszedłeś na ich stronę! – Oskar z pewnością dorzuciłby i takie słowa. Ona, mimo wszystko, nie mogła się na to zdobyć. Tak czy owak, ojcu wystarczyło już to, co powiedziała na głos.

– Tak, robiłem, co mogłem, abyśmy wszyscy nie poszli na dno. I nie żałuję moich ówczesnych decyzji, bo takie były czasy. Wielu innych straciło wszystko, nawet życie. My ocaleliśmy, ale miało to swoją cenę. Łatwo teraz ferować wyroki, ale wtedy... – Podniósł się jednak z fotela i podszedł do okna.

O czym myślisz, tato? – chciała zapytać Weronika. – A może raczej... o kim? O tych, którzy wtedy uważali, że pewnych rzeczy nie zrobią za żadną cenę?

Przypomniała sobie to, co Rozalia mówiła o swoim mężu. Nie warto było jednak przypominać o tym ojcu. Niczego by to już nie zmieniło. Zresztą przypuszczała, że i tak pamiętał. Nie tylko o Ostrowskich, ale także o tych innych, o których przed chwilą wspomniał. O tych, którzy stracili wszystko, nawet życie. I którzy – przynajmniej jego zdaniem – poszli na dno. Pamiętał o nich i pewnie dlatego stał teraz odwrócony do niej plecami, zapatrzony w okno.

– A tymczasem Wanda mogła to wszystko zniszczyć. Cały mój wysiłek, wszystkie starania. Mogła to zmarnować swoim nieodpowiedzialnym romanssem z pracownikiem zachodniego konsulatu, z cudzoziemcem.

– Nie przesadzaj. Mówisz tak, jakby Paolo Bellodi był agentem obcego wywiadu, a nie pracownikiem naukowym odpowiedzialnym za bibliotekę – prychnęła.

Nie odwrócił się od okna, ale i tak odgadła, że potraktował jej słowa jak opinię naiwnej idiotki. Wystarczyło, że pokręcił głową i wzruszył

ramionami.

– A ty oczywiście myślisz, że agenci obcego wywiadu przypominali Jamesa Bonda albo Hansa Klossa. Nie, córeczko. Przyjmij do wiadomości, że wyglądali jak zwykli, szarzy ludzie na ulicach, pozornie niczym się nie wyróżniali. Byli nauczycielami, urzędnikami, szatniarzami i... bibliotekarzami. Oczywiście nie twierdzę, aby Bellodi był superagentem – dodał, jakby chciał uprzędzić jej protesty. – Ani nawet zwykłym agentem. Ale każdy cudzoziemiec, który był akredytowany w naszym kraju, miał od razu przyczepiony tak zwany ogon i był pod obserwacją. Zresztą pewnie nadal tak jest, ale wtedy było to szczególnie groźne. Miał status podejrzanego i to automatycznie dotyczyło każdego Polaka, który nawiązał z nim jakiegokolwiek stosunki. W tym także, a może przede wszystkim, panienek, które chciały sobie w ten sposób zapewnić lepszy byt i niejednokrotnie szły na całego, wygrzewając łóżka kolejnych obcokrajowców. Nie bacząc, że z powodu swojej głupoty ściągają kłopoty nie tylko na siebie, ale i na całą rodzinę.

– Widzę, że miałaś bardzo pochlebną opinię o własnej siostrze – sarknęła Weronika. Oczywiście, gdy tylko zdołała wydobyć z siebie głos. To, co przed chwilą usłyszała, wstrząsnęło nią do głębi. Jednak nie z powodu prowadzenia się ciotki ani ewentualnej misji szpiegowskiej Bellodiego.

Patrzyła na ojca, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. W każdym razie takim jak teraz nie widziała go jeszcze nigdy dotąd. Zawsze uważała go za zaradnego, silnego, przebojowego faceta. Kiedyś odzwierciedlał w jej oczach ideał mężczyzny, który poradzi sobie w każdej sytuacji, zawsze będzie skuteczny i zdolny pomóc. Oczywiście miało to swoje konsekwencje, ojciec bywał apodyktyczny, ale z drugiej strony zapewniał poczucie bezpieczeństwa. Z tym wizerunkiem przegrywali w jej oczach

inni, nie tak wpływowi, więc słabsi – jak uważała. W tym jej teść i – przede wszystkim – mąż. Nawet Oskar, pozornie tak niezależny.

To właśnie Oskar powiedział jej kiedyś, że zawsze się myliła w ocenie ojca. „Nasz stary nigdy nie był silny – oświadczył. – Nasz stary przez większość życia panicznie się bał. Stale się pilnował i niekiedy wręcz umierał ze strachu, że w końcu się pomyli i postawi nie na tę klikę, nie na ten układ, co trzeba. Że popełni błąd, że powie coś nie tak. Albo że my powiemy. Ty, ja, kiedyś jeszcze Jarek. Teraz twoi synowie. A tym samym wszystko, na co on postawił, trafi szlag. W gruncie rzeczy niczego samodzielnie nie zbudował. Bo coś takiego może zrobić tylko człowiek niezależny, a ojciec od kilkudziesięciu lat jest uwikłany. Ubrany po szyję!”.

Obruszyła się wtedy, jak zawsze, gdy dyskutowała z bratem na temat ojca. „Nie miał wyjścia – dowodziła. – Łatwo ci mówić: niezależność. W dzisiejszym świecie nie istnieje coś takiego. Jeśli się ma rodzinę, trzeba iść na różne kompromisy. Inaczej do niczego się nie dojdzie, jakkolwiek parszywie by to nie zabrzmiało”.

„Zabrzmiało wyjątkowo parszywie – odparł Oskar. – Prawda jest taka, że tylko człowiek wewnętrznie wolny i niezależny jest panem samego siebie. Ojciec przez przeważającą część swojego życia komuś służył. Był spętany. Popatrz tylko na niego. Czy tak wygląda człowiek szczęśliwy, który jest panem świata i niczego się nie boi?”.

Właśnie dziś patrzyła i nie miała już najmniejszych wątpliwości, że brat miał rację. Postanowiła nawet, że mu to powie, przy najbliższej okazji. Zasłużył na to, bo w przeciwieństwie do niej nigdy nie dał sobie przewiązać oczu.

W pewnym sensie żal jej było ojca. Dobiegał siedemdziesiątki, lecz gdy tak lekko przygarbiony stał przy oknie, odwrócony do niej tyłem, sprawiał

wrażenie znacznie starszego człowieka. W sensie materialnym niczego mu nie brakowało, był ustawiony. Jednak zapłacił za to ogromną cenę. Zrezygnował z własnej wolności, a to oznaczało, że w pewnym sensie poszedł na dno, zupełnie jak tamci, którzy w przeszłości służyć nie chcieli.

– Lepiej, że Wanda stąd wyjechała. – Głos ojca dobiegł ją jak z innej galaktyki. Wciąż tlił się w nim gniew, ale więcej słyszała smutku i rezygnacji. – Jeśli już postanowiła go poślubić, dobrze, że powiadomiła nas, kiedy już było po wszystkim.

– Z pewnością – potwierdziła z ironią Weronika. – Dzięki temu mogłeś potem zapewniać różnych ważniaków, że z „wybrykiem” siostry nie miałeś nic wspólnego. I z nią samą także już nie chcesz mieć. Tym bardziej że zerwaliście wszelkie kontakty.

Przygarbił się jeszcze bardziej, tak jakby uchylał się przed ciosem. Postanowiła, że da mu już spokój. Wystarczy, tym razem faktycznie wiedziała już wszystko.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła Izabella. Nigdy nie wchodziła tu bez pukania, w każdym razie Weronika nie przypominała sobie, by kiedykolwiek było inaczej. Choć dla odmiany ona sama mogła tu zaglądać o każdej porze. Matkę obowiązywały jednak inne zasady, a ponieważ nigdy przeciwko nim nie protestowała, Weronika także uznała je za... oczywiste. Dopiero dziś zrobiło to na niej przykre wrażenie. Nawet jeśli nie od dziś zdawała sobie sprawę, jak marnym małżeństwem byli jej rodzice. Apodyktyczny ojciec i podporządkowana mu we wszystkim żona. Dopóki oboje byli młodzi, w pełni sił, wspólne życie było pewnie znośniejsze. Pracowali, dorabiali się, w domu mieszkali dzieci, wokół których kręcił się ich świat. Oskar wprawdzie wybył stąd tak szybko, jak to było możliwe, Weronika jednak stale wracała. Nawet wtedy, gdy miała własną rodzinę. Spędzając tu tak wiele czasu, w pewnym sensie

w dalszym ciągu urozmaicała ich życie. Potem drastycznie ograniczyła wizyty i od tamtej pory rodzice byli już zdani wyłącznie na swoje własne towarzystwo. Dopóki w dalszym ciągu pracowali, jakoś dawali sobie z tym radę. Teraz jednak mieli mnóstwo wolnego czasu. Długie, niemal niekończące się godziny, z którymi nie mieli co zrobić. Na samą myśl o tym Weronice ścisnęło się serce. Zwłaszcza że matka także w ostatnich latach w widoczny sposób się postarzała i przestała o siebie dbać.

– Obiad gotowy. Przyjdziecie? – spytała, jakby prosiła o jakąś łaskę.

– Oczywiście, mamo, już idziemy – odparła przejęta nagłym smutkiem Weronika. Wyciągnęła rękę do ojca. – Tato, chodź. – Starła się, by zabrzmiało to pogodnie.

Pogadaliśmy sobie szczerze, trochę bolało, jednak tak to jest z tą szczerością. Czasami musi boleć. Ale już teraz dajmy temu spokój, nie będziemy wracać do tamtych spraw. Chciała, aby tak zrozumiał jej gest, ale Reczyński nie wyszedł córce naprzeciw. Nawet się nie odwrócił, wciąż patrzył w okno.

– Nie jestem głodny – odparł chłodno.

Weronika zerknęła niepewnie na matkę i to jedno spojrzenie wystarczyło jej, by zrozumieć, że Izabella Reczyńska nieraz otrzymywała taką właśnie odpowiedź, gdy prosiła męża do stołu. Nie wołała, lecz prosiła.

– Gniewasz się na mnie? – spytała cicho Weronika, zwracając się ponownie do ojca.

– Nie jestem głodny – powtórzył. Jeszcze bardziej oschle niż poprzednio.

I już go nie nagabywała, lecz ująwszy matkę pod ramię, razem z nią opuściła pokój.

Rozdział 6

– Tak więc, braciszku, jak zwykle miałaś rację. To ja byłam głupia. Też jak zwykle – podsumowała swoją opowieść Weronika.

Siedzieli obok siebie na dużym, wygodnym balkonie, w mieszkaniu Oskara. Przed nimi, w dole, rozpościerał się imponujący widok na Wisłę i prawobrzeżną część Warszawy. W oddali można było także dostrzec wieże praskiej katedry po drugiej stronie rzeki. Tylko ze względu na tę panoramę Weronika od czasu do czasu zdobywała się na odwagę, aby wyjść na ten balkon, ale nawet wtedy, gdy podziwiała widoki, nie zapomniała, że ma pod sobą dziesięć pięter. I dlatego wolała zatrzymać się w drzwiach, co Oskar za każdym razem niemiłosiernie wykpiwał.

– Ależ jesteś strachliwa, siostrzyczko – śmiał się. – Nie za dużo tych strachów w twoim życiu?

Za dużo, przyznawała mu w duchu. Wiedziała, że to żalosne, ale nic na to nie mogła poradzić. Skoro w przeszłości nigdy nie walczyła z fobiami, pogodziła się z nimi, a niektóre nawet polubiła, teraz już za późno, aby to zmienić.

Tym razem jednak miała okazję opowiedzieć o strachu, który przez kawał życia był nieodłącznym towarzyszem ich ojca. Oczekiwała komentarzy, choćby takich w stylu: „A nie mówiłem? Niczym mnie nie zaskoczyłaś”; brat jednak milczał. Najprawdopodobniej dlatego, że

faktycznie nie był niczym zaskoczony, nie dowiedział się niczego, o czym nie wiedziałby już wcześniej lub czego już od dawna nie podejrzewał. A w związku z tym nie widział również powodu, aby chwalić ją, że wreszcie wpadła na to samo, co on odkrył już dawno temu, albo drwić, że zajęło jej to tyle czasu.

Wobec tego zdecydowała się powiedzieć coś, co od ostatniej rozmowy z ojcem nie dawało jej spokoju.

– Jestem prawie pewna, że ten list, a może listy, o których kiedyś była mowa, jednak naprawdę istniały. Te, które ciotka na krótko przed śmiercią miała do nas napisać, a które według ojca nigdy nie dotarły do Jaktorowa – doprecyzowała, napotkawszy zagadkowe spojrzenie brata. – Otóż myślę, że jednak dotarły. Ale ojciec, wystraszony, że za utrzymywanie kontaktów z siostrą, która mieszkała za granicą, mogą go spotkać przykre konsekwencje, po prostu te listy zniszczył.

– Wątpię, by z tego powodu zniszczył listy – odezwał się wreszcie Oskar. – Wedle tego, o czym wspomniała Lucia, ciotka Wanda napisała je niedługo przed śmiercią, a więc w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. To pod pewnymi względami nadal były gówniane czasy, ale lata stalinowsko-bierutowskiego terroru należały już do historii. Ludzie nie bali się już przyznawać do krewnych za granicą. Oczywiście były wyjątki od tej reguły, ale nie sądzę, by dotyczyły właśnie ojca i jego siostry.

Weronika się zastanowiła. No cóż, miało to sens.

– Myślisz, że ojciec w dalszym ciągu był tak wściekły na ciotkę, że nawet po latach, w nowych okolicznościach, nie zamierzał dopuścić do wznowienia kontaktów?

– Nie wiem. – Oskar wzruszył ramionami. – To chyba nawet w jego wykonaniu nie jest możliwe. Istnieją jakieś granice absurdu, ale każdy ma inne. Tak do końca nigdy nie udało mi się rozszyfrować naszego starego.

Jest skryty i zawzięty, ale przecież kiedyś kochał swoją siostrę. Może jednak Lucia nie wie o wszystkim. Może Wanda zrezygnowała z napisania tego listu, a może faktycznie napisała, lecz go nigdy nie wysłała. Nie można też wykluczyć, że naprawdę zaginął po drodze, nie takie rzeczy ginęły na poczcie. – Skrzywił się, ale zaraz się uśmiechnął. – Myślę, że już nigdy tego nie rozstrzygniemy, więc może dajmy spokój.

– Chyba masz rację – zgodziła się po krótkim namyśle. – Nie będę więcej wałkować sprawy tych listów.

– Tak przecież postanowiliśmy przed laty.

– Dokładnie tak.

Pewnie w ogóle nie warto rozmawiać o przeszłości, uznała. Czy w ogóle miała prawo oceniać decyzje ojca?

Wzdrygnęła się, gdy ponownie rzuciła okiem na rozpościerającą się przed ich oczami panoramę. Widok, który do tej pory jednocześnie ją zachwycał i przerażał, nagle stracił wszelki powab.

– Wejźmy do środka – poprosiła, podnosząc się z krzesła. – Robi się zimno.

Nie kłamała, naprawdę czuła chłód, który jednak nie pochodził z zewnątrz, lecz zagościł gdzieś wewnątrz jej ciała.

Nauczona doświadczeniem, czekała na jakąś kpiarską uwagę brata, który zapewne, jak zwykle, nie omieszka zadrwić z jej lęku wysokości – tym razem jednak tak się nie stało. Oskar zaledwie na nią zerknął, ale nawet się nie poruszył. A gdy wreszcie się odezwał, w jego słowach nie było nawet śladu drwiny.

– Być może powinienem był ci wspomnieć o jeszcze jednej sprawie...

– Jakiej sprawie? – W tonie brata było coś, co sprawiło, że Weronika mimowolnie zadrżała. Chłód, jaki do tej pory czuła, stał się jeszcze bardziej dojmujący.

– Nie ekscytuj się tak. – Teraz, spostrzegłszy napięcie na jej twarzy, próbował znowu żartować. – Nie spodziewaj się wielkiej sensacji.

– O co chodzi? – Przyjrzała mu się podejrzliwie. Na pierwszy rzut oka nie wyczytała niczego z jego twarzy, ale nie mogła się tym sugerować. Potrafił być prawdziwym mistrzem kamuflażu, zawsze o tym pamiętała.

– Jakies dwa lata po mojej podróży do Francji Lucia ponownie do mnie napisała i poinformowała, że znalazła coś w starym notesie macochy. Nigdy nie pozbyła się książek Wandy, jej bibelotów, zdjęć ani innych takich pamiątek. Także jej notesu.

– Notesu? – Weronika wyraźnie słyszała tłuczenie własnego serca. – Pamiętnik?

Ale przecież zapiski Wandy były na strychu w domu Rozalii, pomyślała szybko. Znaleźli je Michał i Piotrek. Kilka lat temu.

Zatem coś się tu nie zgadzało.

– Nie. Nic z tych rzeczy – odparł Oskar. – To jedynie spis nazwisk, telefonów i adresów, względnie jakies krótkie, odręczne notatki przy nazwisku tej czy innej osoby. Raczej przypomnienie, aby skontaktować się, coś załatwić. Przeważnie zresztą to francuskie nazwiska: znajomi, krawcowe, fryzjerzy, lekarze.

– No i co z tego? – Weronika nie kryła rozczarowania.

– Było też kilka polskich nazwisk.

– Tak?

Cały Oskar, pomyślała z irytacją. Był już po czterdziestce, a pod pewnymi względami wciąż zachował zwyczaje nastolatka. A nawet jeszcze młodszego dzieciaka. Gdy miał w zanadrzu jakąś sensację, nigdy nie mówił wprost. Sączył informacje, umiejętnie podsycając ciekawość słuchacza, a nierzadko doprowadzając go przy tym do wściekłości. I dopiero wtedy

rzucał bombę. Weronika zawsze dawała się złapać na te chwytły i nie wyglądało na to, by cokolwiek miało się w tej mierze zmienić.

– Co to za nazwiska? – spytała niecierpliwie. W takich chwilach zawsze myślała, że zamordować go to mała. Oczywiście mogła udawać obojętność, ale wiedziała, że nic by to nie dało. Oskar potrafił bezbłędnie odgadnąć, kiedy wręcz gotowała się z ciekawości.

– Zaledwie cztery czy pięć, z czego większość nic mi nie mówi. Przypuszczam, że jakieś dawne koleżanki ze studiów albo z pracy. Widać, że ciotka Wanda z niektórymi nie zerwała kontaktu. No i oczywiście jest też adres Rozalii Ostrowskiej.

– Co w tym dziwnego?

– W notesie znajduje się też nazwisko niejkiej Jadwigi Mielskiej z domu... Mikołajskiej.

– Mikołajska? – powtórzyła Weronika i w tym momencie odniosła wrażenie, jakby w jej głowie zapaliła się czerwona lampka. – To nazwisko... To pewnie jakaś krewna tamtego zabitego chłopaka...

– Możliwe. Gdy opowiedziałaś mi, czego dowiedziałaś się od Rozalii, zaraz zaświtała mi myśl, żeby sprawdzić tamte nazwiska. No i... bingo.

– Myślisz, że warto spotkać się z tą kobietą? – zastanowiła się.

– Niby w jakim celu?

– Może ucieszyłaby się z naszej wizyty? – We własnym głosie słyszała jednak niepewność, mimo to kontynuowała: – Załóżmy, że to krewna narzeczonego naszej ciotki, więc może...

Oskar jednak szybko sprowadził ją na ziemię.

– Nie myślisz trochę zbyt szybko i zbyt schematycznie? – To nie był żart. Raczej ostrzeżenie.

– A może przynajmniej ona opowiedziałaby nam więcej o naszej ciotce, skoro reszta rodziny nie bardzo się do tego kwapi? – odparła, nieco

poirytowana jego powściągliwością. – Czemu nie mielibyśmy spróbować?

– Może jednak nie warto? – Oskar wyciągnął papierosa z leżącej na parapecie paczki i sięgnął po zapalniczkę.

– I ty to mówisz? – Nawet się nie starała ukryć sarkazmu w głosie. – Przecież to właśnie ty zainteresowałeś się losami Wandy. Mnie to wtedy w ogóle nie obchodziło. A teraz, gdy już co nieco o niej wiemy, a być może mamy szansę dowiedzieć się więcej, mówisz mi, że nie warto?

– Jeśli o mnie chodzi, wiem już wystarczająco dużo – odparł, nie odwracając wzroku od przejeżdżających Wisłostradą samochodów.

– Powiedziałaś teraz niemal dokładnie to samo, co ojciec – prychnęła, chroniąc się we wnętrzu mieszkania.

Oskar nie odpowiedział. W zamyśleniu zaciągał się papierosem.

Rozdział 7

Potem, już po powrocie do domu, nabrała pewnych wątpliwości co do swojego wcześniejszego postanowienia. Zdążyła nieco ochłonać po swojej pierwszej impulsywnej reakcji na rewelacje przekazane jej przez brata, co pozwoliło jej w innym świetle spojrzeć na całą sprawę. A także na ostrzeżenia Oskara. No bo, na zdrowy rozum, czym dysponowała? Adresem zamieszkania, który znajdował się w przysłanym przez Lucię Bellodi notesie. Mógł być już nieaktualny, a jeśli nawet się nie zmienił, to w jaki sposób mogła zrobić z niego użytek? Pójść tam bez żadnego wcześniejszego uprzedzenia? Weronika wiedziała, że wielu by tak na jej miejscu postąpiło. Ludzie często się nie patyczkowali, gdy chcieli osiągnąć cel. Ona jednak była inna. Miała inne zwyczaje. Koleżanki i znajome, zarówno te ze studiów, jak i te obecne, nieraz sobie z niej żartowały, twierdząc, że powinna była się urodzić przynajmniej sto lat temu, oczywiście w jakiejś arystokratycznej rodzinie.

„Los spletał ci złośliwego figła, umieszczając w naszej epoce, w której zasady *savoir vivre*'u, nie tylko nie ułatwiają życia, ale wręcz je utrudniają. Spychają taką osobę do narożnika. Dziś liczą się silne łokcie i mocne pięści, a do tego spryt, pewność siebie i brak skrupułów. Tylko dzięki nim można osiągnąć wyznaczony cel. Ty potrzebujesz kogoś, kto będzie

kombinował i bił się ze wszystkimi zamiast ciebie. Kogoś, kto cię osłoni przed światem” – śmiały się.

Słuchając koleżanek, wzruszała ramionami, bo potrafiła dostrzec w tych rzekomych przytykach pewien podziw. Z nieskrywaną satysfakcją spostrzegła też parę razy, jak próbowały ją naśladować – zarówno jej sposób mówienia, jak i podejmowaną przez nią tematykę. A poza tym... Cóż, pod pewnymi względami miały przecież rację. Jej zainteresowania, na przykład te literackie, były skierowane ku przeszłości. Przez wiele lat w ogóle nie rozumiała zasad rządzących współczesnym światem i nawet nie starała się ich rozumieć. Miała własny świat, w którym zamykała się jak w kokonie. I oczywiście ludzi, którzy osłaniali ją przed tym realnym, prawdziwym. Czyli rodziców, zanim nie odcięła pępowiny. A także Jarka – choć za późno pojęła, że mógł być dla niej skutecznym oparciem.

Teraz nie miała kogo zapytać o radę, w jaki sposób skontaktować się z Jadwigą Mielską, przypuszczalną krewną Staszka Mikołajskiego. Oskar wyraził co do tego swoje wątpliwości, ale nie musiała opierać się wyłącznie na jego zdaniu. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że nie powinna nachodzić tej kobiety bez zapowiedzi. Należało znaleźć inną drogę i Weronika taką drogę znalazła. A pomocna okazała się tu książka telefoniczna. Wciąż jednak pozostawało pytanie, czy w ogóle próbować nawiązywać kontakt. Może faktycznie, jak dał jej do zrozumienia Oskar, Mielska sobie tego nie życzyła? Co z tego, że korespondowała z Wandą Bellodi? Nawet jeśli rzeczywiście, ze względu na Staszka, łączyła je jakaś bliższa więź, nie musiało to oznaczać, że Mielska z zadowoleniem przyjmie wizytę bratanicy Wandy. Zwłaszcza że zarówno z tą bratanicą, jak i z resztą rodziny brata Wanda nie utrzymywała żadnych kontaktów. Zerwała je.

A jednak zadzwonię, postanowiła Weronika, inaczej nie da mi to spokoju. Codziennie będę o tym myślała, rozpatrując wszystkie za

i przeciw. Najwyżej Mielska odpowie, że nie jest zainteresowana rozmową. Może będzie nieprzyjemna, choć to raczej wątpliwe, bo przecież osobiście nic do mnie nie ma. Ale jeśli nawet, to trudno. Lepsze to niż codzienne łamanie sobie głowy.

Telefon został odebrany już po trzecim sygnale. Po drugiej stronie odezwał się dźwięczny, miły głosik należący raczej do młodej kobiety.

– Tak, babcia jest w domu. Proszę poczekać, zaraz zawołam.

Faktycznie, po chwili Weronika usłyszała zdecydowanie niższy, jakby trochę chropowaty głos.

– Jadwiga Mielska, słucham.

– Nazywam się Weronika Piontkowska – zaczęła i odruchowo zacisnęła dłoń na słuchawce, tak że jej palce zbieleły. Sposób mówienia, tembr głosu tamtej, jako żywo przypominał jej sposób mówienia dyrektorki liceum, w którym pracowała.

– Tak, słucham panią.

– Pozwoliłam sobie zadzwonić do pani w sprawie Wandy Bellodi – podjęła Weronika i zakłęła w duchu, usłyszawszy, jak piskliwie zabrzmiał jej głos. Jakby była wystraszoną studentką, która dzwoni do dziekanatu, aby wyjaśnić jakieś zaniedbanie.

W słuchawce na moment zaległa dość nieprzyjemna cisza.

– To znaczy... Chodzi mi o Wandę Reczyńską – sprecyzowała spocona ze zdenerwowania Weronika, choć możliwość, że Mielska zapomniała wymienione nazwisko, była raczej niewielka.

I rzeczywiście...

– Wiem, o kogo pani chodzi – odparła chłodno starsza kobieta. – Nie rozumiem tylko powodu, dla którego dzwoni pani do mnie w tej sprawie.

Szorstki ton nie zachęcał do kontynuowania rozmowy. W pierwszej chwili Weronika zwątpiła do reszty w sens całego przedsięwzięcia i chciała

odłożyć słuchawkę, zaraz jednak się opanowała. Przyszło jej do głowy, że jeśli w taki sposób zakończy rozmowę, to zamknie sobie drogę do ewentualnego skontaktowania się z Mielską w przyszłości.

– Wanda Bellodi była moją ciotką – rzekła wobec tego cicho. Gdyby mówiła głośniej, rozmówczynie z pewnością usłyszałyby drzenie jej głosu. Miała tylko nadzieję, że w ogóle została usłyszana, tym bardziej że po drugiej stronie ponownie zapadła cisza. Na szczęście nie trwała długo.

– Pani jest córką...?

– Jestem córką Jana Reczyńskiego i niedawno dowiedziałam się... – Natłok wrażeń, wzruszenia i myśli spowodował, że Weronika nie była w stanie sformułować logicznej wypowiedzi. Tę, którą sobie wcześniej przygotowała, diabli wzięli.

– Kto dał pani mój numer telefonu? – Głos Mielskiej nadal brzmiał chłodno, ale miejsce nieprzyjemnej szorstkości zastąpiła czujność. Także zresztą nieprzyjazna w odbiorze.

– Znalazłam w książce telefonicznej – odparła pośpiesznie Weronika. Tamta kobieta mogła przecież w każdej chwili odłożyć słuchawkę. – Domyślam się, jak to musi wyglądać w pani oczach, ale proszę mi uwierzyć, ja naprawdę nie chcę sprawiać przykrości ani pani niepokoić.

– Wobec tego o co pani chodzi? – Mielska wciąż nie zmieniała tonu. Tyle że teraz obok czujności pojawił się w nim niepokój. Ale może właśnie ten niepokój sprawił, że jednak nie przerwała rozmowy.

– Chciałam porozmawiać o ciotce Wandzie – odparła grzecznie Weronika. Na moment zawahała się, czy podjąć dodatkowe ryzyko, ale w końcu się zdecydowała. – I o Staszku Mikołajskim – dodała.

Raz kozie śmierć, pomyślała, jeśli Jadwiga Mielska teraz odłoży słuchawkę, to trudno. Nie będę jej już niepokoić.

Tamta jednak w dalszym ciągu nie przerywała rozmowy. Choć kontynuowała ją w tym samym, co do tej pory, tonie: chłodnym, oschłym, zdecydowanie nieprzyjaznym.

– W jakim celu?

– Jak to? – zdumiała się Weronika.

– Po prostu. Przypuszczam, że skoro pani dowiedziała się o moim istnieniu, oznacza to, że wie pani wszystko, co trzeba. Dlatego pytam, czemu ma służyć ta rozmowa?

– Babciu, nie denerwuj się i odłóż słuchawkę. – Weronika usłyszała głos dziewczyny, z którą rozmawiała wcześniej. – Albo daj mnie, już ja jej powiem...

– Daj spokój, Kasiu. Jeśli będę potrzebowała wsparcia, z pewnością o nie poproszę. Nie jestem jeszcze niedołączna, chwalić Boga. – Najwyraźniej starsza pani potrafiła równie kategorycznie potraktować nazbyt jej zdaniem troskliwą wnuczkę, jak i obcego rozmówcę.

– Nie wiem. Pomyślałam, że mogłaby mi pani opowiedzieć więcej, niż zrobiła to moja rodzina. – Weronika zaczerpnęła powietrza. – Przyszło mi do głowy, że może byłyście sobie bliskie. Ale oczywiście równie dobrze mogę się mylić.

Boże, czemu nie umiem wypowiadać się składniej i sensowniej? – zżymała się w duchu. Wyobrażała sobie, jak podejrzenie to wygląda z punktu widzenia tej kobiety. Gdyby była na jej miejscu, chyba jednak przerwałaby połączenie.

– Nie uważa pani, że czasami lepiej nie wiedzieć zbyt wiele? – usłyszała jednak w odpowiedzi.

Pewnie tak, westchnęła w duchu Weronika. Sama tak przecież niejednokrotnie twierdziła. Cóż, przynajmniej spróbowała.

– W porządku, nie będę już pani dłużej niepokoić – rzekła, zdając sobie sprawę, że w jej głosie słychać było zawód, a zarazem zakłopotanie. – Przepraszam, jeśli byłam natrętna.

I byłąby naprawdę się rozłączyła, zdążyła jednak usłyszeć odpowiedź Jadwigi:

– Nie o to chodzi, proszę pani. – Po czym Mińska ponownie umilkła. Weronika czekała, wiedziała, że nie do niej należy przerywanie tej ciszy. I doczekała się. – Możemy się spotkać, jeśli tak bardzo pani na tym zależy. Ale to nie rozmowa na telefon.

– Oczywiście. To bardzo uprzejme z pani strony.

O to przecież chodziło. O spotkanie twarzą w twarz.

– Dobrze. – Mińska ponownie przybrała oschły ton urzędniczki. – A zatem czy pasuje pani przyszły tydzień?

Okazało się, że Jadwiga Mińska również mieszkała na Żoliborzu, kilka przystanków tramwajowych od osiedla Weroniki, przy ulicy Słowackiego.

Kto wie, może nawet nieraz minęłyśmy się gdzieś po drodze, na przykład w jednym ze sklepów, dumiała Weronika, zbliżając się do wskazanej w adresie kamienicy. Zerknęła w kierunku Hali Marymonckiej. Nie bywała tu zbyt często, ale czasem się zdarzało. Dla Mińskiej było to jednak prawdopodobnie bardzo wygodne miejsce do robienia codziennych zakupów, tak blisko jej domu. Niewykluczone zatem, że mógł zdarzyć się taki dzień, gdy były tu obie w tym samym czasie. Może nawet stały w tej samej kolejce po mięso.

Ale mnie naszło, uśmiechnęła się pod nosem Weronika. Co za głupie spostrzeżenia.

W gruncie rzeczy bała się przecież tej wizyty. Z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej. Im bliżej była celu, tym większe nachodziły ją wątpliwości. Niemal się tam wprosiłam, sarknęła w duchu. Mielska nie podeszła do propozycji spotkania z entuzjazmem. Zgodziła się na nie, w pewnym sensie nawet je zaproponowała, ale raczej nie czekała z otwartymi ramionami. A w dodatku niewykluczone, że ma za to do zakomunikowania jakąś bardzo nieprzyjemną wiadomość.

„Nie uważa pani, że czasami lepiej nie wiedzieć zbyt wiele?” – To zabrzmiało nie tyle wrogo, ile raczej jak... ostrzeżenie. Weronika wciąż słyszała te słowa. A jednak...

A jednak skoro zdecydowałam się do niej zadzwonić, zawracać jej głowę i w rezultacie przyjąć zaproszenie, to teraz nie zawrócę i nie ucieknę niemal spod progu. Wystawiłabym o sobie jak najgorsze świadectwo i oczywiście nie mogłabym już tu wrócić, gdybym za jakiś czas ponownie tego zapragnęła.

Kobieta, która otworzyła drzwi, wyglądała mniej więcej na rówieśnicę Reczyńskich. Wysoka i raczej dobrze zbudowana, w młodości zapewne uchodziła za bardzo urodziwą. Wciąż zresztą jej twarz zachowała regularne rysy, a ciemne, modnie obcięte włosy tylko gdzieś tam były przyprószone siwizną. Brązowe, wyraziste oczy wpatrywały się w gościa z uwagą, bez uśmiechu, tak że Weronika, choć nie spodziewała się entuzjastycznego i serdecznego powitania, od razu poczuła się niepewnie. Jednak po dość chłodnym i pełnym rezerwy przywitaniu gospodyni uprzejmie zaprosiła ją do pokoju, gdzie zaproponowała ciasto i kawę. Nie zapytała, jakim sposobem Weronika w ogóle dowiedziała się o jej istnieniu i dlaczego tak jej zależało na tym spotkaniu. Podobnie jak nie wykazała żadnego zainteresowania losami Jana Reczyńskiego, choć wszystko wskazywało na to, że nie był jej obcy – tak przynajmniej można było

wywnioskować z rozmowy telefonicznej. Mimo to – przynajmniej na razie – nie zadawała takich pytań, jak gdyby informacje na ten temat nie miały dla niej żadnego znaczenia. Nie bawiła się też w żadne zdawkowe, poboczne uwagi, od których na ogół zaczyna się rozmowę, zanim przejdzie się do właściwego tematu.

Na komodzie leżały trzy, najprawdopodobniej specjalnie wcześniej przygotowane, fotografie.

– To właśnie mój kuzyn, Staszek. – Wskazała na pierwszą z nich.

Weronika nieśmiało wzięła do ręki zdjęcie, z którego spoglądał na nią roześmiany przystojny, szczupły młodzieniec, ubrany w sportową kurtkę. Z pewnością mógł się podobać kobietom – patrząc na niego, Weronika była gotowa przyznać rację swojemu ojcu, że taki facet zapewne zmieniał dziewczyny jak rękawiczki. I złamał niejedno serce.

– Nigdy nie widziała pani tej fotografii? – spytała Jadwiga, a gdy Weronika spojrzała na nią zaskoczona, dodała niby od niechcienia: – Pani ojciec powinien mieć taką samą. Pamiętam, że Staszek podarował nam obojgu po jednej.

Kłamstwo nie miało sensu. Zresztą Weronika postanowiła, że będzie szczerą w rozmowie z tą kobietą. Przecież w zamian oczekiwała tego samego. Dlatego zgodnie z prawdą zaprzeczyła, by kiedykolwiek widziała takie zdjęcie. Zaraz jednak zasugerowała nieśmiało, że być może z jakiegoś powodu ojciec nie miał już fotografii przyjaciela. Minęło przecież tyle lat, tak wiele się od tamtych czasów wydarzyło. Niczego nie można było wykluczyć. Sama była gotowa uwierzyć w takie wytłumaczenie. No bo niby z jakiego powodu ojciec miałby ukrywać owo zdjęcie? Nawet jeśli nie zachował dobrych wspomnień o dawnym przyjacielu. Nawet jeśli miał do niego wiele żalu i pretensji. Natychmiast się jednak zorientowała, że

Mielskiej to nie przekonało. Wymownie świadczył o tym grymas na jej twarzy, choć powstrzymała się od bezpośredniego komentarza.

– A oto ja i Wanda. – Podała Weronice kolejną fotografię.

Dwie młode, obejmujące się dziewczyny patrzyły z uśmiechem prosto w obiektyw.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie? Jeszcze przed wojną? – spytała Weronika.

– Zgadza się – odparła Jadwiga i zanim Weronika zdążyła jakoś odnieść się do tej informacji, dostała do ręki trzecią fotografię. – A to Staszek i Wanda.

– Aha... – To była jedyna odpowiedź, jaka przyszła Weronice do głowy, gdy popatrzyła na dwoje młodych ludzi, którzy wyglądali tak, jakby byli zupełnie nieświadomi faktu, że znaleźli się w obiektywie aparatu fotograficznego. Przy czym nie sprawiali wrażenia zakochanych, którzy przeglądają się we własnych spojrzeniach, a reszta świata ich nie obchodzi. Wszystko wskazywało raczej na to, że byli bez reszty pochłonięci rozmową, może nawet jakąś dynamiczną dyskusją, ale jak para dobrych kolegów, nie kochanków. W pierwszej chwili chciała podzielić się na głos swoim spostrzeżeniem, lecz po krótkim namyśle dała temu spokój.

W zamian postanowiła zadać pytanie, które już wcześniej postawiła ciotce Rozalii. Czy Staszek był związany z ruchem oporu? Rozalia odpowiedziała twierdząco, ale w bardzo lakoniczny i przez to dość zastanawiający sposób.

Mielska zareagowała podobnie. W milczeniu odebrała z rąk Weroniki fotografię, po czym podniosła się i włożyła je do szuflady w komodzie. Czy chciała zyskać czas na odpowiedź, czy też wcale owego czasu nie potrzebowała, bo odpowiedź już dawno miała przygotowaną – tego Weronika nie potrafiła rozstrzygnąć. Tak czy owak, gdy ponownie starsza

kobieta usiadła przy stole, nie zdradzała żadnych oznak niepokoju. Jeśli już, to raczej była wzruszona.

– Należał – odparła wreszcie – ale proszę sobie nie wyobrażać Bóg wie czego. Nie był jakimś wielkim bojownikiem i nie pełnił żadnej ważnej funkcji. A po uwolnieniu z Pawiaka postanowił trzymać się od tego z daleka. Zerwał tamte kontakty.

– Został aresztowany? – podchwyciła Weronika.

– Zatrzymany. Nie wiedziała pani o tym? – Mielska ponownie przyjrzała jej się uważnie.

– Nie.

Rozalia wspomniała, że został zabity, myślała gorączkowo Weronika, ale pewnie stało się to w innych okolicznościach. Nie w tych, o których mówi Mielska. Ona przecież wyraźnie zaznaczyła, że jej kuzyn został wypuszczony na wolność. Z Pawiaka? Jak to możliwe?

– Staszek zmienił adres, gdy wyszedł z Pawiaka – odezwała się po chwili pani Jadwiga. – Z Wandą spotkał się ponownie dopiero rok później, w dodatku zupełnie przez przypadek. Dopiero wtedy w pełni do mnie dotarło, że mieli się ku sobie; wcześniej, to znaczy zanim Staszek znalazł się na Pawiaku, podejrzewałam, że może być coś na rzeczy, ale nie byłam tego pewna. Być może początkowo sami nie uświadamiali sobie, co naprawdę do siebie czuli. Tak przynajmniej twierdziła Wanda, gdy po latach o tym rozmawialiśmy. Nadal trudno mi to ocenić. W każdym razie po wyjściu na wolność Staszek nie odnowił większości wcześniejszych kontaktów. Trzymał się z daleka zwłaszcza od kolegów, z którymi wcześniej działał w konspiracji. Zachowywał się tak, jakby pobyt na Pawiaku skutecznie zniechęcił go do podobnych przyjaźni i działalności. Sam mi się przyznał, że zrobi wszystko, aby tam już więcej nie wrócić. Nie

od razu mu uwierzyłam, ale w końcu chyba przyjął to do wiadomości, tym bardziej że przez pewien czas faktycznie nic złego się nie działo.

– Jakim sposobem zdołał wyjść stamtąd na wolność? – Ze wszystkich pytań, jakie cisnęły jej się teraz na usta, Weronika postanowiła zacząć właśnie od tego. Wychowana na lekturach i filmach podejmujących tematykę wojny i okupacji, mając żywo w pamięci choćby „Kamienie na szaniec” Kamińskiego, nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek aresztowany i osadzony w Pawiaku mógł zostać stamtąd ot tak przez Niemców zwolniony. A już z pewnością nie wtedy, gdy miał jakiegokolwiek, choćby luźne, związki z ruchem oporu.

– Sposobem starym jak świat – odparła z pozorną obojętnością Mielska. – A w każdym razie starym jak pieniądze. Co tak panią dziwi? – W tonie jej głosu pojawiła się lekka ironia, gdy tylko podchwyciła spojrzenie Weroniki. – Niemcy byli przekupni jak cholera, choć oczywiście byle co ich nie zadowalało. Nasza rodzina wypruła niemal wszystkie żyły, ale się udało. – Naraz spochmurniała, jakby cień przesłonił jej twarz. – A przynajmniej przed długi czas mieliśmy taką nadzieję – dodała ciszej.

– Niemcy wypuścili go, mimo że miał jakieś związki z konspiracją? – podjęła z niedowierzaniem Weronika. – Nie poddali go śledztwu? Nie... – Przerwała. Nie była pewna, czy ma prawo drażnić tę sprawę. Nawet jeśli wydawała jej się coraz bardziej niezrozumiała.

Zagadka zresztą zaraz się wyjaśniła, przynajmniej w pewnym zakresie.

– Staszek został zatrzymany w ulicznej łapance, jak wielu innych nieszczęśników. Miał po prostu pecha, że znalazł się w niewłaściwym czasie na niewłaściwej ulicy. W tamtych czasach życie przypominało ruletkę. Niemal o wszystkim decydował ślepy traf, czysty przypadek. Szczęściem w nieszczęściu Stach nie miał przy sobie nic, co mogłoby wydać się Niemcom podejrzane. Nie wpadli więc na to, że miał jakieś

kontakty z AK. Co nie zmienia faktu, że podobnie jak innym zatrzymanym groziła mu wywózka na roboty do Reichu, obóz koncentracyjny czy nawet uliczna egzekucja, choćby w ramach niemieckiego rewanżu za którąś z kolejnych akcji Podziemia. Miał jednak szczęście, bo w naszej rodzinie było dwóch przedsiębiorczych wujów, którzy umieli sobie radzić w każdej sytuacji i wiedzieli, do kogo i z czym się udać. Zapowiedzieli jednak Stachowi, że taka szansa zdarza się raz w życiu i on już swoją wykorzystał. Drugiej nie będzie, więc musi uważać.

– Ale... stało się inaczej? – spytała po chwili ostrożnie Weronika.

– Stało się coś bardzo złego – odparła bardzo cicho Mielska. Nie patrzyła teraz na swojego gościa, wzrok miała utkwiony gdzieś za oknem.

W ciszy, jaka zapadła, pojawiło się coś złowrogiego i to właśnie spowodowało, że Weronika nagle straciła ochotę, by usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie. Innych także nie zamierzała już stawiać. Niemal podskoczyła na krześle, gdy za oknem rozległ się warkot motocykla, a zaraz potem dobiegły ją z podwórza pomstowania jakichś kobiet skarżących się na hałasy i „idiotów”, którzy nie dają normalnym ludziom spokojnie żyć. „Strach dzieci wypuszczać na podwórko!” – krzyczała jedna z nich.

Jadwiga odwróciła się od okna, popatrzyła na Weronikę, tak jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności.

– Jest pani podobna do ojca – zauważyła, a Weronika, która kompletnie nie spodziewała się tej uwagi, zwłaszcza w tym momencie, zmieszana się tak bardzo, że czym prędzej odstawiła filiżankę.

– Zawsze tak mi mówiono – odparła.

– Wanda bardzo długo nie mogła pogodzić się z tym, że jej brat nie ożenił się ze mną, że wybrał inną – dodała Mielska i na krótką chwilę jej surową twarz ocieplił przelotny, słaby uśmiech. Niby wciąż patrzyła na

swojego gościa, ale w taki sposób, jakby w istocie widziała przed sobą kogoś zupełnie innego. A niewykluczone, że całą gromadę innych osób, swoją młodość i czasy, które już minęły. – Z trudem jej wytłumaczyłam, że bynajmniej nie złamało mi to serca – mówiła dalej. – Pani ojciec był bardzo przystojny i miło było się z nim pokazać, a poza tym byłam dość próżna i pochlebiało mi, że inne dziewczęta usychały z zazdrości. Z drugiej jednak strony był bardzo poważny, odczytany i w rozmowach próbował podejmować tematy, o których po pierwsze nie miałam pojęcia, a po drugie – bardzo mnie nudziły. Lubiłam się bawić, a on z kolei nie widział żadnych przyjemności w zabawach tanecznych. Tańczyć też zresztą nie umiał. No i stało się to, co było w takiej sytuacji nieuniknione. Ja znalazłam sobie wesołka i kawalarza, a on poważną pannę. – Przy ostatnich słowach usta pani Mielskiej wykrzywiły się w przelotnym grymasie. Trwało to jednak bardzo krótko, może ułamek sekundy, tak że Weronika nie była pewna, czy jej się nie przywidziało. W każdym razie postanowiła nie przerywać, nie zadawać – przynajmniej na razie – żadnych pytań.

Jadwiga usiadła i dołała kawy do obu filiżanek. Sięgnęła po paczkę z papierosami i podsunęła ją Weronice, ta zaś, kompletnie oszołomiona tym, co właśnie usłyszała, bez wahania skorzystała z propozycji, choć w zasadzie nie była osobą palącą. W przeszłości tylko raz dała się namówić na papierosa – jeszcze na pierwszym roku studiów – a ponieważ zakrztusiła się tak, że oczy niemal wyszły jej na wierzch, od tamtej pory nie sięgnęła już po nikotynę. Aż do tej chwili. W dodatku tym razem zaciągnęła się bez żadnych przykrych niespodzianek. Być może dlatego, że wystarczająco dużą niespodzianką było zaskakujące wyznanie Jadwigi Mielskiej na temat jej ojca. Na tyle zaskakujące, że Weronika nie była na razie w stanie wydusić z siebie bodaj jednego słowa.

– Zaczęłam palić jeszcze w czasie okupacji – kontynuowała wobec tego Mielska. – Chyba pomagało mi to radzić sobie ze stresem, zresztą sama nie wiem. Wanda też paliła. Wie pani, że kiedy dałam jej do zrozumienia, że nie tylko nie mam zamiaru umrzeć z rozpaczy z powodu jej brata, ale wręcz jestem bardzo zadowolona z takiego obrotu sprawy, bardzo się na mnie obraziła? Miała wtedy szesnaście lat, a w tym wieku na ogół nie uznaje się kompromisów. W dodatku miewała humory rozpieszczonej księżniczki, przyzwyczajonej do tego, że świat kręci się wokół jej pragnień i wyobrażeń. A tu taki klops.

– Nie miałam pojęcia... – Weronika niemal się zakrztusiła. – Że mój ojciec i pani... Tata nigdy o pani nie wspominał... W ogóle rzadko mówi o sobie. A zwłaszcza o czasach, gdy był jeszcze młody. – Z niezadowoleniem poczuła, że znowu, jak zwykle w chwilach zaskoczenia i zdenerwowania, nie potrafi się sensownie wysłować.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparła Mielska, a w jej oczach pojawił się zastanawiający wyraz.

– Daje mi pani do zrozumienia, że nie było o czym opowiadać? – spróbowała żartować Weronika, ale tamta nie podchwyciła tego lekkiego tonu.

– Nie tak bym to ujęła – odparła Mielska, gasząc w popielniczce niedopalonego papierosa.

Słowa te ponownie skonfundowały jej gościa i na chwilę zapadła cisza. Przerwała ją gospodyni, ale teraz jej głos zabrzmiał dla odmiany bardzo spokojnie, niemal pogodnie. Zarazem jednak obojętnie, jakby relacjonowała wydarzenie, które przytrafiło się gdzieś obok niej, lecz nie miało wpływu na jej życie.

– Tak czy owak, gdy przestałam spotykać się z pani ojcem, na pewien czas straciłam z oczu także jego siostrę. A ponieważ niedługo potem

wybuchła wojna, to pojawiły się zupełnie inne priorytety. Nasz świat stanął na głowie, skończyła się beztroska. I kto wie, czy w ogóle odnowiłybyśmy nasze kontakty, gdyby nie Staszek. Przez pewien czas dziwiłam się, że natknął się na nią dopiero przy okazji ślubu pani rodziców. Ale z drugiej strony Janek od początku wojny mieszkał w Bożanowie i dlatego Staszek nie pokazywał się już w warszawskim mieszkaniu Reczyńskich. Nie miał wobec tego okazji, by widywać Wandę. Nie mógł widzieć, jak w tym czasie się zmieniała, wydorosłała, wyładniała. Przekonał się o tym dopiero w czerwcu czterdziestego pierwszego.

– Ale w tym okresie, to znaczy przed jego aresztowaniem, nie byli jeszcze parą? – spytała coraz bardziej zainteresowana Weronika.

– Raczej nie – uśmiechnęła się Mielska. I był to pierwszy, naprawdę pogodny i otwarty uśmiech, jaki Weronika zobaczyła na jej twarzy. Taki, który nie tylko wykrzywia wargi, ale ociepla także spojrzenie. Pewnie dlatego, że skierowany był do wspomnień. Tych dobrych. – Choć z drugiej strony... – zawiesiła na chwilę głos. – Kiedy kuzyn opowiedział mi o spotkaniu z Wandą na weselu Jana, od razu zauważyłam, że mówił o niej tak, jakby nigdy wcześniej jej nie widział. A przecież było inaczej. Gdy żartobliwie zwróciłam mu na to uwagę, wcale się nie zmieszał, tylko – jak to on – roześmiał się i odparł, że w pewnym sensie trafiłam w sedno. Bo i on odniósł wrażenie, jakby dopiero co poznał Wandę. A to dlatego, że wcześniej nie zwracał na nią uwagi. I nigdy dotąd nie szukał okazji, by z nią dłużej pogadać. „Przed wojną, gdy czasem wpadałem do Jaśka w odwiedzin, jego siostra czasem mignęła mi gdzieś w korytarzu” – tak powiedział. Że wtedy wydawała mu się nawet młodsza, niż naprawdę była. „Zapamiętałem dziewczynkę z warkoczami” – dodał. Oczywiście przesadzał; Wanda ścięła warkocze, gdy skończyła piętnaście lat, ale nie chciało mi się zwracać mu uwagi na takie drobiazgi. ”Jak ona teraz

wygląda? Wydorosłała choć trochę?” – spytałam. Przecież także jej nie widziałam od dwóch lat. Odparł, że pewnie tak, bo wszyscy w tym czasie wydorosleliśmy. Odgadłam, co miał na myśli, mimo to pozwoliłam sobie na uwagę, że nie potrafię sobie wyobrazić Wandy jako dorosłej, rozważnej panny. Wciąż pamiętałam milutką, ale pod wieloma względami bardzo dziecinną, trzpiotowatą osobkę. Zupełne przeciwieństwo brata. I do tego pyskata, gdy cokolwiek układało się nie po jej myśli. Staszek, słysząc to, parsknął śmiechem. Oświadczył, że w takim razie przynajmniej to ostatnie pozostało bez zmian, bo Wanda nadal zachowuje się tak, jakby zjadła wszystkie rozумы. Potem przez dłuższy czas nie rozmawialiśmy już o niej, aż pewnego pięknego dnia zobaczyłam ich idących razem ulicą. Ramię przy ramieniu, jak wiele innych osób, których przecież nic szczególnie romantycznego nie łączy. Ja jednak od razu zrozumiałam, że w przypadku tych dwojga jest inaczej. Widziałam tę iskrę między nimi i nie miałam wątpliwości, że coś jest na rzeczy. Nikt zresztą tej wątpliwości nie miał, to się wyczuwało jakimś szóstym zmysłem. Wtedy, gdy ich zobaczyłam, byłam przede wszystkim zaskoczona, że jednak się spotykają. A zatem pyskata dziewczyna w niczym ci nie przeszkadza, pomyślałam z ironią o Staszku. No cóż, kto się czubi, ten się lubi. Lecz nie tylko o lubienie tu chodziło. Nie zauważyli mnie, a ja ich nie zaczepiłam. Pozwoliłam, aby przeszli obok. Pomyślałam: ano, zobaczymy. To mogłoby być nawet zabawne, gdyby ta iskierka przerodziła się w wielki płomień, ale szczerze mówiąc, nie bardzo wierzyłam, aby tak się stało. Znałam Staszka i wiedziałam, że nie potrafił długo wytrwać przy jednej dziewczynie. Nawet okupacja go pod tym względem nie zmieniła. No i znałam też Wandę, czy też mówiąc dokładniej – pamiętałam, jaka była w przeszłości. Niedojrzała, rozkapryszona, rozpieszczona, choć przy tym wszystkim na swój sposób urocza. Niemniej nie są to cechy, które pomagają zbudować stabilny

związek. A ja aż za dobrze o tym wiedziałam. Uroczy kawalarz, którego poślubiłam, zdecydowanie lepiej się sprawdzał w roli chłopaka, z którym umawiałam się na tańce, niż w roli męża i ojca odpowiedzialnego za rodzinę. W przypadku Wandy i Staszka, nie ukrywam, że bardziej bałam się o niego. Wanda nie uznawała żadnego sprzeciwu, wchodziła na głowę każdemu, kto jej na to pozwolił. Przynajmniej ta Wanda, którą zapamiętałam z przedwojennych czasów, gdy była jeszcze podlotkiem. Czy w przeciągu dwóch lat mogła się zmienić na korzyść? Wydorosnąć, jak twierdził Staszek? Wówczas bardzo w to wątpiłam. Potem zresztą przestałam tym sobie zawracać głowę. Miałam inne troski, wiadomo, okupacja. Tym bardziej że w moim domu to ja musiałam zadbać o wszystko. O dziecko, o jedzenie. Zdobycie żywności było nie lada wyzwaniem, przydział kartkowy nie wystarczał nikomu. I to ja wyprawiałam się po wałówkę na wieś, mój mąż przeważnie nie przejawiał tu żadnej inicjatywy. Ze Staszkiem widywaliśmy się rzadko, a kiedy już gdzieś na siebie wpadliśmy, to nie rozmawialiśmy o Wandzie, zwyczajnie, było tyle innych spraw... I, jakby tego było mało, mój kuzyn został zatrzymany w ulicznej łapance.

– No właśnie... – wtrąciła Weronika. – W jaki sposób Wanda dowiedziała się o zatrzymaniu Staszka, a potem o jego uwolnieniu? Czy przyszła z tym do pani?

– Nie znała mojego nowego adresu, więc nie mogła przyjść – odparła Mielska. – Ale nawet gdyby jakimś sposobem do mnie trafiła, nie powiedziałabym jej, gdzie go szukać. Uważałam, że cała ta historia z zatrzymaniem, a potem uwolnieniem Staszka miała przynajmniej ten plus, że on i Wanda stracili się z oczu. Miałam cholernie złe przeczucia. Tego, że kuzyn miał jakieś związki z ruchem oporu, dowiedziałam się dużo później, bo przecież nie opowiadał o tym nawet najbliższej rodzinie. Podejrzewałam

jednak, że kontakty z Podziemiem miały jakiś związek z Wandą, choć, jak się potem okazało, co do tego ostatniego myliłam się. Ale taka wtedy byłam pełna podejrzeń. To podobno typowy syndrom młodej matki, która stale boi się nie tylko o potomstwo, ale także o bezpieczeństwo wszystkich bliskich jej osób. O udział w ruchu oporu podejrzewałam nawet mojego męża, choć z drugiej strony stale sobie tłumaczyłam, że był chyba ostatnim człowiekiem, który by się do tego palił i nadawał. Jeśli o mnie chodzi, to chciałam jedynie przeżyć to piekło i marzyłam, aby udało się to całej mojej rodzinie.

– Więc jakim sposobem Wanda i Staszek ponownie się na siebie natknęli? – spytała niecierpliwie Weronika. Choć przecież sama siebie upominała, że nie powinna była ponaglać. Mielska miała prawo snuć swoje wspomnienia w taki sposób, w jaki chciała. Miało to swoją dobrą stronę, bo dzięki temu mogła wyjawić coś nowego, zupełnie niespodziewanego. Wtrącanie się mogło spowodować więcej szkody niż pożytku. A jednak trudno się było powstrzymać przed dodatkowymi pytaniami.

– Przez przypadek. – Mielska wróciła do swojego bardzo rzeczowego tonu. – Tak mi powiedzieli. Spotkali się na stacji kolejowej.

– Tak po prostu? – zdumiała się Weronika. – Jak gdyby nigdy nic?

– Podobno.

– Uwierzyła im pani?

– A jakie to ma znaczenie? Przypadek czy nie, stało się. – W oschłym tonie Mielskiej pojawił się smutek.

– Nie była pani z tego zadowolona – stwierdziła Weronika. W świetle tego, co usłyszała wcześniej, wydało jej się to logiczne.

– Nie byłam, ale to także bez znaczenia. Oni byli szczęśliwi. Staszek był w siódmym niebie. To akurat bezsporne. – Jadwiga Mielska sięgnęła po

filiżankę. – I tego trzymam się po dziś dzień. – Spróbowała kawy, ale się skrzywiła. – Wystygła. Zaparzę następną. A może woli pani herbatę?

Podniosła się, zabierając ze stołu dzbanek, ale Weronika ją zatrzymała.

– Dlaczego wobec tego został zabity? Skoro poluzował, zerwał stare kontakty... Co się właściwie stało? – Spostrzegła, że stojąca już przy drzwiach Jadwiga znieruchomiała, bez mała zeszywniała. – Może jednak tak naprawdę wcale ich nie zerwał i wciąż działał w ruchu oporu? Przepraszam, że to mówię i być może odnawiam tamten ból, ale... – Przerwała, bo przeraził ją wyraz twarzy starszej kobiety. Odzwierciedlał bardziej gniew niż cierpienie.

– Tu nie chodzi o ból, ale o sprawiedliwość. A raczej jej brak.

– W jaki sposób on zginął? – odważyła się zapytać Weronika. – Dlaczego Niemcy go zabili? Co się właściwie stało?

Powinnam była o to spytać Rozalię albo ojca, pomyślała ze złością. Z pewnością miałoby to większy sens niż dręczenie tej właśnie kobiety, bliskiej krewnej Staszka Mikołajskiego. Tyle że w rozmowie z tamtymi zupełnie nie przyszło jej to do głowy.

Odpowiedź Jadwigi nie od razu dotarła do jej świadomości. W pierwszej chwili uznała nawet, że się przesłyszała.

– To nie Niemcy go zabili – rzekła cicho Mielska.

Nie Niemcy? Więc kto? – chciała zapytać, ale jedynie bezdźwięcznie poruszyła ustami. Rosjanie? Czy to możliwe? Staszek podobno zginął wiosną czterdziestego czwartego roku. Front wschodni przesunął się już na ziemię polskie, niemniej...

– To zrobili swoi – skrzywiła się Mielska. – W pewnym sensie... Jego dawni koledzy. Zaszczuli go, a potem zmusili do popełnienia samobójstwa.

– O Boże... Dlaczego? – wyszeptała Weronika, gdy była już dolna wydobyć z siebie głos.

– Podejrzewano go o kolaborację z okupantem. Od razu dodam, że bezpodstawnie.

Cisza, jaka zapadła, aż dzwoniła w uszach.

– Kolaboracja? – powtórzyła wreszcie jak echo Weronika.

– To kompletna bzdura! Nigdy nie uwierzyłam w jego winę, rozumie pani? Nigdy! – uniosła się Mielska.

– Bardzo mi przykro... Naprawdę... – wyszeptała Weronika, bo tylko to jedno była w stanie powiedzieć. – Ale dlaczego... To znaczy... Jak to się stało? – Starła się uważnie dobierać słowa, by jeszcze bardziej nie urazić starszej kobiety, ale nie miała pojęcia, jak mogłaby tego uniknąć. W końcu zebrała się na odwagę. – Nie wierzę, aby tak poważne oskarżenia padały na przypadkowych ludzi – rzekła spokojnie. – Aby ich w żaden sposób nie weryfikowano.

Mielska pobladła, ale wbrew obawom swego gościa tym razem nie wybuchła gniewem. Zachowała przynajmniej pozorny spokój.

– A jednak to się zdarzało – rzekła lodowatym tonem. – Choć oczywiście nikt się nie przyznawał do takich błędów. Nikt nie ponosił odpowiedzialności. Zabrakło elementarnego zadośćuczynienia, jakim byłoby chociażby przywrócenie człowiekowi dobrego imienia.

Weronika nie śmiała już o nic pytać. Zrozumiała, że najlepiej będzie, jeśli zakończy wizytę. W ślad za gospodynią podniosła się z fotela, dziękując grzecznie za gościnę i poświęcony czas.

Nikt jej nie zatrzymywał.

Rozdział 8

– Siadaj, zanim obiad na dobre wystygnie – powitała wchodzącego do kuchni syna. – Wołałam cię już kilka minut temu.

– Nie ma szans, aby cokolwiek wystygło w taki upał – odparł wesoło Michał, sadowiąc się przy stole. – Botwinka, super. – To była jego ulubiona zupa. – A gdzie Piotrek? Ośmielił się urwać z domu w świętej porze obiadu? – Mrugnął zawadiacko do matki. Dokładnie tak jak Jarek, oczywiście przed wielu laty; Weronika ponownie nie potrafiła oprzeć się temu spostrzeżeniu.

– Umówił się na jakiś mecz – odparła, wzruszając ramionami. – Uznał, że święta pora obiadu go nie dotyczy.

Oczywiście żartowała. Nie miała powodu skarżyć się na żadnego z chłopców, czasami jednak wspominała z nostalgią czasy, gdy obaj byli niemal stale przy niej. Teraz nosiło ich we wszystkie strony, ale przynajmniej nie groził im los samotników, z trudem odnajdujących się w grupie rówieśników, czego w przeszłości doświadczyła ich matka. W przeciwieństwie do niej byli towarzyscy i bezpośredni, radzili sobie w życiu – i z tego się cieszyła. Nic jednak nie mogła poradzić na to, że czasami brakowało jej tamtych małych dzieci, które chodziły za nią krok w krok, a potem skakały z radości do góry, gdy przychodziła po nie do przedszkola czy szkolnej świetlicy.

Uśmiechnęła się do syna, a on odpowiedział jej tym samym.

– Naprawdę powiedział ci, że umówił się na mecz? – Figlarnie zmrużył ładne, piwne oczy. Oczy Jarka i babci Piontkowskiej, znowu musiały to przyznać. – No dobra, niech będzie. Nie wiedziałem, że Danka lubi oglądać mecze. Oj... Chyba coś niepotrzebnie chlapnąłem – dodał z oczywistą premedytacją.

Weronika nie miała zielonego pojęcia o istnieniu Danki i pewnie w innym przypadku przyparłaby syna do muru (na co zapewne, gadzina, liczył), teraz jednak myśli miała zajęte czym innym.

– Mam do ciebie pytanie... – zaczęła z wahaniem.

– Nie wydam mojego brata – oświadczył z komiczną powagą.

– Mam do ciebie pytanie jako do przyszłego historyka. Zresztą w pewnym sensie już nim jesteś.

– O, zaskoczyłaś mnie, mamo. – Faktycznie wyglądał na zaskoczonego, co stwierdziła z niemałą satysfakcją. – A o co chodzi?

– Chodzi mi o pewne kwestie związane z działalnością polskiego podziemia w czasach okupacji – odparła, co spowodowało, że Michał prawie spadł z krzesła.

– O rany! Poczułem się jak na ustnej maturze z historii. Potrafisz zadać pytanie groźniejszym tonem od profesorki Wojnarowskiej z mojego liceum.

– Pewnie dlatego, że też jestem „profesorką” – odcięła się. – Ale do rzeczy. Nie gap się tak na mnie, jakbyś zobaczył cmentarnego upiora. Odpowiedz mi na pytanie czy może chociaż wskażesz jakąś pozycję naprawdę godną polecenia, abym mogła poczytać na ten temat?

– Ale... Co się stało? – wyjąkał, przekonawszy się, że mówiła jak najbardziej poważnie.

– Nic się nie stało. Nie możesz po prostu normalnie mi odpowiedzieć?

– Dobra, jasne. Ostatecznie my też nie o wszystkim ci mówimy – odparł, ale ponieważ nie zareagowała na tę jawną prowokację, spoważniał. Widać było, że się zastanawia. – Wiesz, chyba niewiele mogę ci pomóc – wyznał wreszcie. – Gdybyś mnie spytała o jakiegokolwiek zagadnienie ze starożytności i średniowiecza, wyśpiewałbym wszystko na każde pytanie. Ale dwudziesty wiek? W szkole nie jest z tym najlepiej, nauczyciele nie wyrabiają się z programem albo robią to po łebkach, tuż przed samymi wakacjami, gdy mało kto ich jeszcze słucha.

– Chcesz powiedzieć, że ty także ich nie słuchałeś? – Nie mogła sobie odmówić ironii.

– Nie tylko o to chodzi. Dwudziesty wiek jako dział historii jeszcze, niestety, raczkuje. Wiele zagadnień jest wciąż objętych cenzurą, badacze mają utrudniony dostęp do źródeł, niektóre sprawy traktowane są jak tajemnica, która nie ma prawa ujrzeć światła dziennego. Owszem, mogę wyklepać jakieś podręcznikowe banały, ale chyba nie o to ci chodzi. Takie fakty pewnie sama pamiętasz ze szkoły.

– To zależy... – zastanowiła się.

– Mam ci opowiedzieć o strukturze podziemia, o pionach organizacyjnych? W jaki sposób to funkcjonowało? To akurat wkułem do matury i na egzamin wstępny.

– A zatem w jaki sposób to funkcjonowało? – podchwyciła.

– Ale co konkretnie? Kedyw? Instrukcje polskiego rządu w Londynie wobec ZWZ i AK? Plan „Burza”? Powstanie warszawskie? Temat dość szeroki. – Nie ulegało wątpliwości, że nie miał ochoty go rozwijać. – Na co ci to? Książkę chcesz napisać? Przygotowujesz spotkanie z kombatantami w nadchodzącym roku szkolnym? – Ponownie próbował żartować.

– W jaki sposób likwidowano – zająknęła się – ludzi podejrzanych o współpracę z Niemcami? W jaki sposób weryfikowano dowody ich

zdrady?

– Kurczę, poważna sprawa. – Porzucił próby żartów. Przestał nawet jeść. – Mamcia, co się dzieje? Dlaczego o to pytasz?

– Powiem ci w swoim czasie – obiecała, choć wcale nie była pewna, czy spełni tę obietnicę. Woląa jednak na razie uniknąć dalszych dociekań.

Zamyślił się, najwyraźniej chciał coś powiedzieć, nie był jednak pewien, czy się z tym wrywać. Wreszcie podjął decyzję, choć na wszelki wypadek ponownie wziął łyżkę i zaczął jeść. Przede wszystkim jednak po to, aby nie patrzeć jej prosto w oczy. Pozornie skoncentrował się na ulubionej zupie.

– Najlepiej będzie, jeśli zapytasz o to ojca – rzucił niby od niechcenia.

Poczuła mrowienie na plecach.

– Nie sądzę, aby dziadek cokolwiek o tym wiedział – odparła, z trudem panując nad niepokojem we własnym głosie.

– Dziadek? – zdziwił się Michał. Ponownie na nią spojrzał. – Nie myślałem o dziadku, ale o tacie. O moim ojcu – uściślił.

Dziękowała w duchu Bogu, że chłopak ponownie skoncentrował się na jedzeniu, choć oczywiście nie wątpiła, że w napięciu czekał na jej odpowiedź. Jak za każdym razem, w ciągu kilkunastu minionych lat, gdy napomykał jej cokolwiek na temat swojego ojca i jednocześnie rozsadzała go ciekawość o jej reakcję. W takich sytuacjach zawsze zachowywał się tak samo – udawał, że pozornie zajęty jest czym innym, a uwagę o ojcu rzucił ot tak, mimochodem. A fakt, że skończył już dziewiętnaście lat i nie był tamtym małym chłopcem, któremu rozpadł się dom rodzinny, niewiele tu zmienił. Najchętniej by go teraz przytuliła, ale wiedziała, że nie tego w tym momencie oczekiwał. Żadnego mazania się. Pod byle pretekstem uwolniłby się z jej ramion.

– To niemożliwe – rzuciła. Nie zdobyła się nawet na to, by odpowiedzieć spokojnie i w miarę życzliwym tonem.

Była pewna, że na tym skończyli temat. Myliła się, tym razem Michał nie odpuścił.

– Dlaczego niemożliwe? Przecież tata zajmuje się właśnie tymi zagadnieniami. Prowadzi badania dotyczące działalności ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej.

– Nie będę zwracać mu tym głowy – odparła, ale choć się bardzo starała zabrzmieć stanowczo, nie do końca jej się to udało.

– Wiem, o co ci chodzi. – Michał postanowił nie owijać w bawełnę. Patrzył jej teraz prosto w oczy, choć domyślała się, że i jego musiało to nie mało kosztować.

Daj mi spokój, to nie twoja sprawa, chciała mu odpowiedzieć, ale i na to się nie zdobyła. Po pierwsze, to jednak była także jego sprawa. A po drugie... Nie mogła go ganić za dociekliwość, skoro sama także była dociekliwa. Zawsze wiedziała, jak niechętnie jej ojciec wspominał przeszłość. Jak ostrożna była Rozalia. Z jakim trudem zdecydowała się na spotkanie z nią Jadwiga Mielska. Domyślała się też, że zapewne sarkali w duchu na jej dociekliwość, może nawet wścibstwo. Ona jednak robiła swoje. Pytała, rozmawiała, domagała się odpowiedzi. Dlatego być może nie powinna dziwić się własnemu synowi, że także miał wobec niej bardzo konkretne oczekiwania. I nie dziwiła się. Naprawdę go rozumiała, a jednak...

– Nie będę rozmawiać z twoim ojcem o Polskim Państwie Podziemnym – oświadczyła.

– Wiem, o co ci chodzi – powtórzył, jakby w ogóle nie przyjął do wiadomości jej odpowiedzi. – Ale nie masz racji, mamó. Tata na pewno by

się ucieszył, gdyby mógł ci w tym pomóc. Gdyby w ogóle mógł się z tobą spotkać i porozmawiać – dorzucił.

Na moment oniemiała, a po chwili z wściekłością poczuła, jak jej policzki zalewa fala gorąca.

– Dajmy już temu spokój – odparła, gdy udało jej się wreszcie wydobyć głos z zaciśniętej krtani.

I nagle przypomniała sobie, że w taki sam sposób zareagował jej ojciec, gdy próbowała skłonić go do zwierzeń na temat przyczyn zerwania kontaktów z Wandą.

– Niby dlaczego? – Michał najwyraźniej postanowił nie dawać za wygraną.

– Nie rozumiesz. – Gwałtownie podniosła się od stołu.

– Nie rozumiem – przyznał. – Nigdy nie rozumiałem, dlaczego postanowiłaś się z nim rozwieść, bo zawsze zgadywałem, że to właśnie ty tak zdecydowałaś. Piotrek odbierał to identycznie. I nie tylko on. Ale dobrze, nie bój się, mamó, nie o tym chciałem mówić – dodał pospiesznie, widząc, że się zachnęła. – Może już faktycznie nie warto, za późno, nie wiem. Dlaczego jednak nie chcesz spróbować normalnie z nim pogadać, choćby od czasu do czasu?

– Przecież rozmawiamy ze sobą od czasu do czasu – sarknęła ze złością.

– Wymieniacie informacje. Bądźmy precyzyjni, mamó. Od czasu do czasu zdobywasz się na wymianę informacji, zarówno z nim, jak i z dziadkami Piontkowskimi. Dziadkowie do tej pory wypowiadają się o tobie ciepło. Ty kilka lat temu wreszcie zaczęłaś odnosić się do nich trochę życzliwiej, ale to wciąż za mało. W każdym razie dla mnie i dla Piotrka. Stanowczo za mało.

– Cóż, pewnie się zdziwisz, ale nigdy nie wierzyłam w łączone rodziny – odparła kąśliwie i zaraz pożałowała tych słów. Odniosła

wrażenie, że w oczach syna dostrzegła politowanie i, co gorsza, rozczarowanie. – Przepraszam, to było nie na miejscu – dodała już spokojniej. – Ale przyjmij do wiadomości, że naprawdę pewne sprawy inaczej wyglądają z twojej perspektywy, a inaczej z mojej. I zapewne także z perspektywy waszego ojca.

Ale perspektywa moich synów powinna być tu priorytetem, pomyślała prawie natychmiast. Ktoś już kiedyś zwrócił na to uwagę. Wtedy, gdy podjęła decyzję o rozwodzie. Kto to powiedział? Teściowa? Teść? Oskar?

Michał wyraźnie spochmurniał. Zobaczyła w jego oczach ten sam wyraz co wtedy, kilkanaście lat temu, gdy oznajmiła mu, że nie będą już mieszkać w małej klitce na Saskiej Kępie. W pierwszej chwili obaj chłopcy myśleli, że rodzice zmieniają mieszkanie na większe i wygodniejsze. Z trudem do nich dotarło, że ojciec zostaje tu, gdzie mieszkali do tej pory razem, a oni obaj wyprowadzają się tylko z matką. Do mieszkania, które załatwił im dziadek Reczyński.

– Też tak to sobie tłumaczyłem – odezwał się po chwili Michał. – Nawet się z tym pogodziłem. Jakoś to się w końcu toczyło. I tak było do czasu, gdy spotkaliśmy się w knajpie, aby świętować moją maturę. Wszyscy czworo, jak dawniej, w tamtym, poprzednim życiu. Kurczę, mam, nie mów mi, że nie rozumiem. Bo zrozumiałem wtedy więcej niż przez całe moje życie.

Wyciągnęła jednak rękę, aby pogłaskać go po głowie, ale, zgodnie z wcześniejszymi obawami, uchylił się od tej pieszczoty. Patrzył gdzieś w bok, w oczach miał mrok.

– Nie mogę cię do niczego zmusić i nie chcę tego robić – mruknął. – Ale jeśli z jakiegoś powodu zależy ci na informacjach o Polskim Państwie Podziemnym, to pogadaj z tatą. Byłoby fajnie. Mogę to jakoś zaaranżować,

jeśli chcesz. – W ponurym spojrzeniu zamigotało weselsze, kpiarskie światełko. – Ale to zabrzmiało, co? Jak jakaś opera mydlana.

„Nie mogę cię zmusić...” Czy i ona nie zwróciła się tak do własnego ojca? A poniekąd także do matki, która również nabrała wody w usta, gdy tylko usłyszała pytanie o Wandę?

– Nie trzeba – rzekła cicho, a kiedy Michał odpowiedział jej smętnym, zrezygnowanym spojrzeniem, wykrzywiła twarz w uśmiechu. – Nie musisz niczego aranżować. – Ostatnie słowo podkreśliła. – Jeśli będę chciała go o coś spytać, zrobię to. Znam numer jego telefonu.

Zadzwoniła dwa dni później.

Umówili się w małej kafejce przy Filtrach na Ochocie. Pozornie miało to wyglądać na typowe towarzyskie spotkanie przy kawie. Niezobowiązujące, koleżeńskie – tak to sobie wykoncypowała Weronika. W ramach małej przerwy w pracy. Co prawda ona rozpoczęła już wakacje, jednak Jarek wciąż grzebał w archiwum Akt Nowych. Przygotowywał artykuł do zbiorowej publikacji, musiał dokończyć kwerendę i dotrzeć do kilku potrzebnych mu dokumentów. „A termin nagli” – dodał. Gdy to usłyszała, poczuła się niezręcznie i pożałowała, że zdecydowała się do niego zadzwonić.

– Nie chcę ci zawracać głowy, nie wiedziałam, że jesteś taki zajęty – rzekła z nadzieją, że nie usłyszał w jej głosie rozczarowania ani – co gorsza – pretensji.

– Bez przesady, nie jestem bardziej zajęty niż kiedykolwiek – odparł pogodnie. – Miło mi, że dzwonisz.

– Dzięki, ale to rozmowa nie na telefon. – Nic nie mogła poradzić, że poczuła się jak idiotka. – I dlatego pomyślałam...

– W takim razie wpadnij do mnie, to pogadamy. Adres znasz. – Powiedział to koleżeńskim tonem, jak gdyby naprawdę traktował swoje zaproszenie jako coś najbardziej oczywistego pod słońcem.

Dla Weroniki nie było to jednak takie oczywiste. Do mieszkania Jarka (kiedyś wspólnie przez nich wynajmowanego) nawet nie zajrzała od czasu, gdy się stamtąd wyprowadziła. Wciąż nie była pewna swojej reakcji po ponownym znalezieniu się tam. Wróciłyby wspomnienia, które i bez takich dodatkowych bodźców nie dawały za wygraną. Upływ czasu niczego tu nie zmieniał, przynajmniej nie w jej przypadku.

Wolała też nie zapraszać Jarka do siebie. Chciała pomówić z nim w cztery oczy, a nie miała żadnej pewności, czy Piotrek i Michał, którzy na razie jeszcze nie wyjechali na wakacje, nie kręciliby się wtedy po mieszkaniu, zapewne zainteresowani całą sytuacją. A nie mogła im przecież powiedzieć, aby znaleźli sobie jakieś zajęcie poza domem, bo zaprosiła właśnie ich ojca i chciałyby z nim pomówić sam na sam. Kto wie, do jakich wniosków by wtedy doszli, nawet Michał, który przecież wiedział, dlaczego chciała spotkać się z Jarkiem. Co nie zmienia faktu, że mogłby w związku z tym snuć pewne... nadzieje.

– A może spotkamy się gdzieś na mieście? Tak byłoby najwygodniej – zaproponowała wobec tego.

Na szczęście nie nalegał, by odwiedziła go u niego w domu. Nie zmienił też tonu. Nadal był miły i koleżeński.

– W takim razie przyjeżdż jutro na Hankiewiczza. Spotkajmy się w okolicach Archiwum. Zrobię sobie przerwę, wpadniemy gdzieś na kawę. Co ty na to? Może być trzynasta?

Pogodne brzmienie jego głosu natychmiast ją uspokoiło. Oczywiście, zaproponowane rozwiązanie jak najbardziej jej odpowiadało. Skwapliwie przystała na propozycję.

Potem przejrzała niemal całą swoją letnią garderobę. Nie było powodu, aby szukać jakiejś specjalnie wyjściowej kreacji czy robić się na wystrzałową dziewczynę. Nie wypadało jednak iść w byle czym. A tak w ogóle to idiotka ze mnie, zawyrokowała po raz drugi.

Gdy przybyła na miejsce, mimo wszystko przejęta i zdenerwowana, Jarek już na nią czekał. Z daleka wyglądał zupełnie tak jak Michał. Z bliska zresztą także prezentował się dobrze, na pewno młodziej, niż wskazywała metryka. To oczywiście nie były nowe, odkrywcze spostrzeżenia – Weronika dokonywała ich za każdym razem, gdy miała okazję widzieć byłego męża (ostatnio w kawiarni razem z synami), ale wciąż, gdy na niego patrzyła, dochodziła do tych samych wniosków.

Przywitali się jak dwoje w miarę dobrych znajomych, wymienili kilka grzecznościowych uwag, a kiedy zasiedli wreszcie w małej kafejce, Jarek ni z tego, ni z owego do niej mrugnął.

– Podobno odkryłaś w sobie pasję historyka? Zawsze twierdziłem, że na to nigdy dla nikogo nie jest za późno.

Zachnęła się i zaczerwieniła.

– Michał już ci powiedział, w czym rzecz? – mruknęła wściekła z powodu tego rumieńca. Zdecydowanie zbyt często i zbyt łatwo się czerwieniła. Reagowała tak samo jak w czasach wczesnej młodości, a przecież, do licha ciężkiego, z młodością pożegnała się już jakiś czas temu.

– Był totalnie zaskoczony. Pytał, czy coś przychodzi mi do głowy. Jakiegolwiek wyjaśnienie, dlaczego tak nagle zainteresowałaś się polskim podziemiem politycznym z czasów wojny. Podejrzewa, że może mieć to związek z jakimś nieznanym mu epizodem dotyczącym przeszłości rodzinnej, i był ciekaw, czy coś mi się obilo o uszy na ten temat, bo ty byłaś bardzo tajemnicza.

Przez moment nie wiedziała, co odpowiedzieć. Domyślność syna zaskoczyła ją, choć przecież nie powinna. Zawsze był bardzo bystry i łatwo kojarzył fakty, rozwiązywał zawile zagadki, bez problemu dostrzegał związki przyczynowo-skutkowe tam, gdzie nikt ich nawet nie szukał.

– Nie obawiaj się, nie będę niczego z ciebie wyciągał – dodał Jarek, spostrzegłszy jej zmieszanie. – Nic mi do tego. To ty chciałaś mnie o coś zapytać, więc słucham.

Powiedział to na wpół żartobliwie, dostrzegła jednak powagę w jego oczach. Zebrała się w sobie.

– Tak naprawdę najbardziej interesuje mnie jedna kwestia. – Rozmawiamy jak uczestnicy jakiegoś seminarium, przemknęło jej przez głowę. – Jak to było z wykonywaniem wyroków śmierci na tak zwanych zdrajcach, konfidentach, czy jak to tam nazywano? Kto o tym decydował i na jakiej podstawie?

Nawet jeśli to pytanie go zaskoczyło lub wręcz zaniepokoiło, nie dał tego po sobie poznać. Jednak jego pogodny uśmiech zniknął. Podobnie jak żartobliwy ton głosu. Przez chwilę w zamyśleniu mieszał kawę w filiżance.

– To teoretycznie prosta odpowiedź – rzekł w końcu z powagą. – W praktyce jednak dość złożone, trudne zagadnienie.

– Dlaczego?

Popatrzył na nią z życzliwym zainteresowaniem. Przez chwilę miała dziwne wrażenie, jakby nie tyle odgadywał, co doskonale zdawał sobie sprawę, z jakiego powodu zadawała mu te pytania. I choć zaraz samą siebie upomniała, że to przecież niemożliwe, by czegokolwiek się domyślał, nie mogła pozbyć się pewnych wątpliwości. Był zawodowym historykiem, badaczem, potrafił docierać do źródeł i do informacji, o których znakomita większość ludzi nie miała pojęcia.

– Bo to nie zawsze wyglądało tak jednoznacznie, jak przedstawiają to różne opracowania i podręczniki – odparł spokojnie.

– Nie przypominam sobie żadnych informacji na ten temat w moich szkolnych podręcznikach – przyznała. – Być może w podręcznikach chłopców bym coś znalazła, ale przyznam, że do nich nigdy nie zaglądałam.

– Niewiele byś tam znalazła. Od naszych szkolnych czasów prawie nic się nie zmieniło w nauczaniu historii. Owszem, coś się tam napomyka w jednym zdaniu o działalności polskich formacji konspiracyjnych, ale bez wchodzenia w szczegóły.

– Dlaczego? To znaczy rozumiem, że to może być uznawane za śliski temat, w pewnym sensie niepoprawny politycznie, niemniej...

– Niemniej tak to właśnie wygląda. Nikt nie lubi przyznawać się do zdrajców i konfidentów we własnych szeregach. Każdy woli chlubić się niezłomnymi bohaterami. Tak jest zresztą w każdym kraju, nie jesteśmy wyjątkiem.

– Okay, mogę to zrozumieć. Ale... – Bawiła się łyżeczką, wciąż jednak czując na sobie jego uważne spojrzenie. – Czy nie zdarzały się czasem pomyłki? Czy nie zdarzało się tak, że ukarano niewinnego człowieka? – Upiła łyk kawy i momentalnie zrobiło jej się gorąco. To przez ten upał, wytłumaczyła sobie. A przynajmniej starała się tak to rozumieć. – Przecież nawet w okresie pokoju, nawet teraz zdarzają się pomyłki sądowe. Gdy istnieją dogodne warunki do zebrania dowodów i przeprowadzenia sensownego dochodzenia. A co dopiero w warunkach okupacji i konspiracji...

– Dokładnie tak – odparł Jarek. W przeciwieństwie do niej nie ściszał głosu, choć również go nie podnosił. – To kolejny powód, dla którego niezbyt chętnie podejmuje się ten temat. Od razu dodam, że tak jest nie

tylko w Polsce, ale w każdym innym państwie, na przykład we Francji. Tam w czasie wojny mieli naprawdę poważny problem z kolaboracją i dlatego to, co się działo po wyzwoleniu, przypominało niekiedy polowanie na czarownice, a w tych warunkach łatwo o niedbalstwo. No i zdarzało się, że ofiarami padali niewinni ludzie.

– U nas jednak nie przybrało to aż takiej... – szukała słowa – ...skali?

– U nas skala tego zjawiska była nieporównywalnie mniejsza. Wiązało się to z faktem, że reżim okupacyjny, jaki Niemcy zastosowali w Polsce i generalnie w Europie Wschodniej, był znacznie trudniejszy do zniesienia niż na Zachodzie. Stąd niechęć do Niemców była ogromna, a w związku z tym także wobec osób, które podejmowały z nimi taką czy inną formę współpracy. Te osoby nawet nie musiały być konfidentami czy zdrajcami, często jednak spotykał je ostracyzm ze strony rodaków. Choć nie zawsze.

– Nie zawsze? – Znowu, jak za dawnych lat, poczuła, że udziela jej się jego fascynacja historią. Jego sposób narracji, zapal, z jakim opowiadał. W przeszłości dała się temu oczarować i przez kilka lat trwała w tym oczarowaniu. Muszę się pilnować, upomniała się teraz surowo. Przyszła tu przecież w sprecyzowanym celu, po konkretne informacje. To wszystko, nic więcej.

– Nie zawsze – przyznał, odpowiadając na jej pytanie. – Bo czasami, nie powiem, że wszyscy, ale niektórzy próbowali coś ugrać. Na przykład wyciągnąć kogoś bliskiego z Pawiaka, z obozu koncentracyjnego czy nawet z listy zakładników przeznaczonych na rozstrzelanie. To wymagało finezji i sprytu, a przede wszystkim nie byle jakich pieniędzy, takie sprawy załatwiano pod stołem, no i, ze zrozumiałych względów, nikt się tym nie chwalił. Ani Polacy, ani niemieccy okupanci.

– No tak... – mruknęła Weronika, uznawszy, że wypadałoby coś wtrącić. Przypomniała sobie opowieść Mielskiej o wyciągnięciu z Pawiaka

jej kuzyna.

– Tak to było. Jedni byli niezłomnymi bohaterami, którzy ginęli w katowniach na alei Szucha, w niemieckich, a także sowieckich kazamatach, a inni... Inni chcieli po prostu przeżyć.

– Chęć przeżycia nie musi od razu oznaczać zdrady i zaprzaństwa.

– Tu byłbym ostrożny. To zależy, do czego ten czy ów się zobowiązał w zamian za przeżycie, za uratowanie siebie i bliskich, za bardziej znośne warunki przetrwania. Granica była niekiedy bardzo cienka. Czasem łatwa do przeoczenia, czasem jednak przekraczana świadomie.

– W jaki sposób sprawdzano, kto przekroczył tę linię? Jak rozumiem, weryfikowała to specjalna komórka w konspiracji, tak?

– Starano się sprawdzać dobrze, rzetelnie. Tyle ci mogę powiedzieć. Przyglądano się delikwentowi, weryfikowano wszystkie za i przeciw.

– Ale jednak pomyłki się zdarzały? – przypomniała mu.

– Niestety. Tak jak wcześniej wspomniałaś, panowały bardzo trudne warunki.

Była pewna, że bardzo chciał ją zapytać, z jakiego powodu tak się zainteresowała tym zagadnieniem. Jednak tego nie zrobił. W jego spojrzeniu wyczytała zarazem coś, co ją ponownie zaniepokoiło. Dlatego przez dłuższą chwilę zastanawiała się, czy zadać mu kolejne pytanie. Bardzo ryzykowne, które mogło mu dać sporo do myślenia. Zdecydowała, że jednak to robi. Wystarczyło, że ponownie pomyślała o Staszku, o Wandzie, o Jadwidze Mielskiej.

– A czy mogło się zdarzyć, że przy okazji albo, co gorsza, pod pozorem rozprawiania się ze zdrajcami wyrównywano... osobiste porachunki? – zagadnęła z wahaniem.

– Czy ja wiem... – Nie ulegało wątpliwości, że pytanie go zaskoczyło. – Nie chciałbym brnąć tak daleko i wysnuwać ryzykownych

wniosków. Mimo wszystko rozmawiamy o Polskim Państwie Podziemnym, a to bardzo chlubna karta naszych dziejów. Łatwo wpaść w modną obecnie w niektórych środowiskach pokusę i manierę szargania świętości. – Uśmiechnął się, jakby rozbawiło go to sformułowanie, i wzruszył ramionami. – Ale z drugiej strony... historia nie pisze się sama. Tworzą ją ludzie, którzy, jak wiadomo, w swoich decyzjach kierują się różnymi emocjami. I dlatego, wracając do twojego pytania, muszę przyznać, że wszystko jest możliwe.

Zapadło milczenie. Weronika bezwiednie zerknęła w kierunku dwojga młodych ludzi siedzących w kącie, zapatrzonych w siebie jak w obraz, milczących.

Jak my, przemknęło jej przez głowę. Jak my kiedyś. Teraz także, choć z innego powodu.

Czy jednak na pewno? Głupie myśli, sarknęła w duchu. Sentymentalne bzdury. Czas przerwać tę ciszę.

Zrobił to jednak Jarek, jej bowiem nic sensownego nie przychodziło do głowy.

– Czy coś się stało? – zdecydował się wreszcie zapytać. – Jakiś problem?

– Nie. – W pierwszej chwili zaprzeczyła, zaraz jednak sprostowała: – To znaczy nie jestem pewna.

– Mam nadzieję, że przynajmniej trochę pomogłem.

Trochę, przyznała w duchu, ale w gruncie rzeczy nadal nie wiem, z jakiego powodu zginął ten konkretny człowiek, Staszek Mikołajski.

– Tak, dziękuję – odpowiedziała na głos, tonem zadowolonego klienta. – Z pewnością nieco rozjaśniłeś mi w głowie.

– Odradzałbym jednak taką tematykę na szkolną akademię. To po pierwsze trochę za trudne, na pewno zbyt zagmatwane dla uczniów. A po

drugie raczej nie spodoba się tym, którzy chcieliby widzieć dzieje ojczyste jedynie w czarno-białych barwach. Bez żadnych odcieni szarości.

– Ja lubię odcienie szarości. Przynajmniej są ciekawsze.

Co ja plotę? Chyba skretyniałam do reszty. Jarek gotów pomyśleć, że się z nim droczę albo, co gorsza, szczebioczę do niego, zachnęła się.

– Ja myślę podobnie – uśmiechnął się Jarek. – Ale ja mogę sobie na to pozwolić. Nie jestem nauczycielem, nie nabałaganie w szkolnym programie wychowawczym.

– Tu nie chodzi o żadną szkolną akademię – westchnęła Weronika. – I na wszelki wypadek wyjaśniam, że nie zbieram materiałów do żadnej publikacji. Chodzi mi o konkretnego człowieka, którego ukarano śmiercią za jakąś formę współpracy z Niemcami. Podobno oskarżono go o zdradę. Ale jego rodzina nigdy w to nie uwierzyła.

– Rodziny na ogół w takie oskarżenia nie wierzą.

– A można to jakoś sprawdzić? Zweryfikować?

– Chcesz, abym ja to sprawdził?

– Nie, skąd – zaprzeczyła gwałtownie i przy okazji ponownie spiekła raka. – To tylko hipotetyczne pytanie, nic więcej.

Choć oczywiście i taka myśl zaświtała jej w głowie. Jednak tylko przez moment. Sprawa ta w pewnym sensie dotyczyła jej rodziny, a niechęć ojca i ciotki Rozalii, by o tym mówić i cokolwiek wyjaśniać, wywoływała w niej coraz większy niepokój. Niewykluczone, że Jarek dotarłby do takich informacji, które jednak powinny pozostać tajemnicą. I może lepiej nie poszerzać kręgu osób, które dzięki tym odkryciom zyskałyby do niej dostęp. Innymi słowy – chyba nie byłoby wskazane, aby wiedzę taką nabył również jej były mąż. A poza tym nie chciała go absorbować swoimi sprawami, zaciągać jakiegoś długu wdzięczności i tak dalej. I bez tego nie

potrafiła pozbyć się uczucia pewnego skrępowania, gdy tak siedzieli blisko siebie, tylko we dwoje.

– Moje pytanie także było czysto retoryczne. – Lekki uśmiech przemknął mu po twarzy.

Na pewno ubawiła go moja reakcja, stwierdziła z przekąsem Weronika. I nawet trudno mu się dziwić.

– Dochodzenie w takich sprawach jest bardzo trudne, często niewykonalne – kontynuował. – I to zarówno w przypadku osób znanych, jak i tych, których nazwisk z pewnością nie znajdzie się w żadnym podręczniku ani w encyklopedii. Życiorysów tych najślawniejszych bojowników na ogół się już nie rusza.

– Jestem pewna, że tamten chłopak z pewnością nie znalazł się w encyklopedii – odparła i w tym momencie poczuła szczery smutek.

Staszek miał to jedno życie, tę jedną szansę, pomyślała. Podobnie jak miliony innych ofiar, o których wspomina się zbiorowo, których liczbę wymienia się jako „około” lub „mniej więcej”. A przecież każda z tych osób powinna być dokładnie policzona, co do jednej. Każda miała swoje imię i nazwisko, nawet jeśli nie znalazły się w podręcznikach i opracowaniach. Każda z nich to osobne cierpienie, inna tragedia. Każda miała swoją jedną szansę na życie, straconą, pogrzebaną, choć nie wszyscy mają swoją mogiłę. Czy Staszek ją ma?

Mogłabym zapytać o to jego kuzynkę, pomyślała. Oczywiście, o ile Mielska będzie miała ochotę na następną rozmowę, a tego Weronika nie mogła być pewna. Jak dotąd widziały się tylko raz, ich pożegnanie wypadło dość chłodno i oficjalnie, co raczej nie dawało perspektyw na kontynuowanie znajomości.

Weronika otrząsnęła się z zamyślenia i ponownie popatrzyła na Jarka. Odwzajemniał jej spojrzenie, najpewniej zdając sobie sprawę, że nieprędko

znowu się zobaczą. Kiedyś, gdy chłopcy byli jeszcze mali, widywali się częściej, choć były to krótkie spotkania. Jarek przychodził po dzieci, a potem je odprowadzał, przy okazji chwilę rozmawiali. Wymieniali konieczne informacje, jak stwierdził z przekąsem Michał. Potem, gdy synowie dorośli, skończyły się okazje do spotkań. Piotrek i Michał sami, już bez jej udziału, umawiali się z ojcem. A także z dziadkami Piontkowskimi.

Gdy patrzyła na byłego męża, nie mogła oprzeć się kolejnej niewesołej refleksji. Tej mianowicie, że i ona – podobnie jak zmarły tragicznie przed laty Staszek Mikołajski, jak tylu innych ludzi na tym świecie – miała to jedno życie, którego nie da się już powtórzyć. Drugiej szansy nie będzie. Nie odzyska już lat, gdy była zakochana i z wzajemnością kochana – czego wtedy nie doceniła. Po prostu pozwoliła to zniszczyć.

Nie ma sensu po raz kolejny do tego wracać, nawet we wspomnieniach, otrząsnęła się. Jeszcze tego brakowało, aby się tu rozbeczała.

– Musisz wracać do pracy – rzekła, ujmując torebkę. – Dzięki za kawę i za poświęcenie mi czasu.

– Zrobiłem to z przyjemnością. – Jarek także się podniósł. – Przecież wiesz – dorzucił.

– Dziękuję – powtórzyła.

Gdy opuszczali lokal, uznała, że wypada zadać mu kurtuazyjne pytanie, co u niego słyhać. Ot formalna, zdawkowa grzeczność. Takiej też formalnej, zdawkowej odpowiedzi oczekiwała.

– W porządku – odparł zgodnie z jej przewidywaniami. – Prowadzę nowe badania, pracy mi nie brakuje. Skończyliśmy rekrutację na uczelni. – Na moment umilkł, była więc pewna, że zaraz zada jej podobne pytanie. Tak się jednak nie stało. Za to ni z tego, ni z owego dodał coś, co

w pierwszej chwili ją oszołomiło: – Nie wiem, czy chłopaki ci mówili, ale... nie jestem już z Bożeną. To skończone.

– Z Bożeną? Z jaką Bożeną? – Była zbyt zaskoczona, aby to ukryć. Potrzebowała dłuższego czasu, by ponownie wziąć się w garść.

– Nie powiedzieli ci – skwitował. Najwyraźniej poczuł się niezręcznie, co próbował maskować nieco wymuszonym uśmiechem. – Nie miałaś o niczym pojęcia. Przepraszam, głupio się z tym wyrwałem.

– Nic się nie stało – odparła niepewnie. – Naprawdę. Nie musieli mi o niczym mówić. To twoje sprawy...

Wciąż miał stropioną minę, być może oczekiwał nieco innej odpowiedzi. Ale niby jakiej? Zirytowała się. Cholerny Michał! Oczywiście syn nie musiał opowiadać jej o jakiejś tam Bożenie, ale Weronika była w tym momencie pewna, że miał swój cel w tym, by właśnie teraz namawiać ją na spotkanie z Jarkiem.

Nie było już nic więcej do dodania, zatem pożegnali się i każde ruszyło w swoją stronę.

Rozdział 9

Szykowało się długie, samotne popołudnie (chłopcy wybyli gdzieś z domu, a koleżanki wyruszyły na wakacyjne wojaże), lecz Weronika nie robiła z tego problemu. Wypożyczyła ostatnio kilka książek, wyszykowała sobie wygodne siedzisko na balkonie i przygotowała kieliszek półwytrawnego wina. Zaledwie jednak sięgnęła po leżącą na stoliku powieść, rozległ się dzwonek telefonu.

Pierwsza reakcja: nie odbierać. Jeśli komuś naprawdę będzie zależało, zadzwoni później. Jednak chwilę potem już stała przy aparacie. Serce niemal podeszło jej do gardła, gdy rozpoznała głos Jadwigi Mielskiej.

– Ma pani trochę czasu? – spytała tamta.

– Tak, oczywiście – odparła Weronika, choć jeszcze minutę wcześniej najbardziej marzyła o tym, by spędzić popołudnie na balkonie. Nie miała jednak pewności, czy Mielska zdecydowałaby się zadzwonić po raz drugi. A poza tym, rzecz jasna, ciekawość wzięła jednak górę.

– A ochotę na małą przechadzkę?

– Zaprasza mnie pani do siebie? – Poniewczasie Weronikę naszły wątpliwości, czy nie zabrzmiało to zbyt obcesowo.

– Nie do siebie – odpowiedziała Mielska. – Do Staszka.

Weronika poczuła przyspieszone uderzenia własnego serca. Potrzebowała czasu, by zdobyć się na jakąkolwiek reakcję.

– Nie ma pani nic przeciwko temu? – Przedłużającą się ciszę przerwała Mielska.

– Nie – odparła zmienionym głosem Weronika. – To znaczy nie mam nic przeciwko – uściśliła. – Dziękuję, że pani zadzwoniła.

– Odniosłam wrażenie, że panią zaskoczyłam – zagaiła Mielska, gdy godzinę później przywitały się przy bramie Cmentarza Brudnowskiego. – Niemniej cieszę się, że znalazła pani dla mnie czas.

– Zaskoczyła mnie pani, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Jeszcze raz dziękuję, że pomyślała pani o mnie – uśmiechnęła się Weronika.

– Mam dwa dobre powody, aby tak postąpić – odparła Mielska, gdy przemierzały cmentarne alejki. – Po pierwsze chciałabym, aby ktoś oprócz mnie pamiętał o Staszku i... odwiedzał miejsce jego spoczynku. Ktoś zdecydowanie młodszy ode mnie, kto – miejmy nadzieję – ma szansę mnie przeżyć.

– Tego akurat nikt nie może być pewny – wtrąciła niemal pogodnie Weronika, ale Jadwiga Mielska albo nie zwróciła uwagi na jej słowa, albo przeszła nad nimi do porządku dziennego.

– Oczywiście mogłabym zlecić to zadanie córkom i wnuczkom – kontynuowała. – I nawet tak zrobię, ale nie mam cienia wątpliwości, że nie przyłożą się do tego tak, jak należy. Owszem, przyjść pewnie tu przyjdą. Ale nie włożą w to serca. Nie tak, jak bym sobie tego życzyła. I w końcu nastanie taki czas, gdy już się tu nie pojawią. Nie miały okazji poznać mojego stryjecznego brata. Znają go tylko z moich opowieści, ale... No cóż... – Zawahała się. – Pani to co innego – dorzuciła po chwili. – Pani jest bratanicą Wandy.

– Dziękuję za zaufanie – odparła Weronika.

– To tutaj.

To tutaj, powtórzyła w myślach Weronika, patrząc ze ściśniętym sercem na skromną, starą płytę nagrobną. Żyjemy, dopóki ktokolwiek na ziemi o nas pamięta, pomyślała ze smutkiem. W przypadku Staszka była to bardzo wąska grupa starszych ludzi. Jadwiga Mielska i Jan Reczyński. Czy to możliwe, by nie było już nikogo więcej?

– Czy oprócz pani nie miał żadnej bliższej rodziny? Braci? Sióstr? – spytała.

Mielska potrząsnęła głową. Schyliła się, by poprawić donicę z kwiatami i zapalić znicz.

– Był jedynakiem. Matka zmarła jeszcze przed wojną, ojciec w pierwszych tygodniach okupacji.

Słyszając to, Weronika zapragnęła na razie jednego – opuścić to miejsce, wyjść poza bramę cmentarza, wrócić do świata żywych, iść ulicami pełnymi śpieszących się, śmiejących, rozgadanych ludzi. Nie mogła jednak tego zrobić, nie wypadało. Zaczęła za to niecierpliwie przestępować z nogi na nogę. Naraz jednak coś sobie przypomniała.

– A ten drugi powód? Wspomniała pani o dwóch powodach, dla których zaproponowała mi pani to spotkanie.

– Tak. – Mielska się wyprostowała. – Gdy poprzednio się widziałyśmy, nie zdecydowałam się powiedzieć pani o wszystkim. A w zasadzie o najważniejszym.

Nagle Weronika pożałowała, że zadała pytanie o ów drugi powód spotkania. A nawet, że w ogóle zdecydowała się tu przyjść. Po raz kolejny przyznała w duchu rację Oskarowi – należało trzymać się z daleka od tej dziwnej kobiety. W jej spojrzeniu nie było teraz ani odrobiny ciepła, nawet szczypty życzliwości. Nie była to zapewne otwarta wrogość, niemniej chłód

bijący z jej głosu skutecznie zniechęcał do dalszej rozmowy. A już na pewno do wysłuchania odpowiedzi. Tak czy inaczej, było już za późno, aby się wycofać. Przyszłam tu, pomyślała z rezygnacją Weronika, więc nie będę teraz uciekać, nie zrobię z siebie idiotki. Nie dam jej tej satysfakcji.

– Parę lat po wojnie dowiedziałam się, że pani ojciec odwiedził Staszka... na kilka dni przed jego śmiercią – rzekła Jadwiga.

Wiadomość ta w pierwszej chwili zaskoczyła Weronikę. Stała w oczywistej sprzeczności z tym, czego do tej pory zdążyła się dowiedzieć.

– Przecież mówiła pani wcześniej, że Staszek, że pani kuzyn rozluźnił kontakty ze swoimi dotychczasowymi przyjaciółmi i kolegami. Z niektórymi zupełnie zerwał – odparła.

– Tak twierdził. Wyglądało jednak na to, że pani ojciec nie zaliczał się do tych, z którymi Staszek całkowicie zerwał.

– A zatem co w tym dziwnego, że od czasu do czasu go odwiedzał? Pewnie z wzajemnością. – Weronika wzruszyła ramionami. Teraz była niezadowolona przede wszystkim z siebie samej, że okazała wcześniej takie zaskoczenie. I to miałyby być ta niezwykła sensacyjna informacja, dla której tamta ją tutaj ściągnęła?

– Nie robił tego wcześniej – odparła Jadwiga. – O ile mi wiadomo, odkąd mój kuzyn zmienił adres, pani ojciec już go nie odwiedzał. – Zmrużyła oczy, jakby nagle zaczęło razić ją słońce, przebijające się zza drzew. – Może już pójdziemy? – zaproponowała, odwracając się na pięcie.

Weronika niczego bardziej sobie nie życzyła, jak stąd odejść i pożegnać się z Mielską przy cmentarnej bramie, w tym samym jednak momencie ponownie poczuła niepokój, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć.

– Widzę, że naprawdę była pani bardzo związana z kuzynem. Skoro nawet wiedziała pani, z kim zerwał, a z kim jedynie poluzował kontakty. Kto go odwiedzał, a kto nie – zagadnęła po chwili z ironią. Zdawała sobie

oczywiście sprawę, że nie powinna używać takiego tonu – przecież Mielska wciąż opłakiwała stryjecznego brata – ale nie potrafiła się powstrzymać. Nie pozwalała jej na to wzrastająca irytacja.

Jadwiga zachowała spokój.

– Wiele spraw zrozumiałam dopiero po jego śmierci – odparła chłodno. – Dopiero wówczas zaczęłam łączyć ze sobą fakty, do których wcześniej nie przywiązywałam żadnej wagi.

– Jak na przykład do wizyty mojego ojca? – Weronika już otwarcie zakpiła, zaraz jednak poczuła się niezręcznie i postanowiła w duchu, że od tej pory będzie bardziej uważać. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że kroczyła po coraz bardziej kruchym lodzie. Co więcej, sama pozwoliła się na niego wprowadzić.

Jednak Mielska i tym razem nie dała się sprowokować. W odpowiedzi jedynie skinęła głową. Najwyraźniej była bardzo dobrze przygotowana do tej rozmowy, przewidziała jej przebieg, w pełni ją kontrolowała. A przy okazji reakcje, zarówno własne, jak i swojej rozmówczynie.

– I co sprawiło, że zmieniła pani zdanie? Że nagle ta wizyta nabrała znaczenia?

– Co sprawiło? – powtórzyła Mielska, a na jej spokojnej i opanowanej twarzy pojawił się cień. – Przede wszystkim kilka zastanawiających okoliczności, które wówczas się ze sobą sprzęgły. I o których dowiedziałam się dopiero kilka lat po wojnie.

Bredzi, pomyślała ze złością Weronika. I pomyśleć, że mogłam teraz czytać i poopalać się na balkonie. Czują, że jeszcze kilka minut, a do reszty straci cierpliwość. Trzeba ponaglić babę, aby wreszcie wydusiła z siebie, co ma do powiedzenia, zamiast gadać ogólnikami. Co chciała przez to osiągnąć? Stopniować napięcie? W sumie nawet jej się to udało, ale po jaką cholere to robiła?

– Powiedziała pani, że dowiedziała się o tym spotkaniu dopiero kilka lat po wojnie – przynagliła niecierpliwie. – Od kogo? Od mojego ojca?

– Nie, skądże znowu. – Tym razem Mielska potrząsnęła głową. – Powiedziała mi o tym sąsiadka Staszka, której matka, stara Bujanowska, całymi dniami przesiadywała w oknie. Staruszka była niewidoczna z podwórza i z ulicy, zasłaniała ją gęsta firanka. Ona jednak zwracała uwagę na wszystko, co się działo na podwórzu. To była jej jedyna rozrywka. Ale dopiero po latach wyjawiała, że niemal w przeddzień śmierci mojego kuzyna widziała tam pani ojca. A dokładniej, jak obaj razem wychodzili z kamienicy. Staszek już potem nie wrócił do domu. Bujanowska rozpoznała pani ojca już na pogrzebie Staszka, wtedy jednak wolała nie rozgłaszać tej wiadomości. Przeraziła ją śmierć najbliższego sąsiada i wszystkie towarzyszące jej okoliczności. Uznała, że rozsądniej będzie milczeć. Żaden z mieszkańców nie był zresztą skłonny do rozmów na ten temat. A ona sama powiedziała o tym swojej córce dopiero przed samą śmiercią. Wtedy lękała się już jedynie tego, że Pan Bóg ukarze ją za grzech zaniechania i przemilczenia w tamtej sprawie.

– Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek słyszała większe bzdury! – uniosła się Weronika. Dygotała jak w febrze. – Zdaje sobie pani sprawę z tego, co oznaczają takie insynuacje?

Jednakże na idącej obok niej kobiecie ten wybuch nie zrobił najmniejszego wrażenia. Tak jakby go przewidziała.

– To nie wszystko... – odparła Mielska, wzruszając ramionami.

– Doprawdy?! Jeszcze nie wszystko! Oskarża pani mojego ojca o...

– Nie oskarżam. – Kobieta spochmurniała jeszcze bardziej. – Ale nie możecie mieć do mnie pretensji, że starałam się dowiedzieć i wyjaśnić jak najwięcej. Choć i tak nikt nie chciał mnie słuchać.

– Nie dziwię się! Gada pani bzdury!

– Denerwuje się pani. – Mielska uśmiechnęła się dziwnie. Ponownie zmrużyła przy tym oczy, co sprawiło, że wyglądała niemal groźnie. – Ona też tak krzyczała – dodała ciszej. – Zwłaszcza gdy powiedziałam jej...

– Ona...?! Jaka znowu ona?! – zawołała ze złością Weronika.

– Mówię o Wandzie. – Mielska nie odwzajemniała jej spojrzenia. – I o wizycie, którą mi złożyła, zanim wyjechała z Polski.

Piękny, wiosenny dzień pięćdziesiątego pierwszego roku.

Stały naprzeciw siebie w otwartych drzwiach i w milczeniu mierzyły się wzrokiem. Jadwiga miała wrażenie, że minęły całe wieki, zanim się wreszcie otrząsnęła ze zdumienia. Zresztą słowo „zdumienie” nie oddawało całej gamy uczuć, jakie w tamtej chwili ją ogarnęły.

– Wejdz, proszę. – Gestem zaprosiła Wandę do środka, ale w przedpokoju ponownie zapadła cisza.

Tym razem jednak trwała już znacznie krócej.

– Dobrze wyglądasz – odezwała się wreszcie Jadwiga. Nie była to jedynie grzecznościowa uwaga, ale jak najbardziej szczere stwierdzenie faktycznego stanu rzeczy.

– Ty także – odparła uprzejmie Wanda, ale to akurat stwierdzenie było jedynie czystą kurtuazją, nieznajującą odzwierciedlenia w rzeczywistości. Mielska aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że z pewnością nie prezentowała się korzystnie. Dawną śliczną, wiecznie rozchichotaną i niefrasobliwą dziewczynę zastąpiła zmęczona, zaniedbana, przedwcześnie postarzała kobieta. Rozgoryczona z powodu nieudanego małżeństwa, utrudzona codziennością. I oto nagle, zupełnie niespodziewanie, po siedmiu latach przyszło jej stanąć oko w oko z Wandą, zaledwie kilka lat młodszą

od niej, która jednak wyglądała dokładnie tak jak wówczas, gdy się widziały ostatnio. Jakby czas się cofnął. Gdyby tak mogło być naprawdę!

– Nie stójmy tu, wejdźmy do pokoju – rzekła Jadwiga. Duży pokój, który służył zarówno za małżeńską sypialnię, stołowy, jak i miejsce, gdzie koncentrowało się życie domowe, zdążyła już, dzięki Bogu, posprzątać. W maleńkim pokoju dziewczynek dla odmiany wciąż panował rozgardiasz, ale wystarczyło przymknąć drzwi, by bałagan nie rzucał się w oczy. W kuchni wciąż piętrzyła się sterta naczyń do umycia. Jakby tego było mało, akurat dziś zaplanowała także większe pranie – naszykowała już miednicę i tarę, toteż teraz pośpiesznie zabrała je z pola widzenia.

– Przepraszam za bałagan – westchnęła, ale Wanda jedynie machnęła ręką.

– To raczej ja powinnam przeprosić cię za najście – oznajmiła, ale nie od razu usiadła na wskazanym przez gospodynię krześle.

– Nie ma problemu. Bardzo się cieszę, że cię widzę. – Pierwsze zdanie nie do końca było szczere, drugie zaś... Jadwiga sama nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie.

– Gdzie są dziewczynki? – uśmiechnęła się wreszcie Wanda. I właśnie ten uśmiech sprawił, że Jadwiga przestała postrzegać ją jako dziewczynę, której upływ czasu się nie imał. To już nie był uśmiech trzpiotowatej nastolatki. I nie to spojrzenie.

– W szkole – odparła. – Dopiero poszły i dlatego nie zdążyłam jeszcze doprowadzić mieszkania do ładu...

– Daj spokój, Jadziu – przerwała jej Wanda. – To drobiazgi, sprawy bez znaczenia.

Może dla ciebie, obruszyła się w myślach Mielska. Ja muszę ze wszystkim zdążyć na czas. Ugotować, uprać, posprzątać. Zanim dziewczynki wrócą ze szkoły, a potem Zygmunt z pracy. Nie wiesz, co to

znaczy, znosić jego krytyczne uwagi, że obiad jeszcze niegotowy i w ogóle nie taki, jak trzeba.

A może jednak Wanda wiedziała? Przecież i w jej życiu mogło się w tym czasie wiele wydarzyć. Nie widziały się od tak dawna, nawet o sobie nie słyszały... A przynajmniej ona nie miała czasu zasięgać informacji o dawnej bliskiej koleżance, nawet jej to do głowy nie przyszło.

– Co u ciebie słyhać? – zapytała. – Wyszłaś za mąż?

Szczęśliwie w ostatniej chwili powstrzymała się przed zadaniem pytania o dzieci. Jakby jakieś wewnętrzne przeczucie nakazało jej tego zaniechać.

– Tak, kilka dni temu – padła dość zaskakująca dla Jadwigi odpowiedź. Choć na dobrą sprawę sama nie wiedziała, czemu tak to odebrała.

– Gratuluję – rzekła dość niepewnym tonem. – Życzę ci szczęścia. – Wykrzywiła twarz w uśmiechu.

– Dziękuję.

– Napijesz się herbaty? – Poderwała się z miejsca, zadowolona, że może przynajmniej zyskać na czasie i jako tako oswoić się z nowiną. – Poczekaj chwileczkę, zaraz przygotuję.

– Pomogę ci.

– Nie ma potrzeby. Poza tym w mojej zagraconej kuchni jest miejsce w zasadzie tylko dla jednej osoby. Dwie już się o siebie objają.

– Nic nowego dla mnie. Tam, gdzie ja do niedawna mieszkałam, objało się o siebie znacznie więcej obcych sobie osób. W porównaniu z tym twoje warunki mieszkaniowe wydają mi się luksusem.

Nie weszła do kuchni, zatrzymała się w drzwiach, co krępowało Jadwigę, która jednak starała się panować nad sytuacją. Napelniła imbryk wodą, zajęła się zaparzeniem esencji i zastanawiała się nad tematem dalszej rozmowy. Przynajmniej z tego ostatniego kłopotu Wanda ją wybawiła.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że nie zaprosiłam cię na swój ślub? – zagadnęła.

– Nawet mi to do głowy nie przyszło – odparła ponownie zaskoczona Jadwiga.

Na litość boską, nie widziałyśmy się dobrych kilka lat. Nie spodziewałam się żadnego zaproszenia, przestałam nawet o tobie myśleć, dodała już tylko w duchu.

– Nikogo nie zaprosiliśmy. Świadkami byli niemal przypadkowi ludzie.

– Ach tak... – Nie wiedziała, co o tym myśleć. Była jednak pewna, że zaraz się dowie.

I rzeczywiście tak się stało. Wanda opowiedziała jej o Paolu Bellodim, o tym, jak się poznali, o niechęci jej brata do tego człowieka. Niechęci podyktowanej, jak przypuszczała, jedynie strachem przed konsekwencjami, jakie mogą go spotkać, jeśli siostra poślubi mężczyznę z kraju zza żelaznej kurtyny. W dodatku obywatela Francji, a stosunki z Francją były wówczas dość napięte. Dlatego postanowiła postawić jego i resztę już bardzo nielicznej rodziny przed faktem dokonanym. W razie gdyby UB – lub jakakolwiek instytucja – zaczęła się go czepiać, Janek mógł zgodnie z prawdą oświadczyć, że siostra zawarła małżeństwo bez jego wiedzy, o akceptacji już nawet nie wspominając. Trochę sobie przy tym pokpiwała z brata, uważając jego obiekcje za mocno wyolbrzymione.

Jadwiga jednak widziała to trochę inaczej. Z tego, co mówiła Wanda, wynikało, że Janek pogodził się już dawno z odebraniem mu Bożanowa i całkiem nieźle odnalazł się w nowej rzeczywistości. Wiedział, po czyjej stronie stanąć, z kim trzymać, komu się nie narażać. Dzięki temu urządził się także pod względem materialnym. Miał jednak świadomość, że wciąż stąpa po grząskim gruncie. Że z racji swojej „obszarniczej” przeszłości jest stale obserwowany, a nowa władza bynajmniej nie darzy go

bezwarunkowym zaufaniem. Innymi słowy małżeństwo Wandy mogło mu zaszkodzić. Lecz do niej samej chyba nie do końca to docierało. W każdym razie Wanda wierzyła, że wszystko się dobrze ułoży. Nawet jeśli nie od razu, to za jakiś czas. Choć raczej nie przed jej wyjazdem do Francji.

– Wyjeżdżamy za kilka dni – oznajmiła. – To trochę za krótko, aby Janek zdążył pogodzić się z moim małżeństwem i mi wybaczyć. Ale potem mu przejdzie, zresztą za kilka miesięcy zamierzam do niego napisać.

Tak jakby nie zdawała sobie sprawy, że list także mógł mu zaszkodzić. Jak każdemu, kto utrzymywał kontakty z krewnymi z zagranicy. Gdy Jadwiga jej o tym przypomniała, Wanda tylko wzruszyła ramionami i powiedziała, że tak czy inaczej, w końcu uda im się skontaktować.

– Opowiadałam ci kiedyś, że poznałam go, gdy miałam sześć lat, i od tej pory jest dla mnie jednym z najważniejszych ludzi na świecie? – spytała, ale nie czekała na odpowiedź.

Cała ona. Była pewna, że Janek ją zrozumie, wybaczy jej i znowu będzie jego najukochańszą, najśłodszą siostrzyczką. Jadwiga zresztą także w to nie wątpiła. I gdy tak jej słuchała, gdy patrzyła na te błyszczące z podniecenia oczy, gustowną fryzurę i modnie skrojoną sukienkę, poczuła jednocześnie ból i wściekłość. A także gorycz i rozczarowanie. Niektórym zawsze się udaje, pomyślała, zawsze dostają kolejną szansę w życiu. W dodatku stale towarzyszy im przekonanie, że są pępkiem świata. Czemu nikt im w końcu nie uświadomi, że w gruncie rzeczy niewiele sobą reprezentują? Na przykład jak ta... tutaj.

Nagle, zupełnie impulsywnie, zapragnęła dać to do zrozumienia Wandzie. I tym samym nieco zmącić jej radość i nadzieję, że wszystko nareszcie się ułoży.

– Wiedziałas o tym, że twój brat odwiedził Staszka na krótko przed jego śmiercią? – spytała bez żadnego związku z tym, o czym przed chwilą

rozmawiały.

Natychmiast spostrzegła zmianę na twarzy swojego gościa. Wanda poczerwieniała, a za chwilę spochmurniała. Wszelka radość z niej uleciała, popatrzyła niepewnie na gospodynię.

– Tak – odparła cicho. – Powiedział mi o tym. Spotkał się ze Staszkiem, aby porozmawiać o mnie. Zawsze traktował mnie jak małą siostrzyczkę, za którą jest odpowiedzialny. Nie byłam w stanie wybić mu tego z głowy. Nie miało to związku ze Staszkiem. Myślę, że z taką samą nieufnością traktowałby każdego mojego mężczyznę. Ale koniec końców wszystko by się ułożyło.

To ty pozwalałaś traktować się jak mała siostrzyczka, pomyślała z ironią Jadwiga. Słodka dziewczynka. Jakaś ty naiwna.

– A nie przyszło ci do głowy, że nie powiedział prawdy? A przynajmniej całej prawdy? – spytała.

– O czym ty mówisz? – Wanda patrzyła na nią z jeszcze większą niepewnością niż poprzednio. – O co ci chodzi?

– Raczej o kogo. Bo ja na przykład nie wykluczam, że Janek odwiedził Staszka nie z twojego powodu, ale z powodu twojej bratowej.

– Izy? – Oczy Wandy wyglądały teraz jak dwa spodki. – Co, u diabła, ona ma z tym wspólnego?

– Jak się okazuje, Staszek wcale nie był tak ignorowany przez rodzinę Reczyńskich, jak się to wszystkim wydawało. Bo oprócz twojego brata odwiedzała go także twoja bratowa. A nawet zrobiła to tego samego dnia, tyle że kilka godzin wcześniej. Widział ją dozorca, a także jedna z sąsiadek, która całymi dniami wysiadywała w oknie, schowana za firanką.

– Co ty gadasz? – poderwała się Wanda. – Co próbujesz mi wmówić?

– Niczego ci nie wmawiam. Powtarzam tylko, co powiedział mi stróż. – Mielska zdążyła już pożałować, że poruszyła tę sprawę. W dodatku w taki

sposób, no i... z Wandą. Nie zrobiłaby tego, gdyby nie ta niespodziewana wizyta, która kompletnie wytrąciła ją z równowagi.

– W jakim celu mi to mówisz? Jesteś zła, że ułożyłam sobie życie z kimś innym?! – krzyknęła Wanda. – Uważasz, że powinnam do końca nosić żałobę po Staszku, tak?

– Bzdury gadasz – odparła gniewnie Jadwiga, choć przecież w słowach dawnej koleżanki kryło się sporo prawdy. – Niepotrzebnie tu w ogóle przyszłaś.

– Chciałam się z tobą pożegnać. – Wanda zapinała już guziki palta. Ręce jej drżały, plątały się palce. – Tylko dlatego cię odwiedziłam. Przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń... i przez wzgląd na Stasia.

– Wyszła i więcej jej już nie zobaczyłam – kontynuowała głuchym i beznamiętnym tonem Mielska. – Doszły mnie jeszcze słuchy, że istotnie wyjechała i zerwała stosunki z bratem i bratową. Wtedy uznałam, że skoro inne zadośćuczynienie za śmierć Staszka było już niemożliwe, to przynajmniej taka kara ich spotkała. Napisała do mnie dopiero na trzy miesiące przed swoją śmiercią, wspominała w liście dawne lata, gdy byliśmy jeszcze młodymi dziewczynami i lubiliśmy razem spędzać czas. Ale ani słowem nie nawiązała ani do Staszka, ani do naszego ostatniego spotkania, do tamtej awantury.

To babsko ma wyjątkowo upiorne spojrzenie, wzdrygnęła się Weronika. Ta myśl sprawiła, że włosy niemal dosłownie podniosły jej się na głowie. Równocześnie zalała ją fala wściekłości. Jak ta stara wariatka śmiała opowiadać na głos o podejrzeniach, które były tak nieprawdopodobne, tak okrutne, że mogły urodzić się wyłącznie w chorej głowie? Mogła je wymyślić jedynie osoba, która całymi latami hodowała w sobie frustrację

i nienawiść do całego świata. A głównym celem jej życia było znalezienie ofiary, którą mogłaby zatruć swoim jadem. I co gorsza, takie ofiary znajdowała. Ba, same do niej przychodziły. Jak na przykład wiele lat temu Wanda. A teraz ja.

To ostatnie spostrzeżenie sprawiło, że Weronika poczuła złość do samej siebie. Po raz kolejny przyznała rację Oskarowi, który miał zastrzeżenia w kwestii nawiązywania kontaktu z tą starą wariatką. Szkoda, że w ogóle wspomniał o notesie z adresami, który przysłała mu Lucia Bellodi. I szkoda, że pasierbica ciotki przysłała ten notes. Po jaką cholere to właściwie zrobiła?

Ale przede wszystkim szkoda, że jestem taka bezmyślna i kretyńsko uparta, by wciąż drażnić sprawę, która od lat powinna być już pogrzebana... Tak samo jak Wanda i... jak Staszek. Choć właściwie była przecież pogrzebana i gdybyśmy jej nie wykopali...

Zacisnęła dłonie i złapała kilka szybkich oddechów. W przeciwnym razie rzuciłaby się z pięściami na stojącą obok kobietę. W tym momencie nie miała wątpliwości, że przed laty Wanda czuła dokładnie to samo, co teraz ona.

Nie popełni jednak błędu swojej ciotki. Już widziała, do czego zmierzała Mielska. W przypadku Wandy udało jej się dopiąć celu. Ale ona, Weronika, postąpi inaczej.

– Jest pani chora – rzekła. Szkoda, że głos jej znowu zadrżał, ale trudno. – Nawet jeśli Wanda faktycznie uwierzyła w te wszystkie bzdury, ja nie zamierzam iść w jej ślady. Nie skłóci mnie pani z moimi rodzicami – kontynuowała coraz bardziej wzburzona. W duchu modliła się, by się w tym nie pogubić, nie stracić wątku. – Nigdy nie zerwałabym z nimi kontaktu, a już na pewno nie z powodu nikczemnych kłamstw rozsiewanych przez starą, sfrustrowaną babę, która najwyraźniej nie mogła

darować mojemu ojcu, że przed laty puścił ją w trąbę. I która nie mogła wybaczyć dawnej koleżance, że ta ułożyła sobie szczęśliwie życie, w dodatku za granicą, w dostatku. Zżera panią zawiść z powodu własnego, nieudanego życia u boku człowieka, który najpewniej też miał pani dość. Założę się, że nawet pani córki i wnuczki z trudem z panią wytrzymują. I nie wykluczam, że także Staszek, ten ukochany brat stryjeczny, również w głębi serca marzył o tym, aby się pani od niego odczepiła. A może i o niego była pani zazdrosna?! – Wyrzuciwszy z siebie to wszystko, nie poczuła się jednak dużo lepiej. Pewną rekompensatą był tylko wyraz osłupienia i bólu na twarzy Mielskiej.

Rozdział 10

– No tak... – westchnęła cicho Rozalia. Nie odrywała wzroku od klombu przed oknem swojej kuchni. Weronika w pierwszej chwili odniosła wrażenie, że ciotka wcale jej nie słuchała. Jakby przez kilka ostatnich minut zupełnie się wyłączyła, pozwalając błędzić swoim myślom po jakichś odległych krainach. Z dała od tego, o czym opowiadała jej właśnie bratanica.

Weronika z trudem powstrzymała odruch zniecierpliwienia. Po raz kolejny w ostatnim czasie pozwoliła sobie na spostrzeżenie, że ciotka, przynajmniej pod niektórymi względami, niestety się postarzała. Nie znaczyło to wprawdzie, by nie radziła sobie z codziennymi obowiązkami, z prowadzeniem domu i gospodarowaniem na skądinąd sporej posesji. Jednak wyraźnie pod niektórymi względami... zwolniła. Zarówno w dosłownym, jak i w przenośnym tego słowa rozumieniu. Sprawy, które dawniej uważała za niesłychanie pilne i niecierpiące zwłoki, teraz mogły zaczekać. Nie dotyczyło to już tylko zmian w ogrodzie, na co Weronika zwróciła uwagę jakiś czas temu. Coraz częściej także wszelkich innych zagadnień. Gdy niedawno Weronika – pozornie żartobliwym tonem – wspomniała coś na ten temat, Ostrowska jedynie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się jakby od niechcenia.

– Nie mogę przecież bez końca gdzieś pędzić i stale szukać sobie jakiejś roboty, głównie zresztą po to, by zapełnić sobie czas od rana do nocy – rzekła. – Kiedyś w ten sposób uciekałam przed pustką i samotnością, teraz w ogóle się ich nie obawiam. Poza tym – rozłożyła ręce w geście żartobliwej bezradności – dostrzegam coraz większą przyjemność w rozmyślaniu o niczym. – A dostrzegłszy wyraz niepokoju na twarzy bratanicy, poklepała ją po dłoni. – Naprawdę nie musicie się o mnie martwić. To wszystko nie oznacza, że stałam się niedołązną, pogrążoną w demencji staruszką. Po prostu zaczęłam dostrzegać zalety... leniuchowania.

Weronika, chcąc nie chcąc, przyjęła do wiadomości tłumaczenie ciotki, niemniej gdy tylko przypomniała sobie Rozalię sprzed lat, jak choćby owego dnia, gdy po raz pierwszy odwiedziła ją w Komorowie – opaloną, pełną życia, energiczną, ubraną w dopasowane do zgrabnej sylwetki ogrodniczki – nie mogła zapanować nad uczuciem pewnego smutku i nostalgii. A zarazem zniecierpliwienia, gdy, jak choćby dziś, w trakcie rozmowy ciotka ni z tego, ni z owego odpływała myślami gdzieś daleko. A potem, jakby wybudzając się z zamyślenia, wtrącała jakieś nic nieznaczące słowo. Jak choćby w tej chwili: „No tak”.

– Wiem, że cię zanudzam – zachnęła się Weronika. – Pewnie masz już tego dość.

– Niby czego? – Ciotka patrzyła na nią uważnym wzrokiem. Zaskakująco bystrym jak na osobę, która jeszcze parę sekund temu błędziła myślami po jakichś sobie tylko wiadomych rejonach.

– Tego, że po raz kolejny mówię o Wandzie, o tamtych sprawach – odparła z westchnieniem goryczy Weronika. – Wiem, że nie lubisz o tym mówić, a nawet słuchać. A teraz w dodatku zanudzałam cię gadaniem o tej całej Mielskiej...

– Nie zanudzałaś mnie – odezwała się Ostrowska po dłuższej chwili milczenia. Na tyle dłużej, że Weronika zwątpiła, czy ciotka zdobędzie się na jakikolwiek komentarz. – Nie zanudzałaś mnie, tylko zmartwiłaś.

– Zmartwiłam cię?

Co to miało znaczyć? Czyżby ciotka była gotowa uwierzyć tej wariatce Mielskiej? Weronika poczuła, że ponownie ogarnia ją niepokój.

– Tak, zmartwiłaś mnie. – Starsza pani skinęła głową. – Widzę, jak się tym wszystkim przejęłaś. Jak nie daje ci to spokoju, szarpiesz się z tym od lat. Nie ma sensu już tego ciągnąć. Czas z tym skończyć.

W gruncie rzeczy i ja tego pragnę, zdenerwowała się Weronika, skończyć z tym raz na zawsze. Schować te trupy z powrotem do szafy. Albo gdziekolwiek, gdzie jest ich miejsce, ale... Ale...

– Nie potrafię – przyznała z rezygnacją w głosie. – To, co powiedziała Mielska...

Na samą myśl o tamtej kobiecie ponownie porwała ją złość. W dodatku złość zupełnie bezsilna, bo Weronika nic nie mogła poradzić na to, że tamtej udało się jednak zapuścić swój jad.

– Nie chodzi tylko o nią – odparła spokojnie Rozalia. – Ale także o wszystko inne.

– Wiem, że wszystko sprowadza się do Wandy – przyznała Weronika, a gdy napotkała wreszcie spojrzenie Rozalii, serce jej mocniej zabiło. Przez moment miała wrażenie, jakby czas się jednak cofnął, przynajmniej o kilkanaście lat. Przynajmniej do tego dnia, gdy przyjechała tu po raz pierwszy. W każdym razie Rozalia jakby odmłodziła. Jej spojrzenie było takie jak wtedy: uważne, bystre, przenikliwe. Tak jak jej uwagi – trafne i na miejscu.

– Nie chodzi tylko o Wandę. – Jej ton był chłodny, zarazem jednak bardzo przyjazny. – Także o wszystkich pozostałych. O całą rodzinę.

O twoich rodziców, brata. – Na moment umilkła, po czym dodała: – O ciebie.

– Jak to?! – W tej jednej chwili Weronika odniosła dokładnie to samo wrażenie, co podczas rozmowy z Mielską. Jakby wszystkie włosy uniosły się jej na głowie, jakby zabrakło jej tchu. – Dajesz mi do zrozumienia, że Mielska mówiła jednak prawdę? Że mój ojciec miał coś wspólnego ze śmiercią Mikołajskiego? – Zakręciło jej się w głowie. – I matka... także? Tak ci powiedziała Wanda, prawda? Uwierzyła tej babie, a ty z kolei uwierzyłaś Wandzie?

Poderwała się na równe nogi i zacisnęła dłonie, dokładnie tak, jak to miało miejsce podczas rozmowy z Jadwigą Mielską. Tym razem jednak nie po to, by powstrzymać się przed rzuceniem się z pięściami na ciotkę Rozalię, lecz by zapanować nad wewnętrznym rozedrganiem i nie stracić sił.

Ostrowska nie przelekła się jej reakcji, zachowała spokój i zimną krew.

– Opanuj się – mówiła teraz cicho, ale Weronika miała wrażenie, jakby każde jej słowo uderzało w nią z siłą pocisku. – Właśnie dlatego nie chciałam ci wcześniej o niczym mówić. Domyślałam się, że tak zareagujesz, i... nie pomyliłam się.

– O czym ty mówisz?! – wyrzuciła z siebie ochryple Weronika. – Więc jednak mój ojciec to zrobił, tak?! Przyczynił się do śmierci tamtego. A matka? Jaki ona miała w tym udział? O Boże! – Spostrzeżenie dotyczące matki pozbawiło ją jednak sił. Opadła z powrotem na krzesło i zakryła dłońmi twarz. – Ale dlaczego... Dlaczego? To bez sensu... Przecież tamten chłopak został oskarżony o współpracę z Niemcami! Co z tym wszystkim mieli wspólnego moi rodzice? – Nowa, nagła myśl sprawiła, że znowu wlepiła w ciotkę rozgorączkowany wzrok. – A może jednak ojciec go zabił? Albo wrobił go w coś, o co tamten został potem oskarżony...?

– Głuptas jesteś, nie myślisz logicznie. – Głos ciotki zabrzmiał teraz szorstko, ale jej ton i słowa wreszcie otrzeźwiły Weronikę. – Naprawdę myślisz, że Janek skrzywdziłby narzeczonego swojej siostry? Że uczyniłby jej dziecko sierotą? Dla Wandy zrobiłby wszystko.

Weronika oddychała już spokojniej. To, co usłyszała, miało sens, nie zniwelowało jednak wszystkich wątpliwości.

– Ale Mielska powiedziała... – podjęła po chwili, choć przecież niedawno wykrzyczała tamtej, a przed chwilą dała do zrozumienia Rozalii, że nie wierzy w żadne oskarżenia pod adresem rodziców.

– Powiedziała tylko tyle, że stróż i jakaś staruszka rozpoznali Janka jako tego, kto odwiedził Staszka na krótko przed jego śmiercią – przypomniała spokojnie Rozalia. Tonem sędzi przywracającej spokój w sali rozpraw. – To wszystko. Zdecydowanie za mało, by go o cokolwiek obwiniać. Wanda też to w końcu zrozumiała.

– Mielska powiedziała jeszcze coś – nie wytrzymała Weronika. Do tej pory starała się o tym nie myśleć, wrzucić to gdzieś na dno świadomości, względnie złożyć na karb zajadłości dawnej narzeczonej ojca. Bezskutecznie. Tamte słowa wciąż wracały i nabierały coraz groźniejszego znaczenia. – Powiedziała, że moja matka podobno także wcześniej tam bywała.

Nie miała pojęcia, jak zinterpretować te rewelacje. Nie miała pojęcia, w jakim celu matka miałaby przychodzić do mieszkania tamtego człowieka. Nie miała pojęcia, czy to w ogóle prawda. Może ten stróż i wścibska, podglądająca wszystkich z okna staruszka zwyczajnie się pomylili. Może Mielska po prostu to wszystko zmyśliła. Nie wiedziała już, w co wierzyć, a w co nie.

I pewnie dlatego dygotała teraz ze strachu. Tym bardziej że w spojrzeniu Rozalii dostrzegła teraz coś nowego, jakby ostrzeżenie.

– Chyba chciała mi dać do zrozumienia, że ojciec mógł być zazdrosny o moją matkę. Wyobrażasz to sobie?

Samo takie podejrzenie było niewiarygodne. Idiotyczne. I to do tego stopnia, że pomimo zdenerwowania omal nie wybuchnęła szalonym śmiechem. Lecz w tym samym momencie przypomniała sobie, że – wedle relacji Mielskiej – Wanda bynajmniej się nie śmiała, gdy o tym usłyszała. Bo choć nie chciała uwierzyć w te rewelacje, nie przeszła nad nimi do porządku dziennego. Wręcz przeciwnie – była wściekła. Zdruzgotana. Roztrzęsiona.

A wkrótce potem opuściła kraj, zrywając wszelkie stosunki z bratem i bratową. Przez lata w miarę regularnie korespondowała jedynie z kuzynką. Przed śmiercią zdobyła się jednak na to, by napisać także do Mielskiej. Jej pasierbica utrzymywała, że macocha zamierzała w końcu odezwać się także do brata i do dwojga bratanków. Jeśli tak, to co, do cholery, stało się z tymi listami?

– Poczekaj chwilę – usłyszała i potrzebowała dłuższej chwili, by uzmysłwić sobie, że był to głos Rozalii.

Ostrowska zniknęła w głębi domu, a gdy pojawiła się z powrotem w kuchni, trzymała w dłoniach niewielki notes. Na ten widok Weronika bezwiednie wyprostowała się jak struna. Odgadła, co przyniosła ciotka.

– To jest... – zaczęła i umilkła.

Rozalia skinęła głową i uśmiechnęła się zdawkowo.

– Zgadza się. To zapiski Wandy. Przysłała mi je wraz ze swoim ostatnim listem. Napisała, że to na pamiątkę po niej. I że powinno znaleźć się u kogoś w rodzinie, w Polsce. – Mrugnęła do Weroniki. – Nie udawaj, że nie wiedziałas o istnieniu tego pamiętnika. Zdałam sobie z tego sprawę, gdy tak dopytywałas się o albumy ze strychu. Chłopcy odkryli go dobrych kilka lat temu.

– I przez tych dobrych kilka lat zachowali to w tajemnicy przede mną – odparła Weronika. Serce podchodziło jej do gardła.

Ostrowska spoważniała.

– Weź go sobie – rzekła. – Tak będzie lepiej. Prędzej czy później także i ja zabiorę się z tego padołu, a niedobrze by było, aby te zapiski przypadkowo dostały się w obce ręce. Wanda chciała, aby zostały w rodzinie. – Przez chwilę w zamyśleniu głaskała okładki. – Skoro wiesz już tak dużo o tamtych sprawach, nie zaszkodzi, gdy przeczytasz całą resztę. – Westchnęła jak człowiek, który przeanalizował swoje wątpliwości i wreszcie podjął decyzję. – Nie warto, abyś dłużej się tak szarpała i gubiła w domysłach.

Rozdział 11

1944

Spostrzegłam ją kilka przecznic od kamienicy, w której mieszkał Staszek. W normalnych okolicznościach pewnie by mnie to zastanowiło. Jednak w tamtej chwili nie byłam zdolna do jakichkolwiek podejrzeń. Przepęłniało mnie szczęście, przewyższające nawet tamtą radość sprzed roku, gdy na stacji kolejowej niepodziewanie natknęłam się na Staszka. Skłamałabym jednak, gdybym zaprzeczała, że miałam małego pietra. Przez całą drogę do domu obmyślałam, jak oznajmię rodzicom, a potem bratu moją WIELKĄ NOWINĘ. I jak oni to przyjmą. Wierzyłam, że wszystko skończy się dobrze, ale na samą myśl, że za chwilę stanę przed obliczem ojca i matki, czułam dreszczyk na całym ciele. I dlatego tak się ucieszyłam, gdy niespodziewanie spostrzegłam Izę. Choć przecież miałam prawo okazać zaskoczenie, a nawet zaniepokojenie. Moja bratowa powinna być teraz w Bożanowie, przy swojej małej córeczce. Na pewno nie tutaj, w centrum Warszawy. Ale – jak już wspomniałam – nie zamierzałam łamać tym sobie głowy. Grunt, że miałam z kim pogadać, zwierzyć się, wyrzucić z siebie te wszystkie emocje, które niosły mnie jak na skrzydłach. Że mogłam zyskać na czasie, zanim powiem o wszystkim rodzicom. Gdyby jeszcze godzinę wcześniej ktoś mi przepowiedział, że to właśnie Iza będzie drugą, po Staszku, osobą, której

wyznam mój słodki sekret, popukałabym się w głowę. Lecz gdy ją zobaczyłam, cała niechęć, jaką do niej wcześniej czułam, wyparowała bez śladu. Ona w każdym razie sprawiała wrażenie zaskoczonej moim widokiem, lecz, w przeciwieństwie do mnie, nie okazywała najmniejszych oznak zadowolenia z powodu naszego niespodziewanego spotkania. Nawet się temu specjalnie nie dziwiłam, nie byliśmy przyjaciółkami i nasze stosunki – w dużej mierze z mojej winy – były nacechowane chłodem; kiedy to tylko było możliwe, trzymałyśmy się z daleka od siebie. Wprawdzie, jak już wspominałam, po przyjeździe na świat Weroniki próbowałam zmienić ten stan rzeczy, ale bratowa nie kwapiła się, by wyjść mi naprzeciw. Jednak w tamtej chwili, gdy stałam przed nią na ulicy, byłam jak najlepszej myśli. Teraz nasze wzajemne stosunki na pewno ulegną zmianie, uznałam. Choćby dlatego, że za kilka miesięcy przybędzie kolejne dziecko w rodzinie. Moje dziecko. I zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby dziecko mojego brata było blisko związane z moim. Dzieci zakopią wojenny topór między mną a Izą i przy okazji położą kres innym niesnaskom w rodzinie. Nie przyjmowałam do wiadomości, by miało się stać inaczej.

Przyjrzałam się uważnie bratowej. Już jakiś czas temu rzuciło mi się w oczy, że wyraźnie wyładniała. Oczywiście znaleźliby się tacy, którzy dowodziliby, że kobieta pięknieje po urodzeniu dziecka, ale ja przecież już swoje wiedziałam. Dziecko z pewnością oznacza radość i szczęście, ale także i nieprzespane noce, nie mówiąc już o dniach wypełnionych ustawicznym doglądaniem malucha. To zmęczenie zresztą było także widoczne na twarzy Izy, jednocześnie jednak jej oczy błyszczały takim blaskiem, jakiego nie zauważyłam w nich nigdy wcześniej. Jakby cała była rozświetlona od wewnątrz. Przywitawszy się z nią, zapytałam oczywiście o powód jej przyjazdu do Warszawy. Z góry zakładałam, że raczej nie planowała składać wizyty moim rodzicom; do tej pory rzadko to robiła,

zawsze w towarzystwie Janka, zresztą od narodzin Weroniki ani razu się już u nas nie pojawiła. Odpowiedziała, że przyjechała do krawcowej, co także mnie zaskoczyło. Podróżowała ponad trzydzieści kilometrów zatłoczonym pociągami do Warszawy, narażała się na niewygodę, a niewykluczone, że i na niebezpieczeństwo, jedynie po to, by odwiedzić krawcową? Niebywałe! Od razu wyczułam, że jest w tym jakieś drugie dno, ale postanowiłam nie drążyć. Ostatecznie to nie moja sprawa. Ja także zabroniłam jej kiedyś wtrącać się w moje życie.

– Janek o tym nie wie – zająknęła się i zaczerwieniła. – To znaczy nie wie, że przyjechałam do Warszawy. Jest teraz u twoich rodziców, ale proszę cię, nie mów, że mnie tu spotkałaś. – Widziałam, że denerwowała się coraz bardziej, a na jej czole pojawiły się kropelki potu. – Chcę mu zrobić niespodziankę tą nową sukienką... – dokończyła nieporadnie.

Zabrzmiało to tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Mimo woli pozwoliłam sobie na smutną refleksję, że mój brat nie zwróciłby uwagi na jej nową sukienkę, nawet gdyby była uszyta z pereł. W ogóle nie zauważał podobnych rzeczy, zawsze taki był. Iza musiała o tym wiedzieć, zresztą w tej kwestii była bardzo do niego podobna. Nigdy nie obchodziły jej stroje, kiedyś wspomniała, że od dzieciństwa była zmuszona do oszczędzania i tak jej już zostało. Dlatego teraz jej wyjaśnienie wydało mi się jeszcze dziwniejsze i bardziej podejrzane, a także bardzo smutne. Pomijając kompletną ignorancję i brak zainteresowania ze strony mojego brata w kwestii strojów i fryzur, było mu także zupełnie obojętne, jak ubierała się i czesała jego żona. Nawet gdyby wystąpiła w szatach anielskich i aureoli na głowie, nie zwróciłby na nią najmniejszej uwagi. Każdy, kto w ostatnim czasie obserwował ich małżeństwo, nie miał co do tego wątpliwości. Iza z pewnością także. O co zatem w tym wszystkim chodziło?

Jednak i tym razem postanowiłam nie wnikać. Chciałam wykrzyknąć światu, jaka jestem szczęśliwa, a nie wypytywać bliźnich o ich problemy. Tym bardziej że Iza najwyraźniej także chciała zmienić temat.

– Jasne, rozumiem. – Mrugnęłam do niej porozumiewawczo, czego nigdy wcześniej nie robiłam. Nic dziwnego, że popatrzyła na mnie zdumiona, a po chwili w jej oczach pojawił się czujny wyraz.

– Co się stało? – spytała. – Jesteś taka... rozradowana.

Roześmiałam się i choć trochę się opierała, posadziłam ją na najbliższej ławce.

– Spójrz. – Podsunęłam jej pod nos moją dłoń.

– Ale... co? – W pierwszym momencie nie rozumiała i niepewnie rozejrzała się na boki.

– Jak to co? – zachichotałam. – Nie widzisz pierścionka? Godzinę temu się zaręczyłam. Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię. – I ponownie się zaśmiałam, bo cała ta sytuacja wydała mi się niemal absurdalna. A konkretnie fakt, że to moja bratowa jako pierwsza usłyszała tę wiadomość. Właśnie ona!

Iza patrzyła na mnie tak, jakby znaczenie moich słów zupełnie do niej nie dotarło. Jakby niczego nie rozumiała. A potem – nagle – zbladła. Twarz jej się jakby skurczyła i pewnie dlatego oczy – tak ostatnio piękne i pełne blasku – sprawiały wrażenie jeszcze większych, wyrazistszych i bardziej rozświetlonych.

Domyślałam się, co jej chodziło po głowie. A przynajmniej w tamtej chwili byłam pewna moich domysłów.

– Wiem, że za nim nie przepadasz – rzekłam i nieśmiało dotknęłam jej ręki. W pierwszym odruchu chciała ją chyba cofnąć, ale zaniechała tego gestu, choć wyraźnie wyczuwałam jej drzenie. – Nie lubisz go, podobnie jak moi rodzice i Janek, ale przekonacie się, że nie mieliście co do niego racji –

kontynuowałam. – A poza tym teraz nie macie już wyboru. Klamka zapadła. – Próbowałam się roześmiać, ale wyraz oczywistego wzburzenia i strapienia na twarzy bratowej odebrał mi ochotę do żartów. Poczułam się nieswojo. A przecież było to zaledwie preludium do starcia z matką i ojcem.

Od początku zdawałam sobie sprawę, że nie będzie łatwo, ale teraz, gdy patrzyłam na Izę, moje obawy jeszcze bardziej wzrosły. Nie na tyle jednak, by przyćmić radość.

– Wiem też, że w przeszłości nie byłam dla ciebie miła – podjęłam po chwili. Znacznie ciszej i spokojniej niż poprzednio, niemal z pokorą w głosie. – Wiem, że kiedyś cię zraniłam. Przepraszam. Przyjmiesz moje przeprosiny? – Nie odpowiadała, więc pogłaskałam jej dłoń, choć zaraz uwolniła ją z mojego uścisku. – Nie pogratulujesz mi? – Z niezadowoleniem usłyszałam błaganie we własnym głosie.

– Pierścionek – wyszeptała.

Wzrok miała utkwiony w mojej dłoni. Odruchowo podążyłam za jej spojrzeniem. Na serdecznym palcu migotał skromny, srebrny klejnocik, przypominający kształtem obrączkę. Próbowałam sobie wmówić, że Izę po prostu zaskoczył ten widok. Na ogół nie tak wyglądały zaręczynowe pierścionki.

– Należał do babci Staszka. Przywiozła go ze sobą jeszcze z Rosji, skąd uciekła po wybuchu rewolucji. To pamiątka rodzinna. – Powoli odzyskiwałam pewność siebie. – Uważam, że jest bardzo piękny – dodałam z pewnym wyzwaniem w głosie.

– A więc... postanowione? – spytała i nieznacznie wzruszyła ramionami. – Twój rodzice i brat nie będą zachwyceni.

Wiem, chciałam wrzasnąć jej prosto w twarz. Ale się powstrzymałam. Miała prawo do takiej reakcji, nie musiała mi od razu zaufać. Zbyt założyłam jej przecież za skórę, aby tak od razu miała wziąć moje wyznania i ciepłe

gesty za dobrą monetę. A poza tym nie powiedziałam jej jeszcze wszystkiego. Gwóźdź programu zostawiłam na deser.

– Będą musieli się z tym pogodzić. – Miałam nadzieję, że mój uśmiech wyglądał teraz tajemniczo, ale do dziś nie jestem pewna, czy mi się to udało. – Spodziewam się dziecka.

Patrzyła na mnie tak, jakby mnie wcale nie widziała. Jakbym była przezroczysta. A potem się podniosła.

– Muszę się pospieszyć – rzekła zupełnie bezbarwnym, wypranym z wszelkich emocji głosem. – Może jeszcze zdążę na wcześniejszy pociąg do domu. Mała została pod opieką kucharki i gosposi.

Również się podniosłam. Tym razem już nie próbowałam uścisnąć jej dłoni.

– A więc nawet mi nie pogratulujesz? – spytałam z rezygnacją.

Wtedy wykrzywiła twarz w grymasie, który zapewne miał być uśmiechem. Dziś rozumiem, ile wysiłku musiało ją to kosztować.

– Gratuluję – rzekła. – Życzę ci dużo szczęścia.

Natychmiast przyszło mi wtedy do głowy, że takim tonem składa się wyłącznie kondolencje.

Rozdział 12

Deszcz zacinał z taką mocą, jakby chciał zamienić wszystkie ulice, place i trawniki w bajoro. Piętrzące się aż po horyzont chmury całkowicie zasłoniły niebo. Jakby tego było mało, dokuczał dość silny wiatr, co w połączeniu z przejmującą wilgocią powodowało trudne do wytrzymania uczucie chłodu. Zwłaszcza że jeszcze kilka dni temu panowała piękna, słoneczna pogoda.

Druga połowa października, wbrew wcześniejszym prognozom, sprowadziła typową jesienną szarugę.

– Nic, tylko sięść i płakać – zamruczała pod nosem Weronika, przeskakując kolejną kałużę. Nie była tego dnia w najlepszym nastroju – uczniowie bardziej niż kiedykolwiek zależli jej dziś za skórę, nie uważali na lekcjach, a jej perswazje nie robiły na nich najmniejszego wrażenia. Do tego miała przed sobą nieciekawą perspektywę spędzenia całego popołudnia i wieczoru na sprawdzaniu prac klasowych; wiedziała, że musi się jakoś zmobilizować do tego niewdzięcznego zadania, obowiązywały ją tu terminy i konieczność systematycznego oceniania. A podła pogoda dodatkowo pogłębiała jej marny nastrój.

Przebiegając przez ulicę, która przypominała rwący potok, usłyszała w pewnym momencie wściekły odgłos klaksonu, a po chwili tuż przy niej z piskiem opon zatrzymał się zachlapany błotem samochód. Zanim zdołała

umknąć, zdążyły ją jeszcze dobiec niewybredne epitety rozwścieczonego kierowcy.

Chyba oszaleję, pomstowała w duchu, czasami najchętniej rzuciłabym to wszystko w diabły!

W tym samym momencie dotarło do niej, że podobna, a nawet taka sama myśl, nawiedziła ją przed laty. Aby rzucić to wszystko w cholere, w diabły. To było wtedy, gdy uznała, że już nie da rady dłużej użerać się z codziennością w ciasnym, zagraconym mieszkaniu na Saskiej Kępie. U boku męża naukowca, z dwójką rozwrzeszczanych dzieci na głowie. Jak pomyślała, tak w końcu zrobiła. Schroniła się pod skrzydła mamy i taty.

Wspomnienie to dodatkowo ją zdołowało, i to do tego stopnia, że dopiero jeden z przechodniów zwrócił jej uwagę, że ktoś ją woła. Dopiero wtedy spostrzegła Jarka, który stał przed wejściem do pobliskiej apteki i machał do niej obiema rękami.

Cóż za niezwykły zbieg okoliczności, zwłaszcza że wyglądam jak zmokła kura, pomyślała z przekąsem i niemal w tej samej chwili uświadomiła sobie, że cieszy się jak nastolatka. Dokładnie tak jak Wanda, która w równie deszczowy dzień, wiosną czterdziestego trzeciego roku, niepodziewanie natknęła się na Staszka Mikołajskiego.

Podobieństwo obu zdarzeń sprawiło, że Weronika zadrzała. Tym razem bynajmniej nie z powodu panującego chłodu.

– Co za gówniana pogoda. Wracasz z pracy, prawda? – zagadał Jarek, podchodząc do niej szybkim krokiem. Osłaniał głowę kapturem, ale również był przemoczony do suchej nitki. Tak jak Weronika.

A więc oboje wyglądamy jak zmokłe kury, przemknęło jej przez myśl i natychmiast poczuła, że robi jej się gorąco. Jakby wokół panowała słoneczna, letnia aura. Jakby czas się cofnął o dwadzieścia lat. Gdyby to tylko było możliwe...

– Co tu robisz? – spytała, zupełnie już obojętna na zacinający deszcz i dokuczliwy wiatr.

– Złapałem jakieś przeziębienie, psia mać – odparł wesoło, jakby opowiadał jakiś dowcip. – A nie mam teraz czasu wystawać w kolejkach do lekarza. Kupiłem sobie całą baterię syropów i pastylek. – Rozchylił kurtkę, pokazując wewnętrzną kieszeń wypełnioną medykamentami.

– Jesteś chory i stoisz na deszczu? Chyba oszalałeś! – krzyknęła i nagle się roześmiała. Przy czym sama nie potrafiła odpowiedzieć czemu. Gest Jarka, sposób, w jaki uchylił poły kurtki, przypomniały jej, że właśnie w taki sposób wnosił alkohol na imprezy w akademiku. A potem, gdy już mieszkali razem, tak najczęściej przynosił zakupy ze sklepu spożywczego. Zawsze zapominał o torbie. Jak widać, nie zmienił się pod tym względem.

Nie tylko zresztą pod tym.

– Przyjechałem samochodem – odparł, jakby chciał się usprawiedliwić z wytkniętej mu przed chwilą niefrasobliwości. – Podwiozę cię do domu.

Najpierw chciała odmówić, ale sekundę później zmieniła zdanie. Skinęła przyzwalająco głową.

Jarek ujął ją pod łokieć i pobiegli do stojącej za rogiem lady. Bezpieczni w ciepłym i suchym wnętrzu samochodu zapatrzyli się na przesuwające się po szybie wycieraczki, które Jarek uruchomił, zanim zdecydował się ruszyć z miejsca.

– Śpieszysz się? – spytał nagle, a Weronika na moment wstrzymała oddech.

– Nie bardzo – odparła zmienionym głosem.

– To może byśmy pogadali? – Zerknął na nią przelotnie, po czym ponownie skupił uwagę na wycieraczkach.

Bez trudu odgadła, że w napięciu czekał na jej odpowiedź, ale nagłe wzruszenie nie pozwoliło jej wydobyć głosu z krtani. Gdy wreszcie jej się

to udało, najpierw – trochę na przekór temu wzruszeniu – roześmiała się.

– Tutaj będziemy rozmawiać? – I dopiero, gdy to powiedziała, ugryzła się w język. Jak zwykle za późno.

Podchwycił jej ton.

– Tutaj? No co ty! Zaprosiłbym cię na kawę, a nawet na obiad do jakiejś knajpki, ale oboje tak teraz wyglądamy, że z każdej by nas na zbity pysk wyrzucili. – Podrapał się zabawnie po głowie, w wyniku czego jego fryzura przypominała teraz wierzbę płaczącą.

Weronika ponownie się roześmiała. Robię z siebie idiotkę, pomyślała. Zachowuję się jak typowa dzidzia piernik. Takie właśnie określenie podchwyciła dzisiaj w szkole, gdy przechodząc korytarzem obok grupki uczniów, usłyszała, jak komentowali wygląd i zachowanie jednej z nauczycielek. Powinna się była wtedy oburzyć i przywołać ich do porządku, ale machnęła ręką. Może dlatego, że w duchu przyznała im trochę racji. Gdyby teraz to ją z kolei widzieli, a zwłaszcza słyszeli jej szczebiot, z pewnością użyliby tych samych słów.

– A może pojedziemy do mnie? – usłyszała w tym samym momencie i śmiech zamarł jej na ustach.

Mimochodem zerknęła na byłego męża, ale wciąż patrzył przed siebie. Mimo to nie mogła oprzeć się wrażeniu, że cały czas ją obserwował. I doskonale odgadywał, co się z nią działo.

– Do mnie... jest bliżej – odparła, zastanawiając się, czy i tym razem nie zabrzmiało to zbyt szczebiotliwie.

– Wiem – rzekł cicho. Tym razem nie żartował. – Ale od lat nie byłaś już w moim mieszkaniu. W naszym mieszkaniu – poprawił. – Pomyślałem więc...

– Dobrze. Jedźmy do ciebie.

Jakimś cudem teraz udało jej się jednak odpowiedzieć spokojnym, niemal rzeczowym tonem. Tak... przyjaźnie. Bez żadnych dwuznacznych kontekstów.

– Obiecuję, że potem cię odwiozę – usłyszała jeszcze, po czym ruszyli z miejsca.

Ze ściśniętym sercem szła po schodach, rozglądając się po klatce. Nie była pewna, czy zdoła opanować wzruszenie, gdy będzie przekraczać próg swojego dawnego mieszkania. Znowu zupełnie mimowolnie pomyślała o Wandzie. O tym, co napisała na temat przebiegu swojej wizyty u Staszka. O strózu, który, uśmiechając się pod nosem, wygłaszał swoje komentarze. W bloku na Saskiej Kępie Weronika nie zobaczyła żadnego stróża z miotłą, za to z lokalu naprzeciwko wychyliła się staruszka, w której rozpoznała swoją dawną sąsiadkę. Starsza pani zawsze wiedziała, co się dzieje u lokatorów w całym bloku, ale oczywiście najwięcej wiadomości miała na temat najbliższych sąsiadów. Weronika zdążyła już zapomnieć o jej istnieniu, a tymczasem mogła się przekonać, że staruszka wciąż żyje i wcale aż tak bardzo się nie zmieniła. W każdym razie nie zmieniła swoich zwyczajów.

Ponownie przyszła jej na myśl stara pani Bujanowska z pamiętnika Wandy, sąsiadka Staszka, która wypatrzyła tam także oboje Reczyńskich, i skinęła głową kobiecie, która wciąż mieszkała na tym samym piętrze, co Jarek. Staruszka najwyraźniej też ją rozpoznała, bo odwzajemniła pozdrowienie, szybko jednak wycofała się w głąb swojego lokum.

Widać pewne zwyczaje i celebrujący je ludzie są obecni w każdej epoce, niezależnie od wojny czy pokoju. Swoją drogą, Bogu niech będą dzięki za takie staruszki. Bez nich świat byłby bardzo nudnym i bezosobowym miejscem. Podzieliła się tą myślą z Jarkiem, a on jedynie pokiwał głową.

– Pani Kwiatkowska wie o mnie chyba wszystko. Co ja bym bez niej zrobił? Wszyscy sąsiedzi zgodnie twierdzą, że ta kobiecina jest postrachem każdego potencjalnego złodzieja. Tym bardziej że w gruncie rzeczy niczego i nikogo się nie boi. W tej kruchej postaci tłucze się prawdziwie waleczne serce – zażartował.

Zapytał potem, czy chciałaby włożyć jeden z jego swetrów i wysuszyć ubranie, ale odmówiła. Przemoczona była tylko jej kurtka, zaś bluzka i spódnica okazały się zaledwie wilgotne, w każdym razie do wytrzymania. A poza tym wolała podczas tej wizyty mimo wszystko trzymać się pewnych granic.

– W takim razie rozgość się, a ja odgrzeję obiad – zarządził pogodnie Jarek, a napotkawszy jej spłoszone spojrzenie, roześmiał się: – Bez obaw, da się zjeść. Umiem gotować.

Wiem. Przecież pamiętam, odpowiedziała mu tylko w myślach i była wdzięczna, że zaszył się w kuchni, pozwalając, by sama uporała się z kolejną falą wzruszenia, która ją zaatakowała, gdy tylko znalazła się wewnątrz domu.

Czym prędzej postanowiła wziąć się w garść. Nie, nie będzie się rozklejać jak ostatnia idiotka. Człowiek jest kowalem swojego losu i powinien z godnością ponosić konsekwencje własnych decyzji. Tyle, jeśli chodzi o teorię. Bo praktyka, jak zwykle, nie chciała podporządkować się tym prawidłom.

Gdy Jarek pojawił się w drzwiach pokoju z dymiącymi talerzami w dłoniach, zastał ją zalaną łzami.

– Nic się nie stało, nie przejmuj się, nie zwracaj na mnie uwagi – łkała, gdy tulił ją w ramionach. Uwolniła się z nich zresztą delikatnie i sięgnęła po chusteczkę. – Przepraszam – wymamrotała.

– Wszystko w porządku? – spytał, spostrzegłszy, że stopniowo się uspokajała.

Skinęła głową i zniecierpliwionym ruchem otarła jeszcze jedną, pojedynczą już łzę. Zmusiła się nawet do uśmiechu.

– Powinna była przewidzieć, że tak zareaguję, gdy tylko się tu znajdę – westchnęła.

Zresztą... Czy właśnie tego nie przewidywała?

Jarek uczynił taki ruch, jakby ponownie chciał przygarnąć ją do siebie, ale napotkawszy jej spojrzenie, ograniczył się do przyjacielskiego poklepania po dłoni.

– No to jak będzie z naszym obiadem? – Wskazał na talerze, które przezornie zdążył postawić na stole.

– Pewnie go zjemy – odparła, siląc się na niezobowiązujący, a nawet żartobliwy ton. Przejechała dłonią po wilgotnej jeszcze twarzy, poprawiła włosy. Wyobrażała sobie, że w tym momencie wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy. Przedtem prezentowała się jak zmokła kura. Teraz – jak zabeczana mokra kura. A nawet gorzej. Mokre kury nie mają czerwonych i świecących się jak latarnia nosów.

– Powiesz mi przynajmniej, do czego były ci potrzebne moje korepetycje z historii? – zagadnął wesoło Jarek, gdy pałaszowali już rzeczywiście doskonale przyrządzone żeberka z bigosem. – No wiesz, wtedy gdy pytałaś mnie o egzekwowanie wyroków na oskarżonych o zdradę w czasie okupacji – doprecyzował, spostrzegłszy, że niemal dosłownie wbiła w niego wzrok.

Ostrożnie odłożyła sztućce i odsunęła talerz.

– Co się stało? – spytał zaskoczony. – Nie smakuje ci.

– Tak – szepnęła.

– Zbyt słone? – zafrasował się. – Ja wprawdzie lubię dobrze przyprawione, na ostro, ale może ty...

Potrząsnęła głową, dając do zrozumienia, że jej odpowiedź nie dotyczyła jedzenia, lecz wcześniejszego pytania.

– Opowiem ci, dlaczego szukałam wtedy tych informacji. Opowiem ci o wszystkim.

Oznajmiła to spokojnym, pewnym tonem. Przekonana, że tak właśnie powinna postąpić. Przed laty, przed wiekami, w innym życiu, to właśnie jemu zwierzała się z ciężarów, jakie czasem przygniatały jej serce. Nikt tak uważnie jej nie słuchał, jak właśnie on. Jak mogła o tym choć na chwilę zapomnieć? Dzięki Bogu, że wreszcie sobie przypomniała. Że wreszcie podjęła właściwą decyzję.

Zacząła mówić. Początkowo bezwładnie formułowane zdania zaczęły dość szybko układać się w logiczną i spójną całość.

„Przegadaliśmy kilka godzin” – Weronika przypomniała sobie, że takimi mniej więcej słowami Wanda opisała swoje pierwsze po długiej przerwie spotkanie ze Staszkiem.

Teraz, gdy siedziała blisko Jarka, wpatrzona w zapadający za oknem mrok, ponownie pomyślała o ciotce. W tym momencie widziała ją bardzo wyraźnie, a fakt, że przypatrywała jej się jedynie oczami wyobraźni, niczego tu nie zmieniał. Widziała ją – zakochaną, siedzącą u boku młodego mężczyzny, którego wreszcie, po tylu miesiącach, ponownie spotkała na swojej drodze. Patrzyła, jak tamci dwoje tańczą do rytmu jakiejś, zapewne sentymentalnej, melodii wydobywającej się z gramofonu. W tym momencie ciotka Wanda Reczyńska, której niestety w gruncie rzeczy prawie nie pamiętała, była jej tak bliska, jak najbliższa przyjaciółka, z którą przeprowadziło się w życiu tysiące rozmów, ale z którą równie dobrze

można było spędzić wiele godzin w milczeniu, całkowitej harmonii i zrozumieniu.

Tak wiele mam z nią wspólnego, myślała po raz kolejny, czując napływające do oczu łzy, i niemal żadnych wspomnień. Choć przecież tyle ciepłych słów napisała na mój temat, kochała mnie, gdy byłam małym dzieckiem, a ja przez tyle lat w ogóle się nią nie zainteresowałam. I gdyby nie Oskar, być może nigdy nie zaczęłabym o nią pytać. A wszystko dlatego, że moi rodzice...

Na samo wspomnienie matki i ojca zadrżała i zacisnęła zęby, aby nie zacząć krzyczeć. Bo to oni sprawili, że Wanda jakby przestała istnieć. Pogrzebali ją, jeszcze zanim umarła. Z jej pamiętnika jasno wynikało, że pod koniec życia postanowiła pojednać się przynajmniej ze swoim bratem. Co stało się z tymi listami, które zamierzała napisać do niego i do jego dzieci? Czy naprawdę – jak kiedyś twierdził ojciec – nigdy nie dotarły do Jaktorowa?

– To bardzo możliwe – uznał Jarek. – I niewykluczone, że jednak wcale ich nie napisała. Skończyło się na zamiarach. Była przecież ciężko chora, może zwyczajnie nie dała rady.

– Ja również staram się tak myśleć – przyznała z rezygnacją Weronika. – Nie wyobrażam sobie, że ojciec mógłby mnie oszukać.

Jest przecież jakaś różnica między niewyjawieniem całej prawdy – czy nawet jej zatajeniem – a ewidentnym kłamstwem. Choć z drugiej strony... Czy w niektórych przypadkach nie wychodzi na jedno?

Nie żałowała, że opowiedziała o wszystkim Jarkowi. Jeszcze kilka tygodni temu z pewnością by się na to nie zdobyła, jak choćby wówczas, w czasie wakacji, gdy poprosiła go o spotkanie, by zadać mu kilka pytań w kwestii funkcjonowania pewnych struktur Polskiego Państwa Podziemnego w czasie okupacji. Ale wtedy nie miała na temat własnej

rodziny tej wiedzy, jaką dysponowała dziś. A poza tym nie znała jeszcze treści pamiętnika Wandy. To zaś kazało jej spojrzeć na całą sprawę z innej perspektywy. Jak to ujęła Rozalia? Wspomniała, że w całej tej historii chodzi o nie tylko o Wandę, ale o całą rodzinę.

„O twoich rodziców, twojego brata. O ciebie” – dosłownie tak to ujęła. Miała rację.

Jarek wysłuchał całej historii z uwagą, nie przerywając ani słowem i nie zadając żadnych pytań. Powstrzymał się też od jakichkolwiek negatywnych komentarzy na temat teściów, choć – jak przyznawała w duchu Weronika – miał wyśmienitą okazję, by odegrać się za wszystko, co spotkało go w przeszłości z ich strony, zwłaszcza ze strony jej ojca. Zachował się jednak tak, jakby ta przeszłość nie miała już dla niego znaczenia. Jakby definitywnie zamknął za sobą tamte drzwi.

A może jednak było na odwrót? Może nie chciał wygłaszać przykrych uwag na temat jej bliskich, bo tak naprawdę niczego do końca nie zamknął? I nie chciał spalić jedyne, ostatnie mostu, jaki go mimo wszystko łączył z tą rodziną? I całą przeszłością? Ich wspólną przeszłością?

– Oskar powiedział, abym dała temu wszystkiemu spokój – podjęła po chwili. – Po prostu przyjął do wiadomości to, co mu opowiedziałam, i uznał, że skoro poznaliśmy już prawdę, to nie ma sensu dłużej rozgrzebywać tamtych spraw. Dręczyć naszych rodziców i siebie nawzajem. „W pewnym sensie odpokutowali już za tamto, popatrz, jak wygląda ich małżeństwo. Przypomnij sobie, jak wyglądał nasz dom. O kant dupy potłuc taką rodzinę”. To jego słowa.

– Przecież wiesz, jaki jest Oskar. – Jarek z trudem stłumił uśmiech. – Nie owija w bawełnę, ale...

– Nie pogniewałam się na niego, jeśli o to ci chodzi – odburknęła.

– Jeśli chcesz poznać moje zdanie, to uważam, że Oskar ma rację. – Jarek przerwał ciszę, która zapadła po jej słowach. – Twoim starym należy się wreszcie spokój. Cokolwiek mają na sumieniu, odbyli naprawdę srogą pokutę.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że akurat ty będziesz dla nich taki łaskawy. – Nie mogła się jednak powstrzymać przed wygłoszeniem tej uwagi. W dodatku zrobiła to wyraźnie kąśliwym tonem.

Jarek jedynie wzruszył ramionami i sięgnął dłonią do kontaktu, aby zapalić światło, ale Weronika go powstrzymała.

– Tak jest dobrze – rzekła cicho. – Tak... lepiej wszystko widzę.

Zdawała sobie sprawę, jak to zabrzmiało, ale powiedziała prawdę. Nie mogła ująć tego trafniej. Tylko w takim mroku mogła „widzieć” Wandę siedzącą blisko Staszka – niczym lustrzane odbicie jej i Jarka. Tylko w mroku mogła wspominać wszystkie wieczory, które spędziła w tym mieszkaniu, gdy ona i Jarek byli jeszcze małżeństwem. A zarazem wyobrażać sobie, jak mogłoby wyglądać jej życie, ich wspólne życie, gdyby przed laty nie zrejterowała i nie odeszła. Była pewna, że te wszystkie rozterki i wspomnienia miała teraz niemal wypisane na twarzy. Lepiej, aby Jarek tego nie zauważył. W mroku – przynajmniej żywiła taką nadzieję – nie było ich widać.

Nie skomentował jej słów i ponownie zapadła cisza. Gdyby teraz znów chciał ją objąć, z pewnością by się już nie opierała. Ale nie powiódł próby, być może nie chciał po raz kolejny przeżyć rozczarowania, więc jedynie siedzieli obok siebie. Bardzo blisko, niemniej dystans został zachowany.

– To nie jest kwestia tego, czy jestem, czy nie jestem dla nich łaskawy – odezwał się nagle Jarek, wybudzając ją z zamyślenia. – Chyba po prostu nauczyłem się rozumieć twojego ojca. I twoją matkę. A także moich rodziców. Z wiekiem przychodzi mi to jakoś łatwiej. Zwłaszcza gdy teraz

również ja jestem ojcem dorosłych dzieci i coraz częściej kusi mnie, by wtrącać się w ich sprawy, pouczać ich i porządkować im życie.

Ponownie poczuła łyzy pod powiekami, ale zapanowała nad wzruszeniem.

– Nie mogę się jednak oprzeć przekonaniu, że Oskar się myli. Że nie znamy jeszcze całej prawdy. Że jest coś jeszcze... – szepnęła.

– Być może – odparł. – I co z tego? Każdy ma prawo do swoich tajemnic, chyba już kiedyś coś takiego powiedziałem. Wiem, wiem, jestem niekonsekwentny. Jako historyk ciągle grzebię w ludzkich tajemnicach, listach i pamiętnikach. Ale nic na to nie poradzę, że nie uważam, jakoby konsekwencja w każdym przypadku była cnotą. – Podniósł się. – Napijemy się wina?

– Co takiego? Przecież obiecałeś, że odwieziesz mnie do domu – przypomniała mu ze śmiechem.

– Nie musisz dziś tam wracać. Przecież mogłabyś zostać... do jutra. Miejsca jest dość. Wszelkie warunki zapewnione.

Dzięki Bogu, że nie pozwoliłam zapalić tego światła, pomyślała Weronika, czując płomienie na całej twarzy. Dokładnie tak jak wtedy, przed laty, gdy po raz pierwszy zostali sami na noc. Lecz, do licha ciężkiego, wtedy była młodą, niedoświadczoną dziewczyną, podczas gdy teraz...

Starła się nie myśleć o tym, że jeszcze kilkanaście sekund temu sama pragnęła znaleźć się w jego ramionach.

– Lepiej będzie, jeśli jednak wrócę do domu – odparła i również się podniosła. Domyślała się, że poczuł się niezręcznie, dlatego dodała tonem tak łagodnym, na jaki tylko zdołała się zdobyć: – Nie gniewasz się, prawda?

Oczywiście zdawała sobie sprawę, jak to zabrzmiało, ale trudno. Nie w każdej sytuacji można zachować się dojrzałe i błyskotliwie. Któż lepiej

od niej może o tym wiedzieć!

Przygotowywała się na to, że Jarek odpowie jakąś niezobowiązującą uwagą, może żartem – tak się jednak nie stało.

– Mogę poczekać – rzekł cicho. – Nic nowego pod słońcem. Odkąd pamiętam, stale tylko na ciebie czekałem. Abyś wreszcie zwróciła na mnie uwagę na uczelni. W bibliotece, w Ogrodzie Botanicznym. Abyś wreszcie wróciła z dziećmi z Jaktorowa do domu. No i potem, gdy wszystko się rozpieprzyło... – Znowu wzruszył ramionami. – W końcu nawet do czekania można się przyzwyczać.

Oślupiała. Nie mogła się poruszyć, co oznaczało, że nie potrafiła nawet odwrócić głowy, by nie patrzeć w jego oczy. Zadziwiające, ale w tym ciemnym pokoju widziała je bardzo wyraźnie.

Rozdział 13

Tydzień później zdecydowała, że pojedzie do Jaktorowa. Ostatnimi czasy odwiedzała rodziców zdecydowanie rzadziej niż kiedykolwiek wcześniej. Znała oczywiście przyczyny tego stanu rzeczy, niemniej, gdy jadąc autobusem, obserwowała przesuwały się przed oczami tak dobrze jej znany pejzaż, nie mogła opędzić się od wspomnień. A przy okazji od smutnych refleksji. Jakież to wszystko było jej kiedyś bliskie, kochane! Jak choćby trasa krakowska, która od lat wymagała remontu czy choćby poszerzenia. I pomyśleć, że niegdyś tak niewiele obchodziły ją takie sprawy jak na przykład stan dróg! Nie miała własnego samochodu, nie miała nawet prawa jazdy i nigdy nie zależało jej, aby to zmienić. Na kupno auta i tak nie było jej stać, ale przed laty ojciec nieraz ją namawiał, aby zapisała się na kurs, a on już zadba o całą resztę. Wzruszała ramionami i odpowiadała, że to nie dla niej. Lubiła podróżować jako pasażerka, oczywiście u boku kierowcy, któremu ufała. Przeważnie był to ojciec albo Oskar. Ona w tym czasie mogła obserwować okolice i marzyć o niebieskich migdałach. Czasem Oskar napomykał, że gdyby przystała na propozycję ojca (akurat z tym pomysłem w pełni się zgadzał), mogłaby stać się bardziej niezależna. Weronika była niemal pewna, że brat w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie dodać „samodzielna”. Odpowiedziała mu jednak ze śmiechem, że nic dobrego by z tego nie wyszło.

– Z czego? – spytał wtedy, jak to on, zaczepnie. – Z tej niezależności?

To także, przemknęło jej wtedy przez głowę. Na głos odparła jednak, że po prostu nie nadaje się na kierowcę. Jest zbyt rozproszona i za bardzo lubi bujać w obłokach.

– Może dzięki temu częściej schodziłabyś na ziemię – skomentował, a ona, przeczuwając, dokąd zmierzała ta dyskusja, zignorowała jego uwagę. Wiedziała, że i tak może na niego liczyć, gdy tylko go poprosi, aby zawiózł ją tu czy tam, najczęściej do Jaktorowa. A jeśli z jakiegokolwiek powodu nie mógł służyć jej pomocą, zawsze w odwodzie pozostawał ojciec.

Teraz także, gdy tylko wydostała się z autobusu, natychmiast spostrzegła starego Reczyńskiego. Choć od lat nie prosiła go, by przyjeżdżał po nią do Warszawy ani na przystanek w Jaktorowie.

Na jego widok z trudem powtrzymała się, by nie okazać niezadowolenia i zniecierpliwienia. Uprzedziła rodziców o wizycie, niemniej od razu zastrzegła, że chętnie przejdzie się piechotą, przez las. Nie widziała w tym żadnego problemu; jako uczennica, a potem studentka, wielokrotnie pokonywała tę drogę, a rodzice nie robili wówczas z tego problemu. Zwyczaj ten zmienił się, gdy wyszła za mąż i urodziła dzieci. Wówczas jakby przestali ją traktować jak osobę samodzielną, zamiast tego uznali, że ich biedna córka potrzebuje daleko idącego wsparcia w każdej dziedzinie życia. Skoro mąż nie potrafił zapewnić jej godnych warunków egzystencji i nie był wówczas w stanie zarobić nawet na samochód, którym mógłby wozić rodzinę, Reczyńscy uznali, że w takim razie to oni muszą rozwinąć nad córką i wnukami parasol ochronny, zapełniać jej lodówkę, a także zapewnić wygodny transport do Jaktorowa i z powrotem. Nie chcieli nawet słyszeć, aby podróżowała z dziećmi pociągiem albo autobusem, a ona – trzeba to przyznać – chętnie przyjęła rolę przytłoczonej obowiązkami, straszliwie utrudzonej młodej matki, wdzięcznej za rodzicielską troskę

i okazywaną pomoc. Tak jej było wygodniej. Ceną było uzależnienie od rodziców i życiowa nieporadność, ale przecież i ten stan rzeczy wówczas akceptowała. W ostatnich latach zrobiła jednak wiele, by to zmienić. Była pewna, że rodzice zdążyli się już przyzwyczaić do tej zmiany i ją zaakceptować. Jak widać – myliła się. Pomimo jej zapewnień, że chciałyby się sama przejść od przystanku do domu, ojciec i tak postanowił postawić na swoim i przyjechał po nią samochodem. Powściągnęła jednak odruch irytacji i niechęci, gdy spostrzegła, jak powoli zmierzał w jej stronę. Dokładnie takim krokiem jak ciotka Rozalia, gdy ją ostatnio odwiedziła w Komorowie. Równocześnie też doszła do identycznego wniosku, jaki zaświtał jej w głowie, gdy po kilkutygodniowej nieobecności zobaczyła Ostrowską – ojciec także w ostatnim czasie się postarzał. Gdy się przywitani i gdy jak dawniej wziął torbę z jej rąk, dostrzegła w jego oczach zarówno radość, że ją widzi, jak i pewną obawę, poczuła, jakby jej gardło ścisnęła jakaś obręcz.

Spytał, czy podróż przebiegła bez żadnych kłopotów.

– Tak, wszystko w porządku – odparła trochę chropowatym głosem. – W wolną sobotę, o siódmej rano nie ma jeszcze tłoku w autobusach. Ci, którzy chcieli wyjechać na weekend, zrobili to już wczoraj po południu – dodała, sadowiąc się wygodnie. Samochód ojca był jak zwykle wypucowany na błysk, zarówno na zewnątrz, jak i w środku.

Gdy ruszyli z miejsca, poczuła, że udziela jej się jego zdenerwowanie.

– Tato... – zaczęła, ale nie dał jej skończyć. Ustępując pierwszeństwa przejazdu nadjeżdżającym od strony Warszawy samochodom, zapytał o wnuków. – Zajęci, jak zwykle – odparła trochę zmieszana. Chłopcy przyjeżdżali do Jaktorowa jeszcze rzadziej niż ona. – Wiesz, jak to młodzi – dodała tonem mimowolnego usprawiedliwienia. – Piotrek rozpoczął już rok szkolny, klasa maturalna, sam rozumiesz, nie ma zmiłuj. A Michał dopiero

co zadebiutował w roli studenta. Obaj przesyłają wam całusy, powiedzieli, że przyjadą, jak tylko znajdą trochę czasu – dorzuciła, naciągając nieco fakty. Chłopcy rzeczywiście polecieli jej, aby pozdrowiła od nich dziadków. O ewentualnych odwiedzinach jednak nie wspomnieli.

Nakłonię ich, aby następnym razem przyjechali ze mną, postanowiła w duchu. Sama jednak nie miała pojęcia, kiedy ów następny raz będzie miał miejsce.

– Cieszę się, że to słyszę – odparł Reczyński. Nawet się uśmiechnął, choć uśmiech ten nie sięgnął jego oczu, które pozostały smutne.

Poruszona tym widokiem Weronika pogłaskała go delikatnie po ramieniu.

– Nie martw się – rzekła cicho. – Wszystko jest w porządku. – Bardzo chciała w to wierzyć. – Naprawdę, tato – powtórzyła i wtedy znowu się uśmiechnął. Tak smutno, jak poprzednio.

– Dlaczego przyjechałaś? – spytał.

– Jak to dlaczego? – Zerknęła na niego zaskoczona, ale nie odrywał wzroku od drogi. Domyślała się jednak, co miał na myśli.

– Przecież wiem, o co naprawdę ci chodzi – mruknął Reczyński, ale natychmiast potrząsnęła głową.

– Nie możesz tego wiedzieć – zaprzeczyła gwałtownie. – Zresztą to już bez znaczenia. Mówiąc, że wszystko w porządku, to także miałam na myśli. Wierzę, że niczego złego nie zrobiłeś. – Ledwo wypowiedziała to ostatnie zdanie, a zaczerwieniła się jak piwonia.

– O, proszę... – Reczyński lekko się skrzywił. – Co wpłynęło na tak przychylną opinię? A może... kto?

– Ciotka Rozalia – odparła impulsywnie i pewnie dlatego nie zabrzmiało to najlepiej.

– Rozalia... – powtórzył jak echo Reczyński. Bez emocji, bez żadnego wzburzenia ani nawet zdziwienia. – Uwierzyłaś Rozalii. Ale nie mnie.

– Tato, zrozum, proszę...

Skręcił kierownicą i zatrzymali się na poboczu. Sto metrów dalej znajdował się ich dom, widzieli go jak na dłoni.

– Mam zrozumieć, że mi jednak nie ufasz? – spytał. Nie czekał na jej odpowiedź. – Mam zrozumieć i pogodzić się z faktem, że nie ufała mi Wanda? Wiesz, ile dla mnie znaczyła? I ile znaczysz ty?

Pochylił głowę, opierając ją na kierownicy. Przez dłuższą chwilę panowała martwa cisza.

Zakładałam naiwnie, że wystarczy tu przyjechać i powiedzieć, że nie miałam racji, a sprawa będzie załatwiona, myślała. Jaka ja jestem głupia. Nigdy nie znałam się na ludziach i tak już pozostało. Przynajmniej pod tym względem na pewno się nie zmieniłam.

Bezradnie popatrzyła na ojca, a potem przeniosła wzrok na łąkę po drugiej stronie drogi. Uwielbiała to miejsce. Bawiła się tu, gdy była jeszcze dzieckiem. To tu, gdy tylko podrosła, przychodziła czytać książki. Nieopodal zaczynał się las, gęsta ściana drzew ciągnęła się wzdłuż drogi aż po horyzont. Niejednokrotnie spacerowała tą drogą w towarzystwie koleżanki, z którą zawarła znajomość w jaktorowskiej podstawówce. Potem – czasami – przechadzała się tędy także z Jarkiem. Na przykład wtedy, gdy przyjechał z nią po raz pierwszy do Jaktorowa, aby poznać jej rodziców. I później, gdy niekiedy, gnany tęsknotą, decydował się przyjechać do teściów, aby odwiedzić swoją stale nieobecną w Warszawie żonę i dzieci. Wspomnienia te poruszyły ją w tym momencie bardziej niż widok zasmuconej twarzy ojca. Co gorsza, ponownie obudziły gniew, który ostatnio zdołała jakoś złagodzić. A wzmianka na temat Wandy, którą przed chwilą usłyszała z ust ojca, sprawiła, że postanowiła porzucić swój

pierwotny plan, by nie nawiązywać już do przeszłości i nie domagać się odpowiedzi na wciąż nurtujące ją pytania.

– A dlaczego ty nie chciałeś zaufać ani mnie, ani jej? – spytała drżącym od emocji głosem. – Dlaczego z góry uznałeś, że wiesz lepiej niż my, co jest dla nas dobre, i postanowiłeś namotać nam w życiu? Nie robi się tego ludziom, których podobno darzy się miłością. Skoro, jak twierdzisz, tak nas obie kochałeś, to... dlaczego? – Nie dała rady dokończyć. Głos odmówił jej posłuszeństwa i łzy pociekły po twarzy.

Tyle przynajmniej osiągnęła, że podniósł na nią wzrok.

– Dlaczego? – powtórzył. – Bo właśnie tak postępuje się z tymi, na których najbardziej nam zależy. Taka jest prawda.

– Nie. – Potrząsnęła głową.

– Dokładnie tak. Chciałem was ustrzec od błędu. Zaoszczędzić łez. Nie posłuchałyście i sama już wiesz, jak to się skończyło.

– Jak co się skończyło?! – Podniosła głos. Trudno, i tak już diabli wzięli jej plany spokojnego weekendu z rodzicami. Zresztą może to i lepiej. Zamiast przyklepywania starego brudu, względnie zamiatania go pod dywan, wybebeszą go na wierzch. Nawet jeśli nie uda się wszystkiego uporządkować jak trzeba, nawet jeśli pojawią się nowe bruzdy, to przynajmniej wytrzepie się zastały kurz, przewietrzy wnętrza. Czasem tak trzeba, nie można dłużej udawać, że nic nie śmierdzi. – Mówisz o moim małżeństwie – kontynuowała wzburzona. – O człowieku, którego kochałam. Ojcu moich dzieci. Ale ty od początku nie dawałeś nam szans. Nigdy tego nie ukrywałeś, nie przypominam sobie, byś kiedykolwiek powiedział o Jarku coś dobrego. Przeciwnie – postanowiłeś to zniszczyć i dopiąłeś swego.

– Ejże, nie zapędzaj się.

W tonie ojca usłyszała nieznaczną nutkę kpiny, ale nawet taka nutka wystarczyła, by Weronika podniosła rękawicę.

– Nie zapędzaj się? Od samego początku mąciłeś między nami. Wtrącałeś się we wszystko. Krytykowałeś warunki, w jakich żyliśmy. Mojego męża uważałeś za życiowego nieudacznika, bo nie zarabiał na tyle dobrze, aby zapewnić nam odpowiedni poziom życia. Odpowiedni w twoim rozumieniu. Namawiałeś mnie, abym jak najczęściej przyjeżdżała wraz z dziećmi do Jaktorowa. Podobno dla naszego dobra. Bo zdrowiej, bo wygodniej. W ten sposób rozdzieliłeś mnie z Jarkiem. Byłeś bardzo skuteczny, to przyznaję. – Unosiła się coraz bardziej, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że powtarza dawne argumenty Oskara. Argumenty, na które całymi latami była głucha.

– A kto ci kazał ulegać moim rzekomym insynuacjom? – podjął pogardliwie Reczyński. Na jego twarzy nie było już niedawnej rezygnacji i smutku. Zastąpił je gniew, tak jak w przypadku córki. – Zabierałem cię siłą z tego małżeńskiego rajy i porywałem do Jaktorowa? Mogłaś mi powiedzieć, że wolisz zostać w tamtej klitce, ale ani razu tego nie zrobiłaś. Przeciwnie, biegłaś jak na skrzydłach do samochodu. A wiesz dlaczego? Bo tak ci było wygodniej. Bo w Jaktorowie matka i ojciec zajmowali się twoimi dziećmi, a ty krążyłaś po polach i lasach w poszukiwaniu straconego czasu.

Tak było, oczywiście, doskonale to pamiętała. Samo wspomnienie sprawiało, że paliła się ze wstydu. Co jednak nie oznaczało, że zamierzała teraz zrejterować albo, co gorsza, przyznać ojcu rację.

– Mimo to powinniście byli oboje z matką zachować jakiś dystans. Nie przyjeżdżać tak często i nie namawiać mnie do wyjazdów. Byłam wtedy zmęczona, kiepsko sobie radziłam z obowiązkami, bo nie przygotowaliście mnie do życia. Odkąd pamiętam, byłam zwolniona ze wszystkich

obowiązków i to się później na mnie zemściło, ale ostatecznie nie byłam pod tym względem wyjątkiem. Wielu młodych ludzi musi się w pewnym momencie zmierzyć z życiem, dotrzeć się w związku z drugim człowiekiem, to nigdy nie jest łatwe. Czasem się faktycznie nie udaje, ale mnie i Jarkowi mogło się udać. Gdyby nie ta wasza ciągła obecność w naszym życiu. Te ciągłe pouczenia, ta dezaprobata. To dawanie mi do zrozumienia, że zasługuję na coś więcej, a na razie przede wszystkim należy mi się odpoczynek od codzienności. Moi teściowie także starali się nam pomóc, ale byli bez szans wobec twoich pieniędzy i pięknego Jaktorowa. Tak, wiem, co chcesz powiedzieć. – Uniosła dłoń, dając do zrozumienia, że nie pozwoli sobie przerwać. – Chcesz powtórzyć, że nie tylko na to pozwalałam, ale i przyjmowałam z entuzjazmem. No cóż, byłam rozpuszczoną córunią mamusi i tatusia. Grzeczną, miłą i dobrze wychowaną, co nie zmienia faktu, że obrzydliwie rozpieszczoną. Taką, co dostaje same piątki w szkole i zgarnia nagrody w konkursach. Zdała maturę z wyróżnieniem i pilnie uczyła się na studiach. Nie zadaje się ze złym towarzystwem, nie pije, nie pali i nie przeklina. Ale jednocześnie ma dwie lewe ręce do roboty. I nigdy, za skarby świata nie sprzeciwi się mamie i tacie. Ich zdanie jest wyrocznią, zresztą nauczyli ją nie mieć własnego. Z Oskarem tak się wam nie udało, ale to chłopak, więc dajcie mu spokój. Córci jednak postanowiliście przypilnować i ona was nie zawiodła. Wprawdzie dała się zepsuć chłopakowi i zaszła z nim w ciążę, wyszła nawet za męża, ale na szczęście przejrzała potem na oczy. Rozstała się z nim i znowu było jak dawniej. Prawie.

– Trywializujesz i w dodatku wulgaryzujesz – wtrącił gniewnie Reczyński. – Nie pozwalaj sobie za dużo. I nie rozgrzeszaj tak łatwo. Najpierw przydałby się jakiś rachunek sumienia.

– Nie rozgrzeszam się! – krzyknęła. – Nie myśl sobie! Był i rachunek sumienia, żal za grzechy i mocne postanowienie poprawy. Miałam nadzieję, że to zauważyłeś w ciągu ostatnich lat. Ale co to zmieni? Przeszłości i tak nie uda się już przywrócić i przeżyć po raz drugi. Wiem, ile winy jest po mojej stronie, ale chciałam ci uświadomić, że oboje z mamą także dołożyliście swoje. – Wytarła oczy chusteczką i podjęła, już znacznie spokojniejszym tonem: – Wiem, że zawsze mnie kochaliście i robiliście to z troski o mnie. Ale wybacz, jeśli ci przypomnę powiedzenie, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Nie zrozum mnie źle, to nie tak, że oskarżam was o wszystko, co złe w moim życiu. Kocham was i nic tego nie może zmienić. Ale nie dziw się, że niekiedy mam problem, aby ci zaufać. Ty też mi nie ufałeś.

Milczenie, jakie zapadło, zdawało się nie mieć końca. Gwałtowna wymiana zdań wyczerpała ich oboje, gniew gdzieś wyparował, wróciła rezygnacja. Gdzieś od strony biegnącej nieopodal leśnej ścieżki rozległo się szczekanie psa. Ktoś nadchodził.

– Jedźmy już do domu – westchnęła wreszcie Weronika, ale Reczyński nawet się nie poruszył.

– Wanda mi nie ustępowała – rzekł i w jego oczach zamigotał jakiś żywszy wyraz. – Nie słuchała, gdy chciałem jej coś wyperswadować. Zawsze miała własne zdanie i wszystko robiła po swojemu. I naprawdę nie wyszła na tym dobrze.

– Mylisz się. Jej małżeństwo z Paolem Bellodim było bardzo szczęśliwe – zaoponowała Weronika, świadomie pomijając kwestię Staszka Mikołajskiego.

– Skąd ta pewność? – Ponownie wykrzywił wargi. – Ach tak, zapomniałem. Twój brat przekazał ci wiadomości z pierwszej ręki. Od samej pasierbicy Wandy. Trudno dyskutować z takim świadectwem.

– Dlaczego znów to robisz? – spytała rozdrażniona.

– Niby co takiego?

– Przybierasz taki ton. Pełen pogardy wobec kogoś, kto ma inne zdanie niż ty. Kto ośmiela się przedstawić inną wersję wydarzeń niż ta, w którą niezłomnie wierzysz. Tak właśnie za każdym razem mówiłeś o Jarku.

– Znowu Jarek... – mruknął Reczyński, jednak zmienił ton. Popatrzył na córkę. – Pewnie i tym razem mi nie uwierzysz, ale także chciałbym mieć pewność, że moja siostra ułożyła sobie w końcu życie.

– Najprawdopodobniej sama ci o tym napisała w liście, który podobno do ciebie nie doszedł. A przy okazji także do mnie i do Oskara.

Nie chciała, aby zabrzmiało to tak, jakby powątpiewała w zaginięcie listów, ale chyba nie do końca jej się udało.

– Powtórzę po raz setny, że nie dostałem od niej żadnego listu – odparł ponuro Reczyński, ale spostrzegła, że twarz mu przy tym drgnęła.

– W porządku, staram się w to wierzyć. Akurat takie rzeczy zdarzają się na poczcie – rzekła pojednawczo. – Możesz być jednak pewien, że była szczęśliwa ze swoim mężem.

– Nie odrzucam takiej możliwości – skwitował, uśmiechając się lekko. Tym razem bez ironii, gniewu czy rezygnacji. – W końcu i takie cuda zdarzają się na tym świecie.

Zacisnęła dłonie, dzięki czemu powstrzymała ich drżenie. Zapatrzyła się na dom. Znowu wróciła wspomnieniami do tamtych lat, gdy wracała tu z radością, zostawiając za sobą obcą jej pod każdym względem Warszawę. Gdyby wtedy ktoś jej przepowiedział, że nadejdzie taki dzień, gdy będzie chciała stąd uciekać, roześmiałaby mu się w twarz albo popukała w głowę. A jednak taki dzień nadszedł. Właśnie w tym momencie najchętniej wysiadłaby z samochodu, zatrzasnęła drzwi i pobiegła z powrotem na przystanek autobusowy. Rzecz jasna powstrzymała się, wiedziała, że nie

może postępować w sposób tak impulsywny. Nigdy nie pozwalała sobie na żadne ekstrawagancje, nie robi tego także i teraz. Musiała jednak jakoś zareagować na słowa ojca.

– Tak zrozumiałam, czytając jej pamiętnik – odparła, siłąc się na spokój, co niestety nie do końca jej się udało. W przeciwieństwie do Reczyńskiego – nie wyglądało bowiem na to, by słowa córki zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie. Mimo to dodała: – Dotarłam do niego zupełnie przez przypadek, może kiedyś ci o tym opowiem. Wiedziałeś, że spisywała swoje wspomnienia? Na temat dzieciństwa, młodości, także na temat rodziców. Dużo pisała o tobie. O Bellodim. A także o... – Przerwała, bo w tym momencie dostrzegła zmianę na twarzy ojca. Nieśmiało dotknęła jego ramienia, złagodziła ton. – Chciałbyś przeczytać?

Reczyński tylko wzruszył ramionami.

– A po co? Jakież tam babskie wynurzenia...

Opuściła dłoń, wyprostowała się na siedzeniu.

– Jedźmy wreszcie. Chyba nie będziemy tu stać bez końca? Mama na pewno już zobaczyła nas z okna – rzekła oschłym tonem. Tylko w ten sposób mogła zapanować nad rozczarowaniem.

Bez słowa zapuścił silnik i tak w zupełnym milczeniu dojechali wreszcie na miejsce.

Rozdział 14

Usłyszawszy odgłos zamykanych na piętrze drzwi do pokoju córki, Reczyńska z trudem powtrzymała głośne westchnienie ulgi. Czuła się jak aktorka, która właśnie zeszła ze sceny po wyjątkowo trudnym przedstawieniu, a porównanie to bardzo ją przygnębiało. Przecież naprawdę cieszyła się z przyjazdu Weroniki, tak za nią tęskniła. Jednocześnie jednak jak nigdy dotąd dręczyła ją świadomość, że coś nieodwołalnie zmieniło się w ich wzajemnych stosunkach. I od tej pory muszą się wszyscy bardzo pilnować, uważać na każde słowo, gest. Dotyczyło to całej ich trójki, jednakże jej, Izabelli, w szczególności.

Czując na sobie uporczywe spojrzenie męża, zdecydowała się w końcu je odwzajemnić. Po czym zaraz odwróciła wzrok.

– Już późno – rzekła, podnosząc się z kanapy. – Idę spać.

W gruncie rzeczy wcale nie była śpiąca i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Jan o tym wiedział. Po prostu chciała zostać sama, czy też, mówiąc dokładniej, zejść mu z oczu, co przecież konsekwentnie czyniła od lat. Dnie i noce od lat spędzali osobno, do czego zresztą zdążyła się przyzwyczaić. W ciągu dnia już dawno przestało to być problemem, oboje mieli swoje obowiązki, które tak jemu, jak i jej wypełniały czas od rana od wieczora. Ona miała na głowie dom i dzieci, a także swój gabinet, w którym realizowała się zawodowo. On najczęściej pracował w terenie,

oprócz tego prowadził różne inne interesy, które zapewniły im godziwe warunki życia. Kładli się spać późną nocą, każde po swojej stronie łóżka, zostawiając pusty środek. Aż wreszcie – gdy dzieci opuściły dom – zdecydowali się na osobne sypialnie. Przy czym „zdecydowali się” nie oddawało tego, co wydarzyło się w rzeczywistości. Po prostu pewnego dnia Jan zabrał swoje rzeczy i wyprowadził się do nieużywanego od lat pokoju gościnnego, a ona przyjęła ten fakt w milczeniu. Bez pytań, bez protestów, bez żądania wyjaśnień, jak zawsze. Wiedziała, że i tak nic by to nie zmieniło, ale nie była to jedyna przyczyna jej spolegliwości, pogodzenia się z losem. W każdym razie nie najważniejsza.

Zresztą osobna sypialnia miała swoje dobre strony, które Izabella dość szybko doceniła. Przede wszystkim znalazła tu swój azyl. Spokój. Swobodę. Gdy nie mogła zasnąć (co dość często się zdarzało), mogła czytać do późnych godzin nocnych. Albo siedzieć przy oknie i rozmyślać – miała przecież o czym. Kiedyś też tak zrobiła. Ileż to razy, upewniwszy się, że mąż na dobre już zasnął, wstawała z łóżka choćby tylko po to, by obserwować mgłę za oknem. Takie mgły niejednokrotnie gościły również w jej sercu i głowie, była wobec nich bezradna, przychodziły bowiem i odchodziły niezależnie od jej chęci i woli. Pewnej nocy, przed laty, gdy właśnie patrzyła na mgłę, nie zauważyła, że mąż się obudził (a może, wbrew temu, co przypuszczała, jednak wcale nie zasnął) i uważnie jej się przypatrywał. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, nigdy go o to nie zapytała. Po prostu w którymś momencie się odwróciła i natychmiast napotkała jego spojrzenie. W pierwszej chwili nogi się pod nią ugięły, opanowała się jednak i nawet wymamrotała jakieś wytłumaczenie – jakoby wydawało jej się, że usłyszała hałas za oknem. Nie skomentował, domyśliła się więc, że jej nie uwierzył. Czym prędzej położyła się do łóżka i skuliła pod kołdrą. Nigdy więcej do tego nie wracali. Gdy potem została w sypialni

sama, przynajmniej nie czuła się zmuszona tłumaczyć z niektórych swoich zachowań, jak na przykład ze spędzania długich nocnych godzin przy oknie. Przecież i tak nie mogłaby mu wyznać, że widok ciemnej masy drzew i ciągnących się aż po horyzont pól wpędzał ją w przygnębienie i ból, z którym nie potrafiła sobie poradzić. Z którym – była tego pewna – nie upora się już nigdy. Nie zwierzy mu się jednak nie dlatego, że uznałby to za babską fanaberię i przejaw zaburzonej równowagi hormonalnej, nie dlatego nawet, że jej złe i dobre nastroje już od dawna go nie obchodziły. To nie były najważniejsze powody i nie one tu decydowały.

Wolne od pracy wieczory także spędzali osobno, unikając w ten sposób nieznośnego milczenia, jakie zagościło w ich życiu, odkąd dzieci wyprowadziły się z domu. Dopóki jeszcze mieszkali razem z nimi, tematów do rozmów im nie brakowało, choć prawie zawsze oscylowały wyłącznie wokół kwestii związanych z synem i córką. Jednak gdy – najpierw Oskar, a później Weronika – wyfrunęli z rodzinnego gniazda, zapanowała w nim trudna do zniesienia cisza. W tej nowej rzeczywistości oboje Reczyńscy nie mieli już sobie nic do powiedzenia.

Żałowała, szczerze żałowała, że tak się to wszystko ułożyło, ale czuła się zupełnie bezradna. Nie miała nawet cienia wątpliwości, że jej mąż odbierał to inaczej niż ona. Dawno przestał odczuwać żal z powodu fiaska ich małżeństwa, z pewnością nie czuł nostalgii za tym, co przecież kiedyś, niemal pół wieku temu, zbliżyło ich do siebie.

Zarazem jednak zdawała sobie sprawę, że również czekał z utęsknieniem na odwiedziny dzieci. Także na odwiedziny Oskara, choć spierali się obaj nieustannie, w niemal każdej kwestii mieli przeciwne zdanie. Mimo to odgadywała, że lubił te zażarte dyskusje, nawet wtedy, gdy wymykały się spod kontroli. Nie cierpiał jałowych rozmów o niczym, śmiertelnie go nudziły i irytowały, a w Oskarze miał godnego siebie

oponenta. I to go nakręcało. Czasem Izabella zastanawiała się, czy kiedykolwiek Oskar przyjmie wreszcie do wiadomości, jak bardzo Janowi potrzebne były te dyskusje, nawet jeśli przeradzały się w ostre spory. Choć w miarę upływu lat miała co do tego coraz większe wątpliwości i obawy.

Lecz oczywiście nic nie sprawiało jej mężowi większej radości niż wizyty córki, a potem także wnuków. Weronika była bodaj jedyną osobą, z którą mógł rozmawiać nawet o tym, co w każdych innych okolicznościach uznałby za nudne i jałowe. Izabella Reczyńska także czekała z utęsknieniem na córkę; przyjazdy Weroniki rozpędzały mgły, które tak często – zbyt często – ją nawiedzały. A kiedy na świecie pojawiły się także wnuki, nie było już czasu na żadne smutki. Dom zatętnił życiem, jak wówczas, gdy Weronika i Oskar byli jeszcze dziećmi, nawet bardziej. Nareszcie miała czym zająć te puste, wlokące się w nieskończoność godziny, co okazało się najskuteczniejszym lekarstwem na rozterki i melancholie.

Weronika, w przeciwieństwie do brata, przez długi czas nie sprawiała żadnych problemów. Była grzecznym dzieckiem, a potem obowiązkową i posłuszną nastolatką. Nie dyskutowała z rodzicami i nauczycielami, robiła to, co do niej należało. Dla nich obojga była niczym plaster na bolące rany. Dobra, słodka, łagodna i kochana. Nawet ta nieszczęsna historia związana z jej nieudanym małżeństwem w gruncie rzeczy prawie wcale jej nie zmieniła. W każdym razie nie miała wpływu na te cechy jej osobowości, które oboje rodzice tak bardzo w niej cenili. A przynajmniej przez długi czas tak zakładali.

Potem to się zmieniło. W pewnym momencie – na pewno nie od razu – zorientowali się, że ich ukochana córka powoli stawała się innym człowiekiem. Dostrzegli w niej te cechy charakteru, których nie zauważyli wcześniej, a przecież nie mogły się pojawić z dnia na dzień. Izabella

zobaczyła w córce podobieństwo do kogoś, o kim najchętniej zapomniałyby raz na zawsze. I być może w końcu by zapomniała, gdyby Wanda na nowo, zupełnie niespodziewanie, nie zaczęła, jak niegdyś, mącić w ich życiu. Tak przecież należałoby nazwać to zamieszanie i niepokój, które pojawiły się jakiś czas temu w ich jako tako ułożonej codzienności. Przy czym fakt, że w istocie Wanda już nie żyła, nie miał tu najmniejszego znaczenia.

Najwyraźniej coś przeoczyłam, ale kiedy? – zastanawiała się Reczyńska. Jak mogło do tego dojść, w którym momencie sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli? I znowu czuła się bezradna. Zmarła przed laty szwagierka mogła okazać się groźniejszym przeciwnikiem niż tamta dziewczyna z przeszłości: pełna życia, pewna siebie i miłości wszystkich dookoła. Rozpieszczona smarkuła, przyzwyczajona do tego, że każde jej życzenie było niezwłocznie spełniane. Że niemal zawsze dopisywało jej szczęście.

Niemal – bo jednak... nie zawsze.

Gdy kilka dni temu Weronika zatelefonowała, zapowiadając swój przyjazd, Izabella w pierwszej chwili poczuła raczej niepokój niż radość. Przy czym nie potrafiła w żaden sposób wytłumaczyć sobie tego stanu rzeczy. Zaledwie jednak córka przestąpiła próg rodzicielskiego domu, Iza odsunęła na bok wszelkie obiekcje i przytuliła ją do siebie tak samo czule i radośnie jak zwykle. Udało im się spędzić całą sobotę bez żadnego zgrzytu. Najpierw wypili kawę w osłoniętej od wiatru altance, z której rozpościerał się widok na ogród. Po ostatnich ulewach pogoda wreszcie się poprawiła, wyrzało słońce i zrobiło się zdecydowanie cieplej niż jeszcze dwa dni temu.

Do kawy Izabella podała szarlotkę – jabłka pięknie w tym roku obrodziły, oznajmiła – zostały więc spełnione wszystkie warunki, aby rozmowa przebiegła w miłej i przyjaznej atmosferze.

Gwarzyli więc o tym i o owym, byle tylko nie dopuścić do ciszy, która mogłaby okazać się nie tylko krępująca, ale i... niebezpieczna. Na szczęście tematów nie brakowało. Izabella podzieliła się z córką jaktorowskimi ploteczkami, trochę się ich, na szczęście, uzbierało. Mycielscy doczekali się wreszcie wnuczka, co po pięciu wcześniej urodzonych dziewczynkach napawało ich wielką dumą. Córka Wieruszowskich wychodzi wkrótce za mąż (wreszcie, po kilkuletnim życiu „na kartę rowerową”). Malinowscy skłócili się ostatnio tak piekielnie, że wszyscy sąsiedzi i krewni tym razem byli już pewni, że doprowadzi to do wystosowania pozwu o rozwód, lecz... No cóż, skończyło się jak zwykle, czyli zawieszeniem broni, w każdym razie do następnej awantury.

Perorowała głównie Izabella, Reczyński w tym czasie milczał, przy czym – jak z pewnym niepokojem skonstatowała jego żona – coraz bardziej nieobecne spojrzenie mężczyzny wskazywało, że myślami krążył gdzieś daleko. Próbowwała włączyć go do rozmowy, ale nawet dyżurny temat, dotyczący wciąż nieprzeprowadzonego remontu drogi, tym razem nie został przez niego podchwycony. Wobec tego zagadnęła Weronikę o Michała i Piotrka, a także o nowy rok szkolny, plan lekcji, pracę z uczniami – i tu przynajmniej doczekała się odpowiedzi. Potem córka zaproponowała wspólne wyjście na spacer. Reczyńska domyśliła się jednak, że pytanie było jedynie grzecznościowe – wyglądało bowiem na to, że tak naprawdę Weronika miała ochotę na samotną przechadzkę – toteż wymówiła się koniecznością przygotowania obiadu.

– W takim razie zostanę i pomogę ci – odparła córka, ale i to, bez najmniejszej wątpliwości, można było zinterpretować jako czysto kurtuazyjną formułkę.

– Idź sama, najwyżej wieczorem przejdziemy się gdzieś razem – odparła łagodnie matka. W gruncie rzeczy, podobnie jak Weronika,

pragnęła teraz побыć trochę sama. Uspokoić nerwy, wyciszyć emocje, uporządkować myśli.

Reczyński także nie proponował Weronice swojego towarzystwa, zajął się porządkowaniem dostarczonych wczoraj desek na regały do piwnicy.

W porządku, nie musimy się przecież nawzajem krępować, tłumaczyła sobie w duchu Izabella. Niech będzie jak dawniej, gdy córka znacznie częściej przyjeżdżała do nich w odwiedziny. Kilka wspólnych punktów programu – na przykład posiłki – a poza tym każdy ma prawo spędzać czas wedle własnego uznania.

Wiedziała jednak, że tym razem oszukiwała samą siebie. Od tamtych czasów wiele się przecież zmieniło. W dodatku – prawdopodobnie – nieodwracalnie.

Tak czy owak, reszta dnia minęła spokojnie, niezakłócona przez żadne nieprzewidziane wydarzenie. Reczyńska miała jednak wrażenie, że wszyscy troje pilnowali się, by nie powiedzieć czegoś, co mogłoby naruszyć tę, przynajmniej pozorną, harmonię. Tak jak pilnuje się grupa znajomych, która, choć w pełni świadoma istnienia niewypowiedzianych pretensji czy też odmiennych poglądów, robi jednak, co może, by nieopatrnym gestem lub słowem nie zepsuć atmosfery spotkania. Wszyscy dokładają wszelkich starań, by nie dopuścić do żadnego przykrego incydentu. Nikt przecież nie chce zerwać do końca i tak już nadwątlonych więzów, mimo wszystko w dalszym ciągu są sobie bliscy. Tak właśnie myślała Reczyńska, obserwując dyskretnie męża i córkę. Nie miała też wątpliwości, że oni odbierają sytuację podobnie. Czasem podchwytывała podobne do własnych ukradkowe spojrzenia Weroniki, po czym obie, jak na komendę, albo pospiesznie odwracały wzrok, albo dla odmiany uśmiechały się szeroko, nie do końca szczerze.

Tylko mąż nie odpowiedział na ani jedno jej spojrzenie. Tak jakby przestała dla niego istnieć. Niby nic nowego, przez lata zdążyła już się do tego przyzwyczaić, a jednak w dalszym ciągu potrafiło ją to zabołeć.

Nic więc dziwnego, że wraz z wybiciem godziny dwudziestej drugiej, gdy Weronika, życząc rodzicom dobrej nocy, udała się do swojego dawnego panińskiego pokoiku na piętrze, Reczyńska poczuła niewypowiedzianą ulgę. Uświadomienie sobie tego faktu zmartwiło ją i zarazem zawstydziło, nie zmieniało jednak stanu rzeczy. Tym bardziej że dało też o sobie znać zmęczenie, które bez wątpienia było efektem zdenerwowania i napięcia, jakie towarzyszyły jej przez cały dzień, choć do tej pory starała się je ignorować. Dlatego zapragnęła schronić się w bezpiecznym azylu, jakim był jej pokój; miejsce, w którym mogła zrzucić z twarzy maskę uwierającą ją przez cały dzień. Przy czym nie chciało jej się jeszcze spać – nie było przecież aż tak późno, zazwyczaj kładła się do łóżka znacznie później – czuła jednak, że jeśli natychmiast nie pozbędzie się tej przeklętej maski, lada chwila chyba się udusi. Była pewna, że Weronika, gdy udawała się do swojego pokoju, przeżywała podobne rozterki. I nie miała wątpliwości, że mąż także marzył o tym, by wreszcie zostać sam. A w każdym razie bez towarzystwa żony.

Tym razem jednak stało się inaczej.

Gdy tylko oznajmiła, że idzie spać, Jan zupełnie niespodziewanie ją zatrzymał. Nie gestem, rzecz jasna, lecz słowem – ale i to ją zaskoczyło. Natychmiast też wrócił niepokój, który towarzyszył jej przez cały dzień. I – jak się miała przekonać – nie bez podstaw.

– Ona wie już wystarczająco dużo – odezwał się oschłym, surowym tonem. Niczym purytański kaznodzieja z wiktoriańskich powieści, którymi zaczytywała się w młodości.

Natychmiast poczuła dreszcze na całym ciele. W pierwszej chwili, zupełnie oszołomiona, nie była w stanie znaleźć żadnej odpowiedzi. Zdołała się w końcu jakoś opanować.

– Odwiedziła nas... Wreszcie... Jak dawniej – odparła z trudem. – Nie psujmy tego.

Wolała, aby na nią nie patrzył. Na pewno nie w taki sposób: drwiąco, z pogardą. Gdy dawno temu podobne spojrzenia rzucały jej ciotka i kuzynki, w duchu odpowiadała im tym samym. Uważała się przecież za kogoś lepszego od nich. Kiedy w taki sposób patrzył na nią Jan, czuła się nikim.

– Nadal nie rozumiesz, dlaczego to zrobiła? – spytał tonem adekwatnym do spojrzenia.

Wlepiała w niego osłupiały wzrok i ponownie zadrżała. Na wszelki wypadek chwyciła się oparcia krzesła. Oczywiście spostrzegł to i uśmiechnął się domyślnie.

– Mówię o Weronice, nie o Wandzie – podpowiedział.

Przynajmniej przestał się wreszcie uśmiechać, niewiele to jednak zmieniało.

– Wiem – odparła, choć przecież odgadł przyczynę jej zaniepokojenia. Najpierw rzeczywiście pomyślała o Wandzie, przypomniała sobie każdą wizytę szwagierki, zwłaszcza tę ostatnią. Dopiero potem dotarło do niej, że Janowi chodziło o Weronikę. Co jednak niewiele zmieniało.

– Nie domyślasz się, dlaczego tak naprawdę nasza córka dzisiaj przyjechała? – indagował.

– Bo nas kocha – wyszeptała z trudem.

– Ona wie – odparł, sięgając po paczkę z papierosami. – Pewnie oboje już wiedzą.

Obserwowała go w milczeniu, jak zapalał papierosa; nawet nie zadrżała mu ręka.

– W każdym razie wiedzą wystarczająco dużo – kontynuował spokojnie. – Myślę, że jest kwestią czasu, gdy poznają całą prawdę. I nie będzie dobrze, jeśli odkryją ją przy pomocy innych osób. Może to ostatni dzwonek, aby dowiedzieli się wszystkiego u źródła? To znaczy od ciebie? – dorzucił jakby mimochodem. Takim tonem, jakby zostawiał jej jednak wybór, jakby w istocie niewiele go to obchodziło. Może tak zresztą naprawdę było?

Jej dzieci miałyby poznać całą prawdę? I to ona miałaby o wszystkim im opowiedzieć? Jak? Na litość boską, on chyba oszalał! Na samą myśl zakręciło jej się w głowie.

– Nie – wyrzuciła jednym tchem. – To niepotrzebne. Proszę cię...

Nie chciała płakać i tym samym pogarszać sytuacji, nie zapanowała jednak nad łzami. Reczyński wzruszył ramionami i wreszcie odwrócił od niej wzrok. Odgadła, dlaczego to zrobił, mimo to była zadowolona, że nie patrzył już na jej czerwoną, moką twarz.

– Jak uważasz – rzekł. – To w gruncie rzeczy przede wszystkim twoja sprawa. Choć szkoda, że tak długo rzutowała również na mnie. Ale zrobisz, jak zechcesz.

Dźwignął się z fotela i podniósł z podłogi położoną tam wcześniej gazetę. Powolnym krokiem ruszył do wyjścia; zorientowała się, że także był zmęczony. Przypomniała sobie nagle tamten straszny dzień, ponad czterdzieści lat temu... I tamto znużenie na jego twarzy, a poruszona tym wspomnieniem chwyciła go za rękaw.

– Jeśli chcesz, abym ci to wszystko wyjaśniła, to...

Stanowczym ruchem uwolnił rękę z jej uścisku.

– Nie chcę – odparł z prostotą. – Mnie nie jest to już do niczego potrzebne. Ale ona myśli inaczej. – Wskazał ręką na hall i schody prowadzące na piętro. – Będzie drażnić, a bogowie jej w tym zadziwiająco sprzyjają.

Minał ją i opuścił pokój. Z ciężkim sercem wsłuchiwała się w odgłosy jego kroków, dopóki nie zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Rozdział 15

– Kocham las o każdej porze roku – westchnęła Weronika, gdy następnego dnia, wczesnym popołudniem wybrała się z matką na przechadzkę. – I ten zapach. Inny wiosną, jeszcze inny latem... Ale nie wiem, czy nie najpiękniejszy właśnie jesienią.

– Już mi to kiedyś mówiłaś – uśmiechnęła się zdawkowo Izabella.

– Tak? Kiedy? – zastanowiła się Weronika.

– Miałas wtedy dwanaście albo trzynaście lat.

– No cóż, podobno ostatnio coraz częściej się powtarzam – zażartowała córka. – Chłopcy już kilka razy mi to wypomnieli. – Zerknęła na matkę i spostrzegła, że Izabella trzyma w dłoni lekko zmiętą fotografię. Jeden rzut oka wystarczył, by Weronika poznała, kogo przedstawiało zdjęcie. Poczowała silne uderzenia serca.

– Wiesz, kto to jest, prawda? – zagadnęła Izabella.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak.

Weronika odruchowo odwróciła się w kierunku ścieżki prowadzącej z polany do domu, ale matka ją zatrzymała.

– Nie zapytasz, skąd mam jego zdjęcie?

Wzruszyła ramionami, pragnąc tym gestem dodać sobie odwagi.

– Pewnie wzięłaś z gabinetu ojca – odparła oschłym tonem, ale Izabella pokręciła przecząco głową.

– Nie wchodzę do tego jego sanktuarium. Myślałam, że wiesz.

Oczywiście, że Weronika i o tym wiedziała. Czy raczej zauważyła, gdy była jeszcze nastolatką, choć ani wtedy, ani potem nawet jednym słowem tego nie skomentowała. I dlatego teraz, gdy patrzyła na zdjęcie Mikołajskiego w dłoni matki, nie mogła pozbyć się złych przeczuc.

– Więc co? Dajesz mi do zrozumienia, że dostałaś tę fotografię od Staszka? – rzuciła, zanim ugryzła się w język. Niepotrzebnie to powiedziała, w dodatku takim tonem. Na przyszłość musi nauczyć się panować nad nerwami.

– Nie. Sama ją zabrałam z jego mieszkania – odparła głucho Reczyńska. – Być może nawet tego nie zauważył... Nie zdążył – dodała, zaciskając dłoń i gniotąc fotografię.

Poszły jednak dalej, zagłębiając się coraz bardziej w las. Czas przestał mieć znaczenie, a wilgoć i chłód, jakie były od gęsto rosnących drzew, tym razem zupełnie ich nie zniechęcały. Wręcz przeciwnie – obie, niezależnie od siebie poczuły, że po prostu muszą opuścić słoneczną, ciepłą polankę. Zrobiły to bez zbędnych słów i ustaleń, jakby uznały, że tak właśnie należy uczynić, bo to, co zaraz zostanie wypowiedziane na głos, powinno zostać ukryte w mroku i cieniu.

– Myślałam, że go nie cierpiałaś – odezwała się Weronika po dłuższej chwili milczenia. – Że podzielałaś w tej sprawie zdanie ojca.

Jak zresztą w każdej sprawie, dodała już tylko w myślach. Poza tym nadal czuła pustkę w głowie.

Reczyńska westchnęła. Nie patrzyła na córkę, wodziła wzrokiem po koronach drzew.

– Tak naprawdę rzadko podzielałam jego zdanie – odparła.

– Czyżby? Nie zauważyłam. Może faktycznie jestem mało spostrzegawcza – zauważyła cierpko córka.

Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że znacznie bardziej od niej spostrzegawczy Oskar także dostrzegał uległość matki wobec ojca. I nie tylko on.

Oskar... Ile naprawdę o tym wszystkim wiedział, a ile jedynie się domyślał? Już jakiś czas temu zauważyła, że niechętnie podejmował rozmowę na temat rodziców, ciotki Wandy i Staszka Mikołajskiego. Przynajmniej kilka razy dał jej do zrozumienia, że czas dać już temu spokój. Może faktycznie powinna była go posłuchać? Nie drażnić. Przecież z takim postanowieniem przyjechała na weekend do Jaktorowa. Nie zamierzała już stawiać rodzicom trudnych pytań, dając im tym samym do zrozumienia, że tamta kwestia jest już zamknięta. Miało być po prostu miło, prawie jak dawniej. Lecz zamiast tego już na wstępie zarzuciła ojca pretensjami, żalami – o zerwanie kontaktów z Wandą, o rozpad jej własnego małżeństwa. O to, że zawsze uważał, jakoby wszystko wiedział lepiej. A w każdym razie wyobrażał sobie, że lepiej od samych zainteresowanych wie, co ich uszczęśliwi, a co nie.

I pewnie gdyby nie tamta dyskusja z ojcem, nie doszłoby teraz do zaskakującego wyznania matki. Bo nie ulegało wątpliwości, że te dwie sprawy miały ze sobą związek. W każdym razie Weronika takich wątpliwości nie miała.

– Ale faktycznie, w kwestii Staszka i Wandy ja i twój ojciec mieliśmy, zupełnie paradoksalnie, podobne zdanie – uśmiechnęła się smutno Reczyńska, pozostawiając bez komentarza sarkastyczną uwagę córki. – Jan nie chciał, aby Staszek zawracał głowę Wandzie, i ja także tego nie chciałam. Choć z zupełnie innego powodu.

– Ojciec uważał, że to ryzykowne, wręcz niebezpieczne. Podejrzewał, że Staszek miał jakieś kontakty z podziemiem i nie chciał ewentualnych kłopotów. A poza tym miał opinię kobieciarza. – Weronika bezwiednie powtórzyła to, co kilkakrotnie już słyszała. Przyszło jej jednak do głowy, że chciałaby usłyszeć potwierdzenie z ust matki. Tak na wszelki wypadek...

Reczyńska skinęła głową.

– Tak właśnie było – rzekła.

– Ojciec na pewno nie należał do ruchu oporu?

Małe było prawdopodobieństwo, by chciał to po latach ukrywać, ale Weronika, pomna swoich wątpliwości, które wyraziła podczas rozmowy z Rozalią Ostrowską, wołała mieć całkowitą jasność także w tej kwestii.

– Skądże znowu! – odparła matka i na moment jej wargi wykrzywiły się ironicznie, co nie uszło uwadze Weroniki.

– Myślałam, że to akceptowałaś.

– Akceptowałam. Skoro żywił jakieś obawy, lepiej, że się nie angażował. W sytuacjach krytycznych nawet ci, wydawałoby się, bardzo odważni zawodzili. Nie wytrzymywali. A co dopiero osoby, które od początku miały różne wątpliwości. Które po prostu chciały przeżyć.

– Jak na przykład... ojciec?

Izabella ponownie skinęła głową.

– I jak Staszek – dodała po chwili.

Weronika zatrzymała się na ścieżce. Poczowała chłód rozchodzący się po całym ciele. To wina tego lasu, przekonywała sama siebie. Tego cienia, tych gęstych gałęzi. Nie dochodzi tu żaden promień słońca. Dlatego jest tak zimno.

Jednak nie przekonała nawet samej siebie.

– Chcesz powiedzieć, że Staszek Mikołajski jednak zdradził? – spytała cicho. – Że stchórzył i... poszedł na współpracę z gestapo albo...

– Staszek nie był tchórzem – odparła Reczyńska. Także się odwróciła i popatrzyła na córkę. W jej oczach pojawił się blask, jakiego Weronika nigdy wcześniej nie dostrzegła. – Miał jednak wątpliwości, i to od samego początku. Ale wątpliwości nie oznaczają tchórzostwa. Czasami trzeba wielkiej odwagi, aby je wyrazić.

Uważasz więc, że to ojciec dla odmiany był tchórzem? – chciała zapytać Weronika, ale po namyśle dała temu spokój. Ironiczny wyraz twarzy matki, gdy wspomniała o mężu, był tu chyba wystarczającą odpowiedzią. A poza tym w tym akurat momencie nie ta kwestia była najważniejsza. Wyznanie matki wstrząsnęło nią z zupełnie innego powodu.

– Coś was łączyło? Ciebie i Mikołajskiego? – spytała niepewnie. I natychmiast pojęła, że i tym razem odpowiedź jest zbędna. Ton głosu matki, błysk w jej oczach mówiły same za siebie. Reczyńska postanowiła jednak odpowiedzieć.

– Kochałam go. Chyba od samego początku, od momentu, kiedy go poznałam. Choć długo nie chciałam się do tego przyznać nawet sama przed sobą. I wmawiałam sobie, że ten facet mnie drażni. Zresztą, w pewnym sensie była to prawda. Miał w sobie coś, co drażniło. To, co mówił. Sposób, w jaki mówił. – Otuliła się dokładniej swetrem, jakby i jej zrobiło się zimno. – To wzbudzało niepokój.

Tuż nad ich głowami rozległ się krzyk ptaka podrywającego się z gałęzi do lotu. Obie kobiety mimowolnie drgnęły i jak na komendę spojrzały w górę. Wysoko, między koronami sosen widać było skrawek pogodnego nieba.

– Jak to? A ojciec? A... Wanda? – To było jedyne, co Weronika zdołała w pierwszej chwili z siebie wydusić.

– To właśnie twój ojciec poznał nas ze sobą. – Wargi Reczyńskiej drgnęły w ledwo dostrzegalnym uśmiechu. Jej oczy były pełne wspomnień. – Kilka tygodni przed wybuchem wojny. Nie chciałam pójść na to spotkanie. „To kuzyn twojej byłej dziewczyny” – przekonywałam, ale Jan mnie wyśmiał. „Masz jakieś staromodne obiekcje” – kpił – w każdym razie staromodne z punktu widzenia Staszka. A także jego kuzynki, bądź tego pewna”. I nawet coś dodał, że tamci dwoje nie zrobiliby z tego problemu. Są nowocześni i otwarci na innych. Zresztą Jadwiga ma już nowego chłopaka. A i Staszek nie jest typem seminarzysty albo zakonnika. Zmienia dziewczyny jak rękawiczki. Przyznam, że nie do końca spodobało mi się to, co usłyszałam. „Wygląda na to, że jesteś taki sam jak oni” – tak to jakoś ujęłam. Choć oczywiście nie miałam racji co do Jana. Był inny niż tamci. – Umilkła na chwilę. – Inny niż ja – dodała i ruszyła przed siebie.

Weronika potrzebowała czasu, by się poruszyć. Długo patrzyła na oddalającą się postać matki, daremnie próbując uporządkować chaos w głowie. Gdy wreszcie ją dogoniła, wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– No i...? Co było dalej? Czy w ogóle...

Czy w ogóle było jakieś „dalej”? – chciała dodać, ale nie dała rady. Być może dlatego, że za szybko biegła. Być może z innego powodu.

– Spodobał mi się od razu – podjęła matka. – Ale podobał się wszystkim dziewczynom, więc i ja nie byłam tu wyjątkiem. Czarnowłosa, ciemnooki, śniada cera. Taki, jak to mówią, orientalny typ urody.

– Jak ojciec – zauważyła Weronika.

Przez moment miała wrażenie, jakby rysy matki stężyły, ale może dlatego, że zacisnęła usta. A może było to tylko przywidzenie.

– Tak, mogłoby się wydawać, że byli do siebie podobni, ale... – zawahała się Izabella. – Jan był zawsze nienagannie ubrany i uczesany. Zawsze taki... w kancik. I dość wcześnie zaczął nosić okulary. Jako młody

chłopak miał opinię intelektualisty. Wiem, że teraz trudno ci w to uwierzyć, ale taki wówczas był. Intelektualista. Wzorowy student. To nas zresztą do siebie zbliżyło. Był bardzo odcytany, wymienialiśmy się więc książkami, a potem godzinami o nich dyskutowaliśmy. Łączyły nas zainteresowania. Nie nudziliśmy się ze sobą.

– A... Mikołajski?

– Staszek... – Reczyńska wzruszyła ramionami. Mówiła spokojnie, jakby rozważała każde słowo. – Był inny. Miał zawsze za długie i zmierzwione włosy. To znaczy zawsze wtedy, gdy go widziałam. Nie przywiązywał wagi do stroju, nie miał zresztą pieniędzy na eleganckie ubrania. A jednak... Było w nim coś z poety. Barda. Artysty. Uśmiechnięty, pełen życia, gdzie tylko się pojawiał, wprowadzał duże zamieszanie. Rozruszał każde, nawet najnudniejsze, najbardziej sztywne towarzystwo. Nie sposób było traktować go obojętnie.

– Więc od razu ci się spodobał? – Weronika ponownie przerwała ciszę, jaka na chwilę zapadła. Choć równocześnie nie mogła opędzić się od myśli, że to, co właśnie robi, ten spacer i rozmowa, to w istocie sen. Że to nie dzieje się naprawdę. Przecież nie mogło się dziać naprawdę. A jednak...

– Tak. Ale jednocześnie nie miałam wątpliwości, że bez wzajemności. Co zresztą nie było dla mnie nowiną. Rodzina Jana także nie wpadła w zachwyty na mój widok. Wanda nawet tego nie ukrywała. – W obojętnym tonie głosu Izabelli pojawiła się nutka goryczy i niechęci. – Więc nie dziwiłam się reakcji Staszka, ale... tym razem mnie to ubodło. Zdanie tamtych aż tak bardzo mnie nie obchodziło. Z nim jednak od początku było inaczej. Nigdy dotąd nie przykładalam wagi do niedostatków mojej urody i... garderoby. Życie nauczyło mnie być ponad to i nie przejmować się kąśliwymi uwagami złośliwych, małych ludzi. Traktować je z góry, z pogardą, a jeśli nie można już inaczej – zamknąć się w swojej skorupie.

Wydawało mi się, że mój pancierz był solidny. No cóż, myliłam się. I pewnie właśnie to wywoływało we mnie emocje i irytację, o które wcześniej nawet bym się nie posądzała.

W pobliskich zaroślach coś się poruszyło. Może spłoszony królik albo inne małe zwierzątko? Zaraz dojdziemy do rowu, za którym rosną paprocie, pomyślała Weronika. Czas zawrócić, dostatecznie się już oddaliły od domu. Mimo to szły dalej.

– Właściwie dlaczego wyszłaś za tatę? – spytała nagle. Przypomniała sobie, że kiedyś podobne pytanie zadała ojcu i nie doczekała się odpowiedzi. Czy i tym razem tak będzie? Czemu, na miły Bóg, niektórzy ludzie pobierają się, choć nie powinni? I czemu te małżeństwa mimo wszystko okazują się trwałe, podczas gdy inne, zawarte ze szczerą miłości, ponoszą klęskę? Równocześnie poczuła, że udziela się jej irytacja, o której wspomniała matka.

– Uważałam, że do siebie pasujemy – odparła nieco skonsternowana Izabella. – Mówiłam ci przecież, że...

– Tak, wiem. Prowadziliście intelektualne rozmowy. Może się mylę, ale to chyba jednak nie jest wystarczający powód, by brać ślub i zakładać rodzinę. Zwłaszcza że spodobał ci się ktoś inny. – Poniewczasie Weronika uznała, że chyba zagalopowała się z tym pełnym oburzenia tonem.

Jeszcze bardziej stropiła się jej matka. Podjęła jednak wyzwanie.

– Staszek podobał się wielu kobietom, ale żadnej nie traktował poważnie. Niektóre zdobywał, innymi nawet nie zawracał sobie głowy, tak czy inaczej, żadna nie mogła na nim polegać. Wcale tego nie ukrywał, choć niektóre łudziły się, że w ich przypadku będzie inaczej. Ja tych złudzeń nie miałam. A Jan był inny. Solidny, godny zaufania, poważny. Taki, z którym można zbudować coś trwałego. Który nie zawiedzie.

– Ale nie kochałaś go? – zauważyła z goryczą Weronika.

Do tej pory mimo wszystko zakładała, że rodzice, kiedyś, przed laty, musieli darzyć się jakimś uczuciem. Innymi słowy, musiało coś między nimi zaiskrzyć, musiała być jakaś chemia. Z samych intelektualnych rozmów o książkach, ze wspólnych zainteresowań i takich tam nie rodziły się ludziom dzieci.

– Gdy w trzydziestym dziewiątym Niemcy zaatakowali Polskę, Staszek wstąpił do wojska, brał udział w kampanii – odparła Izabella, nie odnosząc się do uwagi Weroniki. – Straciliśmy go potem na pewien czas z oczu. Myśleliśmy nawet, że może wycofał się z oddziałem do Rumunii.

Weronika wiedziała, że ojciec nie brał udziału w kampanii wrześniowej, bo jako student medycyny został zaangażowany w jednym z warszawskich szpitali. Pracował tam dniami i nocami ręka w rękę ze swoim ojcem. Z pewnością było to bardzo wyczerpujące, kiedyś o tym opowiadał, i nie miała prawa wątpić, by było inaczej. Tym razem jednak, zupełnie niespodziewanie, przyszło jej do głowy, że na froncie było mimo wszystko trudniej. Z pewnością zaś bardziej niebezpiecznie. Czyżby dziadek Reczyński uczynił, co w jego mocy, by ustrzec syna od ewentualnej śmierci na polu walki?

Pośpiesznie potrząsnęła głową; nie miała prawa snuć takich podejrzeń.

– Natknęłam się na niego kilka miesięcy później, to było w grudniu, tuż przed Bożym Narodzeniem – mówiła dalej matka. – W Warszawie, w okolicach Kercelaka, no wiesz, tego dawnego, jeszcze przedwojennego bazaru. Chciałam sprzedać zegar ścienny i kupić za niego, oczywiście na czarno, trochę żywności. Większość tak robiła, a przynajmniej starała się dokonać dobrej transakcji, wyprzedawano nawet pamiątki rodzinne, priorytetem było zdobycie jedzenia. Nie każdy jednak był dostatecznie sprytny. Na przykład mój „intelektualizm” nie na wiele się przydawał. Wtedy zobaczyłam Staszka. Przechadzał się po bazarze jak gdyby nigdy nic

i zanim do mnie dotarło, że to naprawdę on, zatrzymał się tuż przede mną. Dosłownie mnie zamurowało, oczom nie wierzyłam. „No co jest? – roześmiał się. – Ewentualne wieści o mojej śmierci były przesadzone”. „Nie wyjechałeś?” – zapytałam, bo tylko to przyszło mi wtedy do głowy. „No jakoś nie – odparł wesoło. – Po sezonie już mi się nie chciało”. Na dworze było lodowato, zima zaczęła się wcześniej niż zazwyczaj, i podobnie jak wszystkie okupacyjne zimy miała być ciężka i mroźna. Wokół ponura warszawska ulica, wszystko jeszcze nosiło ślady wrześnieowego, trzytygodniowego oblężenia, a ja głupia nagle poczułam, że robi mi się gorąco. Jakby wokół mnie zakwitła wiosenna przyroda. Przy Janku nie doświadczałam takich uczuć.

Więc czemu dalej przy nim tkwiłaś? – buntowała się w myślach Weronika. – Nie byliście jeszcze wtedy małżeństwem, mogłaś się łatwo wycofać.

Lato w sercu, wiosna wokół, świat nasycony pięknymi kolorami – nawet wbrew szarej rzeczywistości. To, co mówiła matka, było jej przecież dobrze znane. Także tego doświadczyła. I choć Izabella kilka minut temu wyjaśniła jej, z jakich powodów zdecydowała się pozostać z Janem, jakie cechy ceniła w swoim narzeczonym, jednak – zdaniem Weroniki – nie były to argumenty wystarczające, by przeważać siłę uczucia do Staszka. Nie powinna była wiązać się z jednym mężczyzną, skoro w sercu i myślach miała innego. To na ogół nie kończy się dobrze. Weronika wiedziała, że ona sama nigdy by tak nie postąpiła.

I zaraz potem uzmysłowiła sobie, że przecież w pewnym sensie postąpiła podobnie. Wybrała ojca, który zapewnił jej poczucie bezpieczeństwa, dostatek i oparcie. Odwróciła się od człowieka, na którym wprawdzie także mogła polegać, lecz który nie mógł zapewnić jej

wygodnej, dostatniej przystani. Kochał ją i ona jego kochała, lecz w zderzeniu z trudnymi wymogami codzienności wybrała miłość rodziców.

Nie jestem w niczym od niej lepsza, pomyślała niechętnie, patrząc na matkę. Nie miała prawa jej oceniać. Z drugiej strony prawda, taka całkowita, niewyselekcjonowana, potrafi boleć jak cholera. Wybebeszyć całe dotychczasowe życie, przewrócić je do góry nogami. Pewnie tego chcieli jej oszczędzić. Ojciec, matka, kto wie, może i ciotka Ostrowska?

Lecz na pewno nie Jadwiga Mielska.

To ostatnie spostrzeżenie sprawiło, że Weronika poczuła, jakby żołądek zawiązał jej się w supeł. Przypomniała sobie ich ostatnią rozmowę przy grobie Staszka.

– Staszek pomógł mi wtedy sprzedać ten zegar i wytargował całkiem niezłą sumę – kontynuowała Reczyńska. I choć jej głos brzmiał beznamiętnie (ile musi wkładać w to wysiłku, pomyślała mimowolnie Weronika), zdradzał ją błysk w oczach. Nad głosem jednak łatwiej zapanować niż nad spojrzeniem. – Zaproponował też, że zabierze mnie na wieś, do zaufanego chłopca, u którego zaopatrywali się on i rodzina jego kuzynki. Spytałam, dlaczego przez tyle czasu się nie pokazywał. Roześmiał się i odparł, że przecież cały czas się pokazuje, nigdzie się nie ukrywa. „Ale nie byłeś u Janka, a to przecież twój przyjaciel”. „Byłem u niego już dwa razy” – odparł – w połowie listopada i na początku grudnia. Nie mówił ci o tym? Pewnie jest zazdrosny”. I znowu się roześmiał, niczym z najlepszego żartu. Oczywiście spiekłam raka, co zauważył, bo jak gdyby nigdy nic poklepał mnie po ramieniu. „Przepraszam, nie gniewaj się. Tak mi się wyrwało”. Tak mu się wyrwało, rozumiesz? – powtórzyła ciszej Reczyńska i wyjąwszy z kieszeni okulary przeciwsłoneczne, zakryła nimi oczy. Choć słońce nie miało najmniejszych szans, by się przedrzeć do ścieżki, którą szły.

– I co? Powiedziałaś ojcu o tym spotkaniu? – zainteresowała się Weronika.

– Tak, tego samego dnia. Przy okazji spytałam, dlaczego ukrywał przede mną, że widywał się z przyjacielem. To wydawało mi się wręcz podejrzane. Wykręcił się od odpowiedzi. Coś tam mruknął. Dopiero później dowiedziałam się, że Staszek dał mu do zrozumienia, że był związany ze Służbą Zwycięstwu Polski, a potem, po jej rozwiązaniu przez emigracyjnego premiera Sikorskiego, ze Związkiem Walki Zbrojnej. Tak zrobiło wielu byłych żołnierzy, którzy pod koniec września nie przedostali się do Rumunii.

– Wiesz o tym wszystkim od taty?

– Nie – odparła głucho Reczyńska. – Od Staszka.

Przez kilka minut słychać było jedynie chrzęst rozdeptywanych na ścieżce patyków.

– Mikołajski nie bał się o tym mówić? – spytała wreszcie Weronika. – Przecież to była konspiracja. Chyba obowiązywała jakaś tajemnica, zasady, ostrożność, no sama nie wiem, jak to nazwać.

– Tak. Obowiązywały ścisłe zasady. Ale stale werbowani byli nowi ludzie. ZWZ, potem AK, Narodowe Siły Zbrojne, słowem polskie Podziemie było ewenementem na skalę europejską. Pod względem liczebności żadna organizacja konspiracyjna w Europie nie mogła się z nim równać. Oczywiście z wyjątkiem partyzantki jugosłowiańskiej. – Zaczerpnęła powietrza, jakby zmęczył ją ten nieco belferski wykład. A potem dorzuciła: – Ale Janek nie chciał się w to angażować. „Obiecuj, że nie będziemy już nigdy o tym rozmawiać. Ja nie chcę nic o tym wiedzieć” – zakomunikował Staszekowi. To nie była prośba, to brzmiało jak polecenie. Niczym warunek kontynuacji ich przyjaźni. Staszek zresztą w pełni to uszanował. Ani razu też nie nazwał Janka tchórzem i, jak zawsze mnie

zapewniał, nigdy tak o nim nie pomyślał. Uważał, że w organizacji powinni znaleźć się tylko tacy ludzie, którzy nie traktują tego jak przygody. Którzy mają pełną świadomość ryzyka i w razie czego nie pękają, choćby pasy z nich darto. Powiedział mi nawet, że jego zdaniem do konspiracji trafiło zbyt wiele przypadkowych osób. Tak liczne grono trudno było zweryfikować, a za to, niestety, dość łatwo inwigilować. Nie tylko Niemcy mieli w swoich szeregach krety. W rozbudowanych polskich konspiracyjnych strukturach też ich nie brakowało. Nie przeczytasz o tym w podręcznikach, oficjalnie niechętnie się o tym mówi, ale prawda nie zawsze jest przyjemna. Na ogół zresztą nie jest.

– Wiem – odparła Weronika, co odnosiło się zarówno do uwagi Izabelli na temat prawdy, jak i do funkcjonowania Polskiego Państwa Podziemnego. Jarek, kiedyś, przed wiekami, opowiadał jej o tych sprawach. Wtedy, gdy jeszcze byli razem i mieli czas, by rozmawiać o czymś innym niż o chorobach dzieci i ustawicznym braku pieniędzy.

– W każdym razie, jak to ujął Staszek, twój ojciec miał pełną świadomość tego, co oznacza podobne zaangażowanie. W przeciwieństwie do niektórych narwańców, którym marzyła się przygoda życia, ale nigdy na poważnie nie brali możliwości, że pewnego dnia mogą znaleźć się w katowni przy alei Szucha. Jasiek od początku brał to pod uwagę, tak właśnie powiedział Staszek. Postanowił, że przede wszystkim musi zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie. Oczywiście na tyle, na ile jest to możliwe w tych cholernych czasach. A potem jeszcze dorzucił, abym się go trzymała. To znaczy Janka.

– Kiedy ci to wszystko powiedział? – spytała coraz bardziej zaintrygowana Weronika. – Niedługo potem, gdy ponownie nawiązaliście kontakty?

– Nie, skądże znowu. Znacznie później. Na początku wcale nie był taki skłonny do zwierzeń. Janek był jego przyjacielem, dlatego napomknął mu o organizacji, ale ja przez długi czas byłam dla niego sporą niewiadomą. Dziewczyna kumpla, to wszystko. Przed wojną zdążyliśmy spotkać się raptem kilka razy, zawsze w większym gronie, i wówczas ani razu nie mieliśmy okazji pogadać w cztery oczy. Nawet zresztą gdyby taka okazja była, chyba nie znaleźlibyśmy wspólnego tematu. Jak już mówiłam, podobał mi się, ale uważałam, że mamy zupełnie inne zainteresowania. Nie miałam wątpliwości, że w duchu uważał mnie za nudziarę, zdecydowanie bardziej odpowiadał mu inny typ kobiet. Wesołych szczebiotek, takich bardziej do tańca niż do różańca, niespędzających nocy nad książkami. Wtedy, gdy spotkaliśmy się w grudniu trzydziestego dziewiątego, rzeczywistość wokół nas była już jednak zupełnie inna. Świat naszej młodości przestał istnieć. Lecz mimo to Staszek podszedł wówczas do mnie, zagadał i pomógł z tym zegarem, ale zrobił to tylko dlatego, że byłam narzeczoną jego przyjaciela. Pomógł mi bardziej przez wzgląd na Janka; ja jako kobieta nadal dla niego nie istniałam. Był miły i koleżeński, ale gdyby domyślił się, co się ze mną działo, gdy na niego patrzyłam, natychmiast dałby nogę. Nawet mu się nie dziwiłam, nigdy nie byłam atrakcyjna, a wtedy, gdy usiłowałam sprzedać ten zegar, wyglądałam nędzniej niż kiedykolwiek wcześniej. Jak ci już wspomniałam, nigdy nie przywiązywałam szczególnej wagi do wyglądu, ale wówczas, po spotkaniu z nim, gdy wróciłam do domu i popatrzyłam w lustro, po raz pierwszy pomyślałam, że wolałabym być jednak piękna niż mądra. A ponieważ piękna nie będę już nigdy, nie pozostaje mi nic innego jak trzymać się Janka. Dla twojego ojca bardziej liczyła się mądrość. Lekceważył piękne idiotki. Miałam wprawdzie żal, że nie powiedział mi o tym, że już wcześniej spotkał się ze Staszkiem, ale postanowiłam tego nie drażyć.

Zwłaszcza gdy napomknął, że przecież i tak nigdy nie przepadałam za jego przyjacielem. „Pamiętam, jak jeszcze przed wojną stwierdziłaś, że facet ma pusto w głowie – rzekł. Wprawdzie nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy tak powiedziałam, ale uznałam, że to bardzo możliwe. W taki sposób kamuflowałam moje zainteresowanie Mikołajskim. Beznadziejne, pozbawione wszelkich perspektyw zainteresowanie nieładnej dziewczyny kompletnie ją lekceważącym adonisem. Postanowiłam, że nadal będę się tak zachowywać. Ponownie wpasowałam się w starą zbroję. I dopiero potem dowiedziałam się, że była jeszcze inna, znacznie poważniejsza przyczyna, dla której Janek wzbraniał się przed informowaniem mnie o wcześniejszych spotkaniach z Mikołajskim. Napomykając ostrożnie o działaniach ruchu oporu, Staszek w jakimś sensie sondował twojego ojca, czy byłby zainteresowany włączeniem się do tej pracy. Jak już wspominałam, Janek natychmiast odrzucił taką możliwość, dając mi do zrozumienia, że nie chce nic wiedzieć ani o tym rozmawiać. Co jednak już nigdy potem nie dawało mu spokoju i w konsekwencji zaważyło na ich przyjaźni.

– A ty? Jak było z tobą? – zniecierpliwiła się Weronika. Mimowolnie zerknęła na zegarek. Zbliżała się druga. Czas było wracać do domu, przygotować niedzielny obiad, a potem pomału zbierać się do Warszawy.

Izabella także o tym pomyślała, bo odwróciła się na pięcie.

– Zawracamy. Zrobiło się późno. Zanim dojdziemy na miejsce, będzie prawie trzecia.

W oddali, z miasteczka doszedł jej odgłos dzwonu na kościelnej wieży. Znak, że skończyła się ostatnia popołudniowa msza.

– Jak było z tobą, mamo? – przypomniała już spokojniej Weronika. – Postawiłaś na tatę, wyszłaś za niego, ale przecież tamten nie zniknął

z waszego życia. Widywaliście go. Jak sobie z tym radziłaś? Zwłaszcza wtedy, gdy zaczął przyjaźnić się z Wandą?

Niestety za późno ugryzła się w język. Jeden rzut oka na matkę wystarczył, by gorzko pożałowała tych pytań. A jak się miała z tym czuć, idiotko? – zrugwała się w myślach. Tyle tylko mogła zrobić.

– Przepraszam – mruknęła. – Zagalopowałam się, nie musisz mi odpowiadać.

Izabella wzruszyła jednak ramionami i poprawiła okulary na nosie.

– Radziłam sobie. Miałam przecież na sobie dobrą zbroję, mówiłam ci. A sytuację ułatwiał fakt, że Staszek rzadko widywał się z Jankiem. Obaj mieli już inne priorytety. Ze mną wobec tego widywał się jeszcze rzadziej. Mimo to Janek poprosił go, aby został drużbą na naszym ślubie. Zdziwiłam się wtedy i przestraszyłam. „Nadal jest moim przyjacielem – wyjaśnił mi – nie mam bliższego. I nigdy już nie będę miał. A wojna kiedyś się skończy. Kiedyś przecież znowu będzie normalnie”. Normalnie? Miałam co do tego wątpliwości. A nasz ślub i wesele tylko to pogłębiły. Staszek oczywiście sprawdził się w roli drużby. Do takich funkcji był po prostu stworzony. Rozkręcił zabawę, wszędzie go było pełno. Sprawił, że na tych kilka godzin przestaliśmy myśleć o okupacji. Poprawił wszystkim humory, bo przecież bliżsi i dalsi krewni Jana nie byli, ogólnie rzecz ujmując, zachwyceni jego wyborem. Nawet ta stara ciotka, z którą przyszło nam później mieszkać w Bożanowie, wyraźnie się ożywiła. Nawet jej zakręcił w głowie. Żebyś ją wtedy mogła zobaczyć! Boki można było zrywać. I chyba tylko ja jedna w tym gronie udawałam, że dobrze się bawię. Nie mogłam. Wystarczyło, że spojrzałam na Staszka i Wandę. Wtedy zrozumiałam, że od tej pory będę już tylko udawała. Że nie będę szczęśliwa. Wściekałam się na nich oboje, ale bardziej jeszcze na siebie. Od początku widziałam, jak między nimi iskrzy, nigdy nie oszukały mnie te gładzenia, że wówczas była to tylko

przyjaźń. Nazywałam się w myślach skończoną kretynką, ale co to mogło zmienić? Ale wiedziałam, że jakoś temu sprostam. Nie z takimi rzeczami musiałam sobie wcześniej w życiu radzić. A poza tym... nie było już odwrotu. – Przystanęła na chwilę i rozsunęła suwak kurtki.

Zdaniem Weroniki wcale nie było ciepło, ale powstrzymała się od uwag. Dla matki rześkie powietrze nie miało w tym momencie znaczenia. Rozgrzewały ją dokładnie te same emocje, co wtedy, ponad czterdzieści lat temu.

– Postanowiłam jednak wyjść z cienia – kontynuowała Izabella. – Nie zachowywać się jak przygarnięty pies, który za wszelką cenę chce zyskać aprobatę nowych państwa i wobec tego jest posłuszny, nie szczeka bez pozwolenia. Doszłam do wniosku, że skoro Reczyńscy i tak mnie nie polubią, co najwyżej zaledwie zaakceptują, to nie będę zabiegać o ich przychyłność. Niech sobie myślą, co chcą, ja przynajmniej pokażę im, że mam swój rozum i własne zdanie. Do tej pory na ogół trzymałam język za zębami, nawet jak słyszałam uwagi, z którymi absolutnie się nie zgadzałam i miałam argumenty do dyskusji. Postanowiłam przestać milczeć. Wprawiłam ich wszystkich w niemąłą konsternację, gdy oświadczyłam, że niemieckie sukcesy na froncie wschodnim prędzej czy później się skończą, bo nie ma żadnej możliwości, aby Hitler mógł na dłuższą metę zastosować w Rosji tę samą taktykę co w innych, pokonanych już, krajach na kontynencie. Wojna błyskawiczna z pewnością nie sprawdzi się w tak rozległym państwie jak Związek Sowiecki. Hitler w końcu poniesie tam klęskę. A odważyłam się to powiedzieć już wtedy, gdy Niemcy zagłębiali się w Rosję niemal jak w masło, bo sowiecka armia, od samego początku zmuszona do defensywy, topniała z dnia na dzień z powodu setek tysięcy żołnierzy, którzy każdego dnia ginęli, masowo dostawali się do niewoli lub dobrowolnie się poddawali. Wobec tego na ogół spodziewano się, że

Niemcy niedługo odtrąbią kolejny sukces. Jakże ci wszyscy wujowie i teściowie się ze mnie śmiali! Cóż, potem, po bitwie pod Moskwą, po Stalingradzie i Kursku nikt się już nie śmiał.

– Znowu chcesz mi zrobić wykład z historii? – skrzywiła się Weronika. Miała wrażenie, że matka odchodzi od głównego wątku, a czasu zostało już tak niewiele.

– Tylko jeden człowiek mnie nie wyśmiewał – odparła Izabella, podejmując marsz. – Staszek był dokładnie tego samego zdania. Tylko że, niestety, od początku inaczej interpretował następstwa i skutki włączenia Sowieców do wojny. A kiedy na froncie wschodnim po Stalingradzie nastąpił przełom i Niemcy zaczęli się tam potykać o własne nogi, twierdził, że Zachód, zachwycony zwycięstwem sowieckiej armii, najpierw pod Moskwą, a potem Stalingradem, prędzej czy później padnie na kolana przed Stalinem, pocałuje go w pierścionki i wobec tego nie kiwnie palcem w naszej, polskiej sprawie. Wielkim zachodnim decydom nie drgnie powieka, gdy Stalin wystawi im rachunek za to, że Armia Czerwona w tak dużym stopniu przyczyniła się do klęski Hitlera. A ceną tego będzie środkowa i wschodnia Europa, oczywiście z nami na czele. Co w połączeniu z faktem, że nasz kraj stanie się terenem wyniszczającej wojny między dwoma totalitarnymi państwami, będzie dla nas oznaczać prawdziwą katastrofę. Pamiętam, jak bardzo zbulwersowały mnie te słowa. A dzięki mojej wcześniejszej trafnej diagnozie wojennej czułam się już zdecydowanie bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek wcześniej w życiu. Udowodniłam przecież, że potrafię być wnikliwą obserwatorką. Wobec tego uwierzyłam, że i w dalszych prognozach jestem nieomylna. „To czyste spekulacje, wierutne bzdury” – warknęłam. – „Bzdury – powtórzył cicho – bynajmniej. Niemcom potrafimy dać opór nawet w warunkach okupacji. Jedni mniej, inni bardziej, ale większość narodu jakoś się im stawia. Wygrali z nami w trzydziestym

dziewiątym, ale jako okupanci, pomimo całego swojego bestialstwa, są w gruncie rzeczy wobec nas bezradni. Jednak z Sowietami będzie to wyglądało inaczej. Większość z nas prędzej czy później wejdzie im w dupę”. Po czym, doskonale to pamiętam, dodał, że Niemcy robią z nas bohaterów, a Sowietci zrobią z nas gówno. Nie on to wymyślił, od razu dał do zrozumienia, że gdzieś usłyszał lub przeczytał taką opinię, ale zaznaczył, że w pełni się z nią zgadza. Oburzyło to prawie wszystkich obecnych przy rozmowie. Ja niemal się zagotowałam. Zaczęłam krzyczeć, że nie ma prawa mówić w taki sposób. A on na to, że ma pełne prawo głosić taki pogląd, bo wystarczająco dużo wie na temat bolszewizmu. Jego dziadkowie prawie cudem wydostali się w osiemnastym roku z ogarniętej rewolucją i wojną domową Rosji. A piekło, jakie tam rozpętali bolszewicy, nie ma sobie równych. I dodał, że to samo czeka każde państwo i każdy naród, który znajdzie się na trasie przemarszu Sowietów. Są oni zdolni zniszczyć podstawy europejskiej cywilizacji, tak jak zniszczyli kulturę i społeczeństwo przedrewolucyjnej Rosji. Gdy to usłyszałam, poczułam ciarki na plecach, ale postanowiłam, że nie dam poznać po sobie niczego poza oburzeniem. „Przecież nikt na to nie pozwoli” – odparłam, ale tym razem usłyszałam niepewność we własnym głosie. Wtedy uśmiechnął się, może nie tyle pobłaźliwie, co ze smutkiem. „Brak czyjegokolwiek pozwolenia nie będzie miał tu znaczenia. Tym bardziej że większość na to jednak pozwoli”. Słyszając to, jeszcze raz przystąpiłam do ataku. „Tylko czekam, aż publicznie zaczniesz rozgłaszać za niemiecką propagandą, że tylko oni mogą ocalić cywilizację europejską przed bolszewicką barbarią” – szydziłam. Zarzuciłam mu wręcz, że jego słowa można zinterpretować jako zdradę, co skwitował jedynie wzruszeniem ramion. Wreszcie twój ojciec kategorycznie przerwał tę dyskusję i tonem nieznoszącym sprzeciwu zażądał, abym podała herbatę. Ale długo nie mogłam przejść nad tym

wszystkim do porządku dziennego. Gdy jakiś czas potem dowiedzieliśmy się, że Staszek został zatrzymany w ulicznej łapance, pozwoliłam sobie nawet na sarkastyczną uwagę, że Mikołajski z pewnością jakoś się z tego wywinie. „Wystarczy, że zezna Niemcom, że to właśnie w nich widzi jedyne wybawienie przed zagrożeniem od czerwonej zarazy” – zakpiłam, zanim ugryzłam się w język. Wtedy twój ojciec po raz pierwszy kazał mi się zamknąć. Do tej pory nie zwracał się do mnie w ten sposób. Lecz potem, gdy dotarła do nas kolejna wiadomość, że udało się wyciągnąć Stacha z Pawiaka, znowu nie wytrzymałam i powiedziałam Jankowi, że to bardzo podejrzane i niewykluczone, że cała ta sprawa ma drugie dno. Twój ojciec ponownie się na mnie rozgniewał i prawie przestał się do mnie odzywać. I dopiero wtedy się opamiętałam, a nawet pożałowałam, że dałam się ponieść emocjom. Tym bardziej że w głębi duszy nie wierzyłam, by Staszek zrobił coś nagannego. Potem zresztą zrozumiałam, że to właśnie jego polityczne przewidywania okazały się trafne. – Matka szła teraz bardzo szybko, Weronika z trudem za nią nadążała. – W gruncie rzeczy były to sprawy dla mnie drugorzędne. Bo dyskutując z nim, spierając się, a nawet zarzucając mu zdradę, jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że gdyby tylko kiwnął palcem, z pewnością bym mu się nie oparła. Choć przecież wiedziałam, że prawdopodobnie byłabym tylko kolejną jego zdobyczą... Choć wiedziałam o nim i o Wandzie...

Rozdział 16

1943/1944

W kwietniu czterdziestego trzeciego roku oznajmiła Staszкови, że to ona się myliła, i to bardzo, w zasadniczych kwestiach dotyczących wojny i polityki. Miało to miejsce wkrótce po ogłoszeniu przez Niemców wiadomości o odkryciu przez nich katyńskich dołów śmierci, który to fakt dość szybko został potwierdzony przez niezależnych ekspertów i świadków ekshumacji ciał polskich oficerów. Wstrząs, jaki ta informacja wywołała w polskim społeczeństwie, wzmógł się jeszcze bardziej, gdy na łamach prasy i przez uliczne głośniki Niemcy zaczęli ogłaszać nazwiska zidentyfikowanych ofiar. Oczywiście kłamstwo sowieckich władz, które odżegnały się od zbrodni, zrzucając całą winę na Wehrmacht, a także niemrawa reakcja Zachodu, dodatkowo dopełniły miary oburzenia, przygnębienia, wreszcie poczucia niesprawiedliwości, a zarazem bezradności.

Izabella nie była tu wyjątkiem; przez długi czas nie mogła sobie potem znaleźć miejsca.

– To ty miałeś rację – rzekła, gdy Staszek Mikołajski po dłuższej nieobecności ponownie zawitał do Bożanowa.

Nie zapowiedział się z wizytą, dlatego nie zastał Jana. W pierwszej chwili dał do zrozumienia, że przyjedzie innym razem, a teraz nie będzie jej dłużej niepokoił. Izabella domyśliła się, że nie uśmiechała mu się perspektywa oczekiwania na powrót przyjaciela tylko w jej towarzystwie, i po prawdzie wcale mu się nie dziwiła. W przeszłości przecież niejednokrotnie bywała dla niego niemiła, łagodnie mówiąc. Dlatego teraz, nie zwlekając, oświadczyła, że w kwestii ich wcześniejszych dyskusji i sporów jest gotowa przyznać mu rację. Miał ją zresztą od samego początku. Jego ponure przewidywania co do losu, jaki po wojnie czeka Polskę, Polaków i inne narody Europy, też z pewnością się sprawdzą.

Nie okazał zaskoczenia. Spojrzał na nią z pełnym rezygnacji uśmiechem i westchnął.

– A zatem, jak rozumiem, nie będziemy już toczyć naszych ognistych sporów? Wielka szkoda, naprawdę to lubiłem.

– A ty znowu żartujesz – nadała się, że nie potraktował poważnie jej wyznania.

– Nic podobnego. Jesteś chyba jedyną kobietą, w obecności której musiałem być stale czujny i uważny. Gdzie mi tam było do żartów!

Wiedziała oczywiście, że wciąż trochę sobie z niej kpił, nawet więcej niż trochę, ale nie gniewała się na niego. Miał prawo z niej kpić, bo do tej pory zawsze odmawiała mu racji i w dodatku czasami używała argumentów, których się teraz z całego serca wstydziła. Uczciwość nakazywała jej się do tego przyznać.

– Nie rób sobie żadnych wyrzutów – odparł i tym razem w jego głosie nie doszukała się nawet nutki kpiny. Patrzył na nią życzliwie jak nigdy dotąd. Miękła niczym wosk pod tym spojrzeniem i zdawała sobie sprawę, że on o tym wiedział – miał przecież w tej kwestii spore doświadczenie – ale nic nie mogła na to poradzić.

– Pozwoliłam sobie kiedyś na nazwanie twoich poglądów zdradą. – Sama nie wiedziała, czy zarumieniła się z powodu tamtego wspomnienia, czy też raczej dlatego, że w jego spojrzeniu po raz pierwszy dostrzegła autentyczne zainteresowanie. Do tej pory żaden mężczyzna tak na nią nie patrzył, nawet jej własny mąż. – Tak mi wstyd...

– Zapewniam cię, że słyszałem pod moim adresem znacznie bardziej sążniste uwagi. – Nagle spoważniał. – Tak, wiem, że miałem rację. Od początku to zresztą wiedziałem. A jednak oddałbym wszystko, gdyby mogło się okazać, że tym razem to ja się pomyliłem.

– Może teraz wielu ludzi zacznie podzielać twoje poglądy. Zwłaszcza ci, którzy popierali podpisanie układu Sikorski-Majski, o polskich władzach emigracyjnych nie wspominając. Może... – wyliczała jednym tchem, poruszona jego słowami i powagą w oczach. Powagą, którą tak rzadko do tej pory w nich widywała.

Wykrzywił twarz w pełnym powątpiewania uśmiechu. Wzruszył ramionami.

– Nie przypuszczam, aby tak się stało. A gdyby nawet, to już i tak bez znaczenia. To pod Moskwą nastąpił przełom na froncie wschodnim. Pod Moskwą, nie pod Stalingradem. Stalingrad to jednak potwierdził. Nie mam wątpliwości, że nic już nie powstrzyma czerwonoarmiejców w triumfalnym marszu na Zachód. A my jesteśmy pierwsi na ich drodze.

Jego słowa przejęły ją zgrozą, dokładnie taką samą jak wówczas, gdy po raz pierwszy mówił o tych sprawach. Wtedy nie chciała mu wierzyć, teraz w pełni podzielała jego poglądy, a jednak w tym momencie zapragnęła usłyszeć od niego słowa, które by ją uspokoiły. Dały choćby cień nadziei.

– A może jednak nie będzie z nami tak źle? – zauważyła nieśmiało. – Przecież to, co zostało ujawnione w Katyniu, nie może tak po prostu ujść

Stalinowi na sucho. Może politycy brytyjscy i amerykańscy przestaną się z nim teraz poklepywać.

Nie przekonała jednak samej siebie.

– Już uszło mu to na sucho – odparł, przenosząc spojrzenie na zieleniące się krzewy za oknem. W oddali widać było skrawek stawu, który okalał Bożanowo od południowego wschodu. Tylko z okna salonu można go było dostrzec i pewnie dlatego wszyscy tak lubili ten pokój. Zarówno domownicy, jak i goście. Staszek podniósł się i podszedł do okna, dlatego nie mogła teraz zobaczyć jego twarzy. Słyszała jednak, co mówił, a każde słowo przejmowało ją bezradnością i przygnębieniem. – Świat od dawna nie ma większych złudzeń co do Stalina, w każdym razie nie przypuszczam, aby politycy, o których przed chwilą wspomniałaś, takowe złudzenia mieli. Mimo to z pewnością nie zerwą z nim współpracy. Nie z powodu katyńskich dołów śmierci. Ani z żadnego innego powodu.

– To straszne, co mówisz. – Nie mogła zapanować nad drżeniem głosu.

– Dlaczego? Niestety, taka jest logika dziejów, która jednoznacznie pokazuje, że polityka to czysty pragmatyzm. A jej warunki dyktują silniejsi, nawet jeśli obiektywnie nie mają racji.

Postanowiła spróbować nie poddać się temu pesymizmowi.

– Jednak trochę przesadzasz. Mamy cały szereg przykładów w historii, który zaprzecza takiej teorii. Cały szereg szlachetnych postaw...

– Jakich? Podaj, proszę, przykłady.

Poczuła się niezręcznie. Nie dlatego, że nie umiałyby ich znaleźć – prędzej czy później by je przywołała – tylko dlatego, że o każdym z nich można było dyskutować w czasie pokoju. Rzeczywistość wojenna, okupacyjna, cały ten koszmar, który w mniejszym lub większym stopniu dotknął ludzi na niemal całym globie, sprawiały, że nie bardzo mogła

bronić swojej teorii, jakoby dobro miało zwyciężyć nad złem. Niestety, jak dotąd przegrywało i nic nie zapowiadało, by coś miało się zmienić.

Z kłopotliwej sytuacji wybawiło ją nadejście ciotki Janiny. Nie znosiły się wzajemnie i na ogół schodziły sobie z drogi, co na szczęście ułatwiał fakt, że zarówno dwór, jak i obejście wokół niego były sporych rozmiarów. Tym razem starsza pani naruszyła jednak tę niepisaną umowę między nimi i weszła do salonu, choć z całą pewnością dobrze wiedziała, że Iza podejmuje tam gościa.

– Dziecko płacze, nie słyszysz? – oznajmiła oschle.

– Nie słyszałam, ale dziękuję, że ciocia wykazała tyle troski – odparła identycznym tonem Izabella. Podniosła się z ociąganiem. – Wybacz, zostawię cię na chwilę... – zwróciła się do Staszka.

– Oczywiście – skłonił się Mikołajski i natychmiast zauważyła, że niemal dusił się od tłumionego śmiechu.

– Ja dotrzymam panu towarzystwa – rzekła z godnością ciotka. – I z łaski swojej podaj nam herbatę – zwróciła się do Izy, dając do zrozumienia, co myśli o manierach młodej Reczyńskiej. Zapewne biadoliła przy tym w duchu, że taka prostaczka została panią na Bożanowie. Nie takie dziedziczki tu do tej pory panowały. Starsza pani była przekonana, że nawet zmienione warunki życia, wojna i groza okupacji nie są wystarczającym wytłumaczeniem dla łamania podstawowych zasad etykiety.

Następna okazja do bezpośredniej rozmowy nadarzyła się dopiero kilka miesięcy później. W międzyczasie kilka razy odwiedziła ich Wanda, trzy razy w towarzystwie rodziców, raz sama. O Staszku nikt nawet się nie zająknął. Wreszcie, pewnego dnia, gdy ponura, listopadowa aura szczególnie dawała się we znaki, Iza nie wytrzymała i zapytała o niego swojego męża.

– Dawno go u nas nie było. Stało się coś? Poróżniliście się? – Starła się, aby jej pytania zabrzmiały obojętnie, choć przecież sam fakt, że w ogóle padły, mógł wydać się Janowi podejrzany. Jednak nawet jeśli tak było, niczego nie dał po sobie poznać.

– Powinnaś być zadowolona – odparł, nie podnosząc nawet oczu od naprawianego płotu. – Nie lubisz go przecież.

Jakiś ty niedomyślny, pomyślała z ironią. I dzięki Bogu, że taki właśnie jesteś.

Pobujała na rękach córeczkę, która zaczynała już marudzić.

– Zabierz dziecko do domu – rzucił przez ramię mąż. – Taka paskudna mgła, zaraz na dobre się rozpada. Do tego zimno jak cholera.

I tak na powietrzu jest dużo przyjemniej, pomyślała, z niechęcią zerkając na modrzewiowy dworek. Bożanowo podobało jej się wiosną, gdy wszystko wokół kwitło, tworząc prawdziwy raj, a także podczas letnich upałów, gdy chłodne pokoje i korytarze, a także pełen zieleni ogród, dawały wytchnienie. Lubiała je nawet zimą, gdy śnieg tworzył wokół bajkową scenerię. Na pewno jednak nie późną jesienią – wtedy krótkie, ponure dni przyprawiały ją w tym miejscu o zawrót głowy i bardziej niż kiedykolwiek tęskniła za Warszawą. Nawet jeśli rozsądek podpowiadał, że w Bożanowie było bezpieczniej.

– To wcale nie jest tak, że go nie lubię – odparła z wahaniem, zupełnie ignorując mężowskie polecenie. – Ostatnio, gdy nas odwiedził, jeszcze wiosną, bardzo dobrze mi się z nim rozmawiało. Przyznałam mu w kilku sprawach rację.

Nie była pewna, jak mąż przyjmie jej słowa, ale wyglądało na to, że całą uwagę skupił na belce płotu. Nigdy wcześniej nie parał się taką robotą, nie musiał. Ale czasy się zmieniły i wyglądało na to, że już nic nie będzie

takie jak wcześniej. Trzeba było stawiać czoła nowym wyzwaniom. Na przykład nauczyć się naprawiać płoty.

– To nie jest dobra pora na wizyty – mruknął.

– Wiem, koszmarna pogoda – przyznała, rozglądając się sceptycznie po zwisających smętnie gałęziach drzew w ogrodzie i po kałużach w obejściu i na drodze. – Ale może za kilka miesięcy? Na wiosnę...? – Wierzgająca na wszystkie strony Weronika coraz bardziej ciążyła jej na rękach. Na litość boską, czy musiała ciągle marudzić? Kochała to dziecko, ale bywały takie dni, że córeczka ciążyła jej niczym kamień młyński u szyi. Nie była pewna, na ile szczerości może sobie teraz pozwolić, ale postanowiła zaryzykować. – Nie chciałabym, abyś z mojego powodu przestał widywać się ze swoim przyjacielem. Abyś z mojego powodu przestał go tu zapraszać. To, co kiedyś o nim mówiłam, jest już bez znaczenia. Zmieniłam zdanie na jego temat.

– Nie chodzi o ciebie – odparł, sięgając po młotek. – Naprawdę przypuszczasz, że mogłabyś mieć jakikolwiek wpływ na to, kogo mam ochotę zapraszać do mojego domu?

Przywykła w życiu do słów, które ją raniły. Po śmierci rodziców musiała przyjąć do wiadomości, że większość ludzi nie będzie się z nią cackać. Już jako dziecko przywdziała pancierz, który miał jej pomóc w walce z ludzką złością i niechęcią. Przybrała maskę osoby zamkniętej w sobie, nieprzystępnej, niekiedy oschłej – to była forma jej obrony przed światem. Ale żaden pancierz nie jest na tyle szczelny, by zapobiec zranieniu. Zawsze o tym wiedziała i przez te wszystkie lata powinna była do tego przywyknąć. A jednak... nie potrafiła. Słowa, które przed chwilą skierował do niej mąż, ton, jakim zostały wypowiedziane, smagnęły ją niczym pejcz. Powinna się obrazić i odejść, a potem nie odezwać się do niego przez kilka dni. Nic by to jednak nie dało – co do tego nie miała wątpliwości. Zresztą

niewykluczone, że liczył na taką reakcję, o ile w ogóle zwróciłby na nią jakąkolwiek uwagę. Przełknęła więc ten afront i spytała:

– Jeśli nie chodzi o mnie, to o kogo? A może... o co?

– Zabierz dziecko do domu, zanim się przeziębii. – Tym razem podniósł nieco głos. Być może zresztą dlatego, że córeczka darła się już wniebogłosy.

Stłumiła łzy, przytuliła dziecko (choć w pierwszym odruchu miała ochotę rzucić je na zabłoconą ziemię) i bez słowa odwróciła się na pięcie. W tym momencie dotarło do niej, że właściwie znała odpowiedź na swoje pytanie. Wanda. Oczywiście chodziło o tę smarkulę i jej zauroczenie Staszkiem, odkąd ponownie, po blisko roku nieobecności, pojawił się w jej życiu. Zauroczenie, którego nikt w rodzinie nie potrafił wybić jej z głowy, co niechybnie prowadziło do tego, że wszyscy w końcu zaakceptują ten stan rzeczy. Byli bezradni wobec każdego kaprysu tej panienki, odkąd wydała pierwszy wrzask na tym świecie. Iza nie miała wątpliwości, że tylko ona nigdy nie zaakceptuje nowej zachcianki swojej szwagierki. Tego, aby w kolekcji spełnionych kaprysów znalazł się także Staszek Mikołajski. Lecz jednocześnie zdawała sobie sprawę, że i ona była bezradna, nie mogła przeszkodzić Wandzie w niczym. Kiedyś przecież próbowała na nią wpłynąć i nic dobrego z tego nie wyszło. Do tej pory wrzała w niej krew, gdy przypominała sobie reakcję tamtej. Była więc bezsilna jak cała reszta i mogła tylko pomstować w duchu. Gówniara jedna, co ona sobie wyobraża?! Że jest tą jedyną i najważniejszą w jego życiu? Tak naprawdę była przecież tylko jedną z wielu. Lecz, na Boga, czemu Staszek, taki przecież mądry, inteligentny i odcytany, zadawał się z taką gąską jak Wanda?! Z głupim, rozpieszczonym nieukiem, który nie miał do powiedzenia niczego interesującego!

I dopiero potem uprzytomniała sobie, że Wanda nie była już szesnastoletnim dziewczątkiem, które kiedyś, jeszcze przed wojną, przedstawił jej Jan. Ona także w międzyczasie wydorosłała, jak wszyscy inni wokół.

Nie zerwałś kontaktów ze Stachem i nigdy nie zerwiesz, właśnie ze względu na nią, pomyślała Iza, zwracając się w duchu do męża. Nie było przecież szans, aby zechciał jej wysłuchać. Nie ufasz mu, podejrzewasz, że on w dalszym ciągu utrzymuje swoje konspiracyjne kontakty, co może rykoszetem odbić się na całej rodzinie. Ale właśnie dlatego, że się boisz, by nie skrzywdził twojej siostruni, nie przestaniesz się z nim widywać. W miarę możliwości zrobisz wszystko, by nie spuścić go z oczu.

Tyle że Jan będzie wolał realizować swój plan w Warszawie, zresztą gdziekolwiek, byle nie tu. Nie w Bożanowie. I wcale nie ze względu na mnie, analizowała gniewnie Izabella, w przeciwieństwie do Wandusi nie zasługuję na żadne ceregiele.

Oburzenie, jakie teraz odczuwała, przykrość, której doznała, walczyły o lepsze z coraz większym rozżaleniem. Mąż zawiódł jej oczekiwania; nie tak sobie kiedyś wyobrażała ich wspólne życie. Przecież w swoim czasie postawiła na niego, bo uważała go za solidnego, uczciwego człowieka, miała więc prawo przypuszczać, że jeśli nawet nie okazywał miłości w żarliwy i romantyczny sposób, z pewnością będzie ją szanował i nigdy jej nie zawiedzie. To przecież bardzo ważny warunek udanego związku i trwałego małżeństwa. To, a nie gwałtowne miłosne uniesienia, które na ogół z biegiem lat się ulatniają. No cóż, myliła się. Wprawdzie nie po raz pierwszy w życiu i – jak się miało okazać – nie ostatni, ale w sposób wyjątkowo bolesny. Okazało się bowiem, że mąż wcale jej nie szanował, a do tego kompletnie się z nią nie liczył. Z ich niekończących się niegdyś rozmów nic już nie zostało. Oczywiście, że czasy, w których przyszło im

żyć, miały się nijak do tego, co było przed wojną, ale przecież inne pary nie przestały ze sobą rozmawiać i dzielić się swoimi myślami. Ich to jednak już nie dotyczyło.

Tak naprawdę nigdy mnie nie kochał, a teraz po prostu mnie lekceważy. Nie znacę dla niego więcej niż zwykła służąca, która zajmuje się dzieckiem i domem. J e g o domem. Może zresztą tak naprawdę zawsze mnie lekceważył?

Gniew i urażona duma jeszcze bardziej się wzmożyły, gdy pomyślała o Wandzie. I nie tylko dlatego, że w przeciwieństwie do niej smarkata mogła być pewna bezwarunkowej miłości swojego brata. Także z innego, nie mniej ważnego, a nawet ważniejszego powodu.

Gdy znalazła się już w domu, umieściła krzyczące dziecko w kojcu i stanęła przed lustrem. Każdego dnia zatrzymywała się przed nim bodaj na chwilę, choćby po to, by poprawić uczesanie lub przekrzywiony kołnierzyk. Na nic innego nie miała czasu, zresztą nigdy nie mizdrzyła się przed zwierciadłem. Tym razem jednak to zrobiła i... skrzywiła się z dezaprobatą. Nic dziwnego, że nawet przestał na mnie patrzeć, przemknęło jej przez głowę. Początkowo miała na myśli męża, zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że w identyczny sposób musieli oceniać jej wygląd także inni mężczyźni. Na ogół jej to nie obchodziło, była świadoma defektów swojej urody, ale podchodziła do tych kwestii zupełnie obojętnie. Teraz uzmysłowiła sobie, że jednak ją to obchodzi, nawet bardzo. Skoro do tej pory nie miało to dla niej znaczenia, to znaczy, że była głupia. Ni z tego, ni z owego zaświtała jej w głowie myśl, że chciałaby zobaczyć błysk podziwu w oczach Jana. I bynajmniej nie tylko dla tych powodów co niegdyś, gdy z zainteresowaniem słucał, jak rozprawiała o kwestiach, które tak ich wówczas pasjonowały.

Nie mogła się jednak oszukiwać – znacznie bardziej zależało jej na podziwie w oczach Staszka Mikołajskiego. Na takim samym błysku jak ten, który kiedyś dostrzegła, gdy wpatrywał się w Wandę.

Na mnie nikt tak nigdy nie patrzył, dumiała ponuro, a ja uważałam, czy też wmówiłam sobie, że to bez znaczenia. Że mądrym kobietom takie spojrzenia uwłaczają, a pochlebiają jedynie głupim gąskom o ptasich mózdkach. Takim jak Wandeczka i cała zgraja podobnych idiotek. A kim ja tak naprawdę jestem?

Z lustrzanego odbicia patrzyła na nią chuda kobieta o kanciastej sylwetce, zaczesanych gładko z czoła szaroburych włosach, bladej twarzy z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Brwi i rzęsy miała tak jasne, że niemal nie było ich widać, zmęczone oczy sprawiały wrażenie zupełnie bezbarwnych i zapadniętych. Szara, domowa sukienka także bynajmniej jej nie zdobiła. Do identycznych wniosków doszła kilka lat temu, w grudniu trzydziestego dziewiątego roku, gdy po niespodziewanym spotkaniu ze Staszkiem na warszawskim Kercelaku wróciła do domu i tak jak dziś wpatrywała się w lustro. Później przestała zawracać sobie tym głowę, miała przecież poważniejsze problemy, teraz jednak odniosła wrażenie, że czas się cofnął. Do chwil, gdy nie była jeszcze żoną Jana Reczyńskiego, gdy mogła inaczej ułożyć swoje życie. Czemu tego wówczas nie zrobiła? Jak mogła tak się pomylić?

Drgnęła, gdy skrzypnęły drzwi, a w odbiciu lustra oprócz siebie zobaczyła jeszcze jedną koszmarną postać – ciotkę Janinę, która od lat nie pokazywała się ludziom inaczej niż w żałobnej czerni.

Nie dziwota, że Jan stał się ostatnio taki, a nie inny, pomyślała z sarkazmem Iza, skoro na co dzień towarzyszą mu takie dwa straszdyła jak ja i ta stara wiedźma. Cholerna pustelnia. Cholerne Bożanowo. Poczwała, że

wzbiera w niej gniew. Musiała go wreszcie na kimś wyładować. Starsza pani patrzyła na nią jeszcze bardziej krytycznie niż zazwyczaj.

– Nie słyszysz, jak to dziecko krzyczy? – Wskazała na mokrą, a zarazem czerwoną od wrzasku Weronikę. – W całym domu nie sposób zebrać myśli.

Nie sposób zebrać myśli? Ty stara kwoko!

– To może niech się wreszcie ciocia weźmie do jakiej konkretnej roboty – odparła ironicznie Iza, odwracając się od lustra. – Wtedy rozbiegane myśli wskakują na właściwe tory. Proszę mi wierzyć, wiem, co mówię.

Ciotce Janinie na moment odjęło mowę. Nigdy dotąd nie spotkała się z podobną reakcją ze strony tej na ogół spokojnej i potulnej młodej kobiety.

– To niesłychane – zabalgotała, gdy tylko udało jej się wydobyć głos. – No... To po prostu bezczelność, aby taka... Nie wiadomo skąd...

– Bezczelnością i oznaką złego wychowania jest wchodzić do czyjegoś pokoju bez pukania. Kiedy wreszcie ciocia przyjmie to do wiadomości? – Iza miała wrażenie, jakby wyrastały jej kły i pazury. Przecież nigdy dotąd nie sprzeciwiła się w niczym tej starej wiedźmie, a w każdym razie nigdy tak otwarcie tego nie okazała. I bodaj ani razu nie zaprotestowała, gdy tamta nawiedzała ją bez pukania.

– Nie zapominaj się – usłyszała w odpowiedzi.

Bo co? Ty również mi powiesz, że w swoim domu możesz robić wszystko, co uznasz za stosowne? Z jakąż rozkoszą wpakowałaby tej starej do gardła takie słowa. I nie tylko słowa. Ostatniej myśli sama się przestraszyła, dlatego tym razem poprzestała na pełnym wzgardy milczeniu. I bez tego ciotka była wystarczająco oburzona i zszokowana. W każdym razie na tyle, że burknąwszy coś jeszcze pod nosem, wyszła, a Iza ponownie wróciła do lustra.

– To się zmieni, musi się coś zmienić – szepnęła, wyciągając szpilki z włosów. Włosy miała gęste, sięgające ramion; uwolnione z ciasnego węzła nie sprawiały wrażenia szarych i matowych. Przeciwnie – zalśniły tak, jakby przeświecały przez nie promienie słońca.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób miałyby się dokonać ta zmiana ani nawet, co konkretnie miałyby się zmienić, niemniej uchwyciła się tej myśli. Zapragnęła przynajmniej raz w życiu poddać się jakiemuś szaleństwu, przestać zajmować się wyłącznie codziennymi obowiązkami, zrobić coś, co sprawi jej autentyczną radość i co będzie wspominała przez resztę swoich dni. Czemu nigdy dotąd nie pozwalała sobie na takie marzenia?

Wiedziała czemu. Tak jak wiedziała, dlaczego robi to dopiero teraz.

Na razie musiała jednak wrócić z obłoków na ziemię. Ponownie zebrała i spięła włosy. Potem wyjęła dziecko z kojca. Było całe mokre z powodu mżawki na dworze, z powodu krzyku i płaczu. Przebrała je w suche ubranko i zmieniła pieluszkę. Gdy wreszcie ukołysała córeczkę do snu, udała się do kuchni.

Z kilkuosobowej jeszcze przed wojną służby została tylko stara Matylda, dawna piastunka Jana i Wandy, oraz kucharka. Towarzystwo obu tych kobiet było dla Izy dużą pociechą. Przynajmniej z nimi mogła w miarę swobodnie pogawędzić; czuła przy tym, że ją lubiły i chyba rozumiały. Wzajemnemu porozumieniu sprzyjał na pewno fakt, że Iza nie wychowała się w „jaśniepańskim” domu, że od dziecka musiała sobie radzić w życiu sama i w przeciwieństwie do innych młodych panien, które miały dwie lewe ręce do roboty, potrafiła sprostać domowym obowiązkom. Potrafiłaby im sprostać, nie mając żadnej pomocy i służby. Nie scedowała przecież całej pracy na dwie starsze służące. Osobiście dbała o porządek w pokojach; kucharka nie miała na to czasu, a Matylda z pewnością sama by nie dała rady. Zaglądała też do kuchni, jednak głównie po to, by

pogawędzić, bo zajmująca się gotowaniem Piotrowa nie lubiła, by ktokolwiek (choćby sama pani dziedziczka) zaglądał jej do garnków.

Obie kobiety na widok Izy jak zwykle rozpromieniły się i życzliwie zagadały. Stojąca nad rondlem Piotrowa zapytała, czy nie przygotować dla niej herbaty. Siedząca po drugiej stronie stołu Matylda podniosła wzrok znad robótki – cerowała jedno z prześcieradeł.

– A może pomóc pani przy maleństwie? – spytała z uśmiechem.

– Nie trzeba. Przed chwilą wreszcie zasnęła – odparła z westchnieniem Iza. – Choć podobno słyhać ją było wcześniej w całym domu – dodała nieco kąśliwie.

– Ja tam nic nie słyszałam – roześmiała się Piotrowa. – A poza tym nie ma większych hałasów jak tłuczenie garnkami.

– W porównaniu z wrzaskami, jakie w niemowlęctwie wydawała panienska Wandzia, Weronisia to prawdziwy aniołek – dodała pogodnie Matylda, poprawiając okulary.

Wtedy Izie zaświtała pewna myśl. A właściwie bardzo śmiały pomysł, ale zaraz się zawahała. Wystarczyło, że popatrzyła na pochyloną nad szyciem starą piastunkę. Matylda nie była jeszcze zupełnie niedołęzna, w miarę swoich możliwości starała się sprostać niektórym obowiązkom. Nie poruszała się już jednak tak szybko i energicznie jak dawniej. Oczywiście od czasu do czasu siedziała przy kołysce Weroniki, gdy ta była jeszcze niemowlęciem. Teraz jednak, gdy dziewczynka zaczynała stawiać pierwsze kroki, opieka nad nią wymagała więcej wysiłku i uwagi. Matylda, która przecież w swoim czasie zajmowała się zarówno Janem Reczyńskim, jak i Wandą, nie sprostałaby już raczej temu zadaniu przy Weronice. Nie dałaby rady upilnować tak absorbującego małego dziecka przez kilka godzin.

Samo to spostrzeżenie sprawiło, że Iza westchnęła z rezygnacją, co nie uszło uwadze służących.

– Jest pani zmęczona – rzekła życzliwie Matyllda – ale to wszystko kiedyś minie. Dzieci dorastają i wtedy okazuje się, że coraz mniej nas potrzebują. W końcu odchodzą z domu. Wtedy zostają wspomnienia i tęsknota. A wraz z nimi pragnienie, by bodaj na jedną krótką chwilę wróciły stare, dobre czasy.

Teraz z kolei ona westchnęła.

– Nie jestem zmęczona – odparła Iza i czując, że nie da rady dłużej tłumić tego w sobie, dodała nagle: – Czuję się tylko samotna. Przeraźliwie samotna.

Podeszła do okna i zapatrzyła się na rozmyty w deszczu ogród. Wiedziała, że nie powinna sobie pozwalać na taką szczerość. Piotrowa i Matyllda były bardzo dobrymi kobietami, które na każdym kroku okazywały jej sympatię, nie zmieniało to jednak faktu, że były także służącymi. Związanymi od lat albo z Bożanowem, jak to było w przypadku kucharki, albo z Reczyńskimi – co dotyczyło starej niani. Mimo wszystko postanowiła mówić dalej. Mniejsza z tym, co będzie później. Nawet jeśli obie się oburzą albo poczują się zakłopotane – trudno.

– Czasem mam takie wrażenie, jakby oprócz nas i tego domu nikogo więcej nie było już na tym świecie. Tęsknię za miastem, chciałabym spotkać innych ludzi. Porozmawiać z nimi.

Nie powiedziała im jednak wszystkiego. Nie zwierzyła się, za kim tęskni najmocniej i z kim najbardziej chciałaby pomówić. Nawet jednak takie niekompletne wyznanie spowodowało, że obie służące wymieniły się znaczącymi spojrzeniami.

– Na wsi teraz najbezpieczniej – przemówiła tonem łagodnej perswazji Matyllda. – Może i nudno, ale niemieckie patrole, chwalić Boga, od dawna

nas omijają. I jeść mamy co. W miastach żyje się jak na minie. A do tego stale trzeba myśleć, gdzie by się tu wyprawić po jakie zaopatrzenie...

– Przecież wiem – przerwała niecierpliwie Iza. – A jednak...

– Pani jest jeszcze młoda, a młodzi inaczej na to patrzą niż my, stare – odezwała się kucharka, wrzucając pokrojone ziemniaki do rondla. – Ja tam zresztą sobie myślę, że jeśli ma pani ochotę przejechać się na trochę do miasta, to nie musi być z tego zaraz nieszczęście. Tylko dziecka lepiej nie brać ze sobą, za dużo ambarasu. My we dwie damy przecież sobie z nią radę.

– Naprawdę? – spytała po dłuższej chwili ciszy Iza.

– Ano pewnie. Siły już nie te, co dawniej, ale się jeszcze człowiek w próchno nie rozsypał – odparła pogodnie Piotrowa.

Reczyńska zerknęła niepewnie na Matyldę. Ta jednak poklepała ją przyjaźnie po dłoni.

– Tylko niech pani uważa w tej Warszawie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Przecie i w miastach ludzie jakoś żyją i dają sobie radę – machnęła ręką Piotrowa. – Jakby się tak wszyscy tych psubratów szkopów bali, już by nas do tej pory te kundle zjadły.

Niania patrzyła jednak dalej z troską na młodą panią. I nagle Izie przyszło do głowy, że nie tylko obawa o jej bezpieczeństwo była tego powodem. Podziękowała im jednak radośnie i choć w głębi serca czuła, że nie jest wobec nich w porządku, uciszyła wyrzuty sumienia. Teraz pozostawało jej czekać na odpowiednią porę. Okazja pojawiła się trzy tygodnie później, gdy mąż oznajmił jej, że wybiera się do Warszawy. Aby odwiedzić ojca, macochę i siostrę. Jak zwykle nie zaproponował, aby mu towarzyszyła, z czego zresztą Iza nigdy nie robiła problemu; nie czuła się dobrze w gronie jego rodziny, a wizyty, które tamci od czasu do czasu

(dzięki Bogu, niezbyt często) składali w Bożanowie, traktowała jak dopust boży.

Tym razem postanowiła, że w ślad za mężem także uda się do Warszawy. Wiedziała, że ryzykuje, że musi być ostrożna, że najmniejszy błąd może ją drogo kosztować, dlatego do swojej „wyprawy” przygotowała się na tyle starannie, na ile zdołała.

Ciotce na wszelki wypadek powiedziała, że jedzie do dentysty. Nie wątpiła, że stara doniesie o tym Janowi. Podejrzewała ją o nie wiadomo co, nawet wtedy, gdy na krótko opuszczała dom, choćby po niezbędne sprawunki. Jednak Iza nie miała wątpliwości, że męża niewiele to będzie obchodziło.

Śledziła Jana, dopóki ten faktycznie nie przekroczył bramy kamienicy, w której mieszkała jego rodzina. A potem bez zbędnej zwłoki pojechała na plac Narutowicza. Zapamiętała nowy adres Staszka, gdy ten kiedyś zapisał go Jankowi. Nie miała oczywiście pewności, czy z jakiegoś powodu ponownie go nie zmienił, postanowiła jednak zaryzykować. Nie wiedziała też, czy zastanie go w domu, ale jednak otworzył drzwi.

Miał prawo przynajmniej zdziwić się na jej widok, lecz niczego po sobie nie pokazał. Gestem zaprosił ją do środka, a potem, gdy już stali naprzeciw siebie w wąskim korytarzyku jego małego mieszkania, także o nic nie zapytał, tylko czekał, aż ona pierwsza się odezwie.

Nie mogę się zawahać, pomyślała desperacko, nie teraz, kości zostały rzucone.

Mimo wszystko ostatnia myśl nie tylko ją ubawiła, ale paradoksalnie dodała trochę odwagi.

– Przyjechałam dokończyć naszą ostatnią rozmowę – rzekła na tyle cicho, by nie usłyszał drżenia w jej głosie. – Wtedy nam ją przerwano. A od tego czasu już się u nas nie pokazałeś.

– To było kilka miesięcy temu – zauważył i lekko się uśmiechnął.

Izabella nie miała wątpliwości, że doskonale zdawał sobie sprawę, dlaczego do niego przyjechała. Ale to dobrze, to wszystko ułatwi, pomyślała i ponownie zadrżała. Emocje wzięły jednak górę.

– Denerwujesz się? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Nie, ale trochę zmarzłam. Powietrze jest bardzo zimne.

Ile razy już słyszał podobne słowa od kobiet, które wcześniej tu przychodziły, tak jak ona dzisiaj? Ale nieważne, w jej przypadku będzie inaczej. Nie pozwoli, aby o niej zapomniał. Aby stała się wyłącznie kolejnym trofeum w jego bogatej kolekcji. Choć przecież jednocześnie zdawała sobie sprawę, że niemal każda z jej poprzedniczek zakładała to samo i każda się pomyliła.

– Przygotuję gorącą herbatę – odparł, pomagając jej zdjąć płaszcz. – Niestety nie mam kawy.

– Dziękuję. Herbata będzie w sam raz. – Niemal widziała przeskakujące między nimi iskry. W każdym razie czuła je każdym nerwem.

Weszła do niewielkiego, dosłownie zawałonego książkami pokoju. Powiodła wzrokiem po tytułach i autorach. Platon, Arystoteles, święty Augustyn, Kant, Hegel, Schopenhauer, a poza tym Balzak i wielu pisarzy współczesnych. Niebywałe, pomyślała Iza. Tego się nie spodziewała. Do tej pory inaczej postrzegała Staszka. Jak to możliwe, by ktoś taki interesował się tak pustogłowymi panienkami, jak na przykład Wanda? To dodatkowo ugruntowało Izę w przekonaniu, że rola, jaką jej szwagierka odgrywała w życiu tego człowieka, ograniczała się do jednej, jedynej funkcji. To z pewnością niczego poważnego nie rokuje, uznała i uśmiechnęła się do Staszka, który właśnie wchodził do pokoju z dwiema filiżankami parującej herbaty.

– Pokażę ci coś. – Wskazał wzrokiem na jedną z półek. Postawił filiżanki na stole, podszedł do szafki i wyjął stamtąd jakieś pismo. – Publicystyka Studnickiego. Jego memorandum.

– Studnickiego? – powtórzyła machinalnie.

– Nie wierzę, abyś o nim nie słyszała. Choć pewnie nie wzbudził twojej sympatii; zresztą jeszcze przed wojną miał wielu wrogów. W swoim własnym kraju.

– Ależ oczywiście, że o nim słyszałam. – W gruncie rzeczy była w tym momencie daleko myślami, zarówno od publicystyki Studnickiego, jak i każdej innej. Wzięła się jednak w garść. – Teraz przynajmniej rozumiem, dlaczego masz takie, a nie inne poglądy.

Nie miała zamiaru dyskutować ani ze Staszkiem, ani z poglądami Studnickiego. Już kilka miesięcy temu dała mu przecież do zrozumienia, że zaczyna myśleć podobnie.

– Czy wiedziałas o tym, że w czerwcu trzydziestego dziewiątego roku na polecenie samego premiera Sławoja Składkowskiego skonfiskowano w drukarni cały nakład jego książki, w której krytykował politykę zagraniczną sanacji? A więc całą tę nabuzowaną propagandę „silni, zwarci, gotowi”, która, jak czas pokazał, doprowadziła nas do klęski. Zaskarżył nawet decyzję o konfiskacie nakładu, ale oczywiście w sądzie był bez szans. Możliwe, że o tym nie słyszałaś, bo nie rozgłaszano tej sprawy, obrady sądu toczyły się zresztą przy drzwiach zamkniętych.

W tej chwili wiedziała tylko jedno – że jest nim coraz bardziej zafascynowana i pragnie jak najszybciej znaleźć się w jego ramionach. Wszystko inne nie miało już znaczenia. Zaraz jednak uprzytomniła sobie, że prawdopodobnie identycznie zachowywały się w tym miejscu wszystkie jej poprzedniczki, a ona przecież uważała się za kogoś lepszego od nich. Przywołała się więc do porządku.

– Mało kto go słuchał – rzekła cicho, wodząc bezwiednie dłonią po kartkach papieru. – Ci, którzy to robili, w większości uważali go za starca niespełna rozumu. Mniej lub bardziej kłopotliwego, potem jednak coraz groźniejszego germanofila, który osłabiał ducha narodu. I stał na drodze takim pustym sloganom.

– Niewiele brakowało, a wylądowałby w Berezie Kartuskiej. Nie miał szans, aby się wtedy przebić ze swoimi poglądami. Na ogół zderzał się ze ścianą.

W tonie jego głosu usłyszała z trudem tłumioną wściekłość i niczym już niemaskowany żal. Podniosła na niego wzrok i spostrzegła, że zacisnęła pięści. Ujęło ją, że zaufał jej na tyle, by rozprawiać o tych sprawach. Że uważał ją za godną partnerkę do takich rozmów. Rozumiała też jego bezsilną złość.

– Nie, wtedy faktycznie nie miał szans – przyznała i poczuła autentyczny smutek. A przecież jeszcze nie tak dawno była jedną z tych, którzy najchętniej zamknęliby Studnickiego w Berezie albo w szpitalu dla obłąkanych.

– W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło – mruknął Staszek. – I może dlatego teraz my wszyscy jesteśmy bez szans.

– My? – W pierwszej chwili zupełnie absurdalnie pomyślała o nich dwojgu. Zarumieniła się, gdy spojrzał jej w oczy. Zapewne odgadł jej myśli.

– Tak. Jako naród i państwo jesteśmy bez szans. Lada moment przedwojenną wschodnią granicę Polski przekroczą Rosjanie. Na naszych oczach, w naszym kraju będą się tłuc z Niemcami.

– A ty uważasz, że w tej batalii powinniśmy poprzeć Niemców – stwierdziła spokojnie.

Nie czuła oburzenia, a jedynie rezygnację.

– To za dużo powiedziane. – Staszek potrząsnął głową. – I już raczej nie wchodzi w grę. Być może w trzydziestym dziewiątym roku należało rozważyć opcję sojuszu z Niemcami zamiast stawiać na bardzo niepewne i, jak się okazało, zawodne gwarancje brytyjskie. Zwłaszcza że nie byliśmy przygotowani do tej wojny. Oprócz Niemców nikt nie był, ale Polska podłożyła im się jako pierwsza. Czy też raczej pozwoliła się podłożyć, dając wiarę rzekomym sojusznikom. Teraz będzie podobnie. Tyle że tym razem złożą nas w ofierze Sowietom. I raczej nie da się temu zapobiec, tym bardziej że większość naszego społeczeństwa wejdzie w to jak w masło. Ludzie mają przede wszystkim dość wojny, dość niemieckiej okupacji. W ciągu ostatnich lat szkopy zgotowały nam tu prawdziwe piekło. Podziemie także tego nie zakwestionuje, bo założę się, że już dostało konkretne dyrektywy z Londynu. A premier Mikołajczyk nie postawi się zachodnim sojusznikom.

Znała jego poglądy, kiedyś się przecież o nie spierali. Przyjęła je jednak ze zgrozą, jakby słyszała po raz pierwszy w życiu.

– Więc co robić? Przecież coś trzeba robić – wyszeptała.

– Nie możemy spowodować, aby Armia Czerwona, która skopała już Niemcom tyłki na wschodzie, nie weszła do Polski. Z punktu widzenia Sowietów tędy prowadzi najkrótsza droga na Berlin. Skoro więc tu wejdą, to niech się tłuką ze szkopami. Niech się wybijają nawzajem. My nie powinniśmy się w to mieszać. Nie możemy dodatkowo osłabiać naszych sił.

– To niemożliwe. – Potrząsnęła głową. – Sugerujesz, że powinniśmy przycupnąć i biernie obserwować, jak obce armie biją się ze sobą na terenie naszego kraju? Taka bierność mogłaby w dłuższej perspektywie okazać się politycznym błędem i nie przysporzyłaby nam sympatyków na Zachodzie. Wręcz przeciwnie.

– Tak byłoby najrozsądniej. Jak już mówiłem, popieranie Niemców przeciwko Rosjanom nie wchodzi teraz w grę. A z kolei zbrojne wspieranie Armii Czerwonej przeciwko Niemcom skończy się nową, tym razem sowiecką, okupacją. Niestety, obawiam się, że konkretne decyzje w tej sprawie już zapadły, i to na najwyższym szczeblu, czyli w Londynie lub Waszyngtonie. Mamy traktować Rosjan jako sojuszników. Przecież już ci wyjaśniałem, jakimi zasadami kieruje się polityka.

Oboje zamilkli, każde pogrążone w swoich myślach. Przedłużającą się ciszę przerwał dopiero zegar wybijający kolejną godzinę, a zaraz potem odezwała się umieszczona w nim kukułka. Odgłos ten zaskoczył Izę – zegar znajdował się tuż nad jej głową – i dlatego w pierwszym odruchu niemal podskoczyła ze strachu. Niewiele brakowało, a wypuściłaby filiżankę z ręki, choć część jej zawartości i tak wylała się na podłogę.

Staszek roześmiał się i popędził do kuchni po ściereczkę. Gdy potem patrzyła, jak wycierał podłogę i stół i przygotowywał dla niej nową filiżankę herbaty, żartując sobie z całej sytuacji, nie mogła się powstrzymać, by choćby na jedną chwilę nie powrócić do przerwanej wcześniej rozmowy. Przy czym wcale nie chodziło jej o to, by ją kontynuować – raczej, by go ostrzec.

– Posłuchaj mojej rady... – podjęła z wahaniem. – Dla własnego dobra nie rozgłaszaj swoich poglądów. Nikomu się nie spodobają... – ściszyła głos. – Na pewno nie twoim kolegom z...

Z konspiracji, chciała dodać, ale ugryzła się w język. Nigdy nie poruszał z nią tego tematu. Podobno zresztą zerwał tamte kontakty. Podobno – bo w tym momencie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej podejrzewała, że było jednak inaczej.

– Przecież wiesz, jak lubię grać ludziom na nerwach. – Mrugnął do niej żartobliwie.

Nie znalazła na to odpowiedzi. Małymi łyżkami popijała herbatę. Zarumieniła się, gdy ponownie uważnie jej się przyjrzał.

– Na pewno jesteś głodna, a ja szczęśliwie mam cię czym ugościć. Poczekaj, coś przygotuję. – Podniósł się, ale go zatrzymała.

– Herbata mi wystarczy, jest dobra i gorąca.

– Nie podałem cukru. – Uderzył się zabawnie w czoło. – A mam go. Udało mi się zdobyć.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się. – O cukier chętnie poproszę.

– Mam też coś mocniejszego. Zapewniam, że nic cię tak nie rozgrzeje. – Po chwili przyniósł z kuchni butelkę i dwa kieliszki, ale ponownie pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Rodzina nie wie, że przyjechałam do ciebie i... – Przerwała i tym razem zaczerwieniła się tak mocno, jak nigdy dotąd.

Ależ ze mnie idiotka, sarknęła w duchu, jak mogłam palnąć coś podobnego?!

Staszek roześmiał się na całe gardło. Nie dziwiła mu się, co nie zmieniało faktu, że najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

– Bez obaw! Nie upijam kobiet! Jeden kieliszek wódki nie będzie żadnym dowodem winy, a przestaniesz tak dygotać!

Dygoczę? – zdumiała się mimo woli. – Jeśli tak, to na pewno nie z powodu zimna. W tym mieszkaniu, w obecności tego człowieka nie odczuwała najmniejszego chłodu, wręcz przeciwnie.

– No więc...? – Wskazał na butelkę. – Broń Boże do niczego nie nakłaniam, ale może dobrze by ci to zrobiło.

Człowiek, który przed chwilą z powagą i skupieniem na twarzy snuł pesymistyczne rozważania, gdzieś zniknął. Zastąpił go wesoły, czarujący chłopak, którego poznała jeszcze przed wojną, który rozbawił całe

towarzystwo na jej weselu. Któremu nie potrafiły i nie chciały się oprzeć kobiety.

Ucieszyła ją ta metamorfoza. Potrzebowała tego luzu, tej wesołości. Dość już miała smutku i powagi. A przy osobach takich jak Staszek można było choćby na pewien czas zapomnieć o ponurej rzeczywistości, która stała się chlebem powszednim większości ludzi na świecie. O codzienności, która ją samą ostatnio coraz bardziej przytłaczała.

Skinęła więc przyzwalająco i wypła duszkiem podany alkohol. Nie miała doświadczenia w piciu wódki, toteż zakasłała i łzy popłynęły jej z oczu, ale zarazem poczuła przyjemne, odprężające ciepło. Nie zastanawiając się dłużej, ponownie podstawiała pusty kieliszek.

Chyba go trochę zaskoczyła, co skonstatowała z niemałym zadowoleniem, ale spełnił jej niemą prośbę.

– A nie mówiłem? – Mrugnął do niej. – Zalecałbym jednak zwolnić tempo.

– Tak, już wystarczy – zgodziła się. Lekko zakręciło jej się w głowie, ale przynajmniej przestała się rumienić jak pensjonarka.

– A zatem Janek nie ma pojęcia, że prysnąłaś z jego pałacu? – podjął wesoło, a w jego oczach pojawił się zagadkowy uśmiech, którego nie potrafiła jednoznacznie zinterpretować.

– On także to zrobił. Wybrał się z wizytą do swojej rodziny – odparła trochę wyzywająco. Alkohol dodał jej pewności siebie.

Nie skomentował, wciąż się uśmiechał, nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że czytał w jej myślach.

– Wiem, że cię zaskoczyłam – dodała cicho – ale nagle zapragnęłam się z tobą spotkać. Porozmawiać. Bo tam, w Bożanowie... – Znowu przerwała. Nie chciała, aby to tak zabrzmiało. Kolejna żona, która użala się na

obojętność ze strony męża i dlatego szuka pocieszenia u innego. Zawsze gardziła takimi kobietami, jak widać – niesłusznie.

– Ja także lubię z tobą rozmawiać – odparł, a łagodny, wręcz dobroduszny ton jego głosu natychmiast ją uspokoił. – Zawsze lubiłem. Nawet wtedy, gdy skakaliśmy sobie do oczu. Przecież już ci to wcześniej wyjaśniłem.

– To raczej ja skakałam tobie do oczu. – Uśmiechnęła się. – Nigdy na odwrót.

– W ogóle mi to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Czasami nawet specjalnie cię prowokowałem.

Chętnie poprosiłaby o kolejny kieliszek wódki – czuła się taka odprężona, wszystkie troski jakby odpłynęły w siną dal – ale przywołała się do porządku. Nie przyjechała tutaj, aby się upić. Przyjechała przecież – jak przed chwilą oznajmiła – aby porozmawiać o sprawach, które tak ją interesowały. Które interesowały ich oboje.

I kogo chcesz oszukać, głupia babo, zakpiła zaraz w duchu. Samej siebie nie musisz okłamywać.

– Tak naprawdę tylko przy tobie mogłem sobie pozwolić na szczerość – dodał. – Nawet wtedy, gdy się ze sobą nie zgadzaliśmy. Moi kumple w ogóle nie chcieli mnie słuchać. Nie ty pierwsza nazwałaś moje poglądy zdradą. Oni w pewnym momencie zaczęli mnie traktować coraz bardziej podejrzliwie. Byli tacy do bólu poprawni, kompletnie bezrefleksyjni. Nawet bez tej historii z łapanką i moim uwolnieniem nie zagrzałbym długo miejsca w ich szeregach.

– A Janek? – Nie mogła się oprzeć, by o to nie zapytać. Bo choć znała odpowiedź, chciała usłyszeć także jego wersję. – Przy nim także nie mogłem sobie pozwolić na szczerość?

– Janek... – Wyraźnie spoważniał. – Janek w ogóle nie chciał o tym mówić. Ani w nic się angażować. Byliśmy świetnymi kumplami, ale potem wszystko się tak cholernie pogmatwało... Chyba nie warto gmatwać tego jeszcze bardziej – dorzucił jakby mimochodem, a ona ponownie zadrżała na całym ciele.

Podniosła się gwałtownie od stołu. Zdecydowanie zbyt gwałtownie, bo nagle się zachwiała i gdyby jej nie podtrzymał, zapewne by się przewróciła. Nie powinna była pić. Co z tego, że zaledwie dwa kieliszki? Dla niej, jak widać, było to aż nadto, zwłaszcza na pusty żołądek.

– Nie powinnam była tu przyjeżdżać – wyszeptała. – To było głupie, bardzo głupie. Przepraszam, że zabrałam ci tyle czasu.

Delikatnie uwolniła się z podtrzymującego ją uścisku i ruszyła do przedpokoju. Pozwoliła, aby pomógł jej włożyć płaszcz, ale gdy tak stał blisko niej, gdy znów jej dotykał, ponownie poczuła, jak cała krew uderzyła jej do głowy.

– Przepraszam – powtórzyła cichutko, a zarazem bardzo żałośnie. Nie miała pojęcia, jakie uczucie w niej teraz przeważało: żal za marzeniami, które nie mogły, nie miały prawa się spełnić, czy wstyd i poczucie kompromitacji?

– Nie masz za co przepraszać – usłyszała w odpowiedzi i zanim zdołała opanować zdumienie i wzruszenie, poczuła jego dłonie na swoich włosach, plecach, ramionach. Jego wargi na swoich. Płaszcz opadł na podłogę, ale żadne z nich się po niego nie schyliło. Drżącymi dłońmi rozpinali guziki swoich ubrań, a droga z korytarzyka do pokoju zdawała się nie mieć końca.

Nigdy potem nie mogła sobie przypomnieć szczegółów powrotu do Bożanowa. Wiedziała, że jest późno i zapewne jej mąż już jakiś czas temu wrócił do domu, ale kompletnie jej to nie obchodziło. Wiedziała, że powinna znaleźć jakieś wiarygodne wytłumaczenie dla swojego spóźnienia,

ale nie miała do tego głowy. Szła jak nieprzytomna na dworzec kolejowy i gdyby po drodze trafiła na łapankę, z pewnością nie dałaby rady uciec. Myślami była daleko od ponurej okupacyjnej rzeczywistości i wszystkich towarzyszących jej zagrożeń. W pociągu jak zwykle panowały tłok i duchota, ale nic jej to nie obchodziło. Potem biegła polami do dworu, ale nie dlatego, że tak bardzo się spieszyła – po prostu nie była w stanie iść wolniej. Gdyby to było możliwe, szybowałaby jak ptaki na niebie. Gdy otwierała bramę, skrzywiła się, ale nie dlatego, że denerwowało ją skrzypienie starego, zardzewiałego urządzenia. Nie chciało jej się wracać do tego ponurego, zimnego domu, najchętniej pobiegłaby z powrotem na stację, a potem do Staszka, ale oczywiście powstrzymała ten odruch. Przecież kiedyś znowu go odwiedzi. Sam jej powiedział, że będzie na nią czekał. Że było wspaniale i nie od rzeczy byłoby to powtórzyć. Ustalili, że to ona wcześniej go zawiadomi o planowanym przyjeździe. Zadzzwoni do niego i poda tylko krótki komunikat. Bez żadnych dodatkowych wyznań i czułych słówek. Tylko kiedy i o której. Na czułości przyjdzie pora, gdy wreszcie się zobaczą.

W bożanowskim dworze był telefon, ale wiedziała, że bezpieczniej będzie skorzystać z aparatu na poczcie w pobliskim miasteczku. Już ona znajdzie powód, by wyjaśnić rodzinie, czemu znowu się gdzieś wybiera. Szkopuł w tym, że nie mogła tego robić zbyt często. Nie mogła wzbudzać podejrzeń, choć bez wątpienia i tak ciotka zacznie snuć swoje domysły. Przynajmniej w tym przypadku babsko się nie pomyli, pomyślała Iza i miała ochotę roześmiać się na głos. Tak jak miała ochotę śpiewać i tańczyć. Zamiast tego dostojnym krokiem weszła do sieni. Tam zerknęła na swoje odbicie w starym lustrze o mosiężnych ramach. Na wszelki wypadek poprawiła fryzurę. Wprawdzie zanim wyszła od Staszka, ponownie ściągnęła włosy w węzeł i zaczesła je gładko z tyłu głowy. „Ta

fryzura do ciebie nie pasuje – śmiał się. – Powinnaś zostawić włosy tak jak teraz, rozpuszczone, rozwichrzone. Taka przecież naprawdę jesteś”. „Wiem – odpowiedziała, ponownie wtulając się w jego ramiona. – Wiem, że ten przebrzydły ulizany węzeł do mnie nie pasuje. Ale to fryzura tylko na potrzeby Bożanowa. Bo tamten dom także do mnie nie pasuje”.

Patrząc teraz na swoje odbicie, uśmiechnęła się do tego wspomnienia, a jednocześnie pomyślała, że i tak nie zdoła wszystkiego ukryć przed domownikami. Z pewnością nie sprawi, aby z jej oczu zniknął ten błysk, który przy okazji rozświetlał także całą twarz. Z pewnością w tym momencie nie wyglądała jak zniechęcona, rozczarowana życiem, zaniedbana kobieta.

Mąż jak zwykle nie zwrócił na nią uwagi. Spytał tylko, czy załatwiła wszystko, co chciała, i na odczepnego odpowiedział jej na dwa pytania, które także, dla zachowania pozorów, zadała mu na temat jego wizyty u krewnych. Ciotka siedziała już w swojej części domu i szczęśliwie do końca dnia się u nich nie pokazała. Służące zapewniły, że córeczka była grzeczna jak aniołek i bardzo ładnie się bawiła. I tylko wtedy, gdy mała z piskiem radości uwiesiła się na jej szyi, Iza poczuła wyrzuty sumienia. Jednak niewielkie, a w każdym razie nie na tyle duże, by żałować tego, co dziś zrobiła, i nie pragnąc powtórki. Tej nocy myślała tylko o Staszku.

Kilka tygodni później ponownie się z nim spotkała. Piotrowej i Matyldzie powiedziała, że ma wizytę u krawcowej, a one nawet nie mrugnęły okiem. Tego samego dnia Jan również pojechał do Warszawy, aby spotkać się z ojcem, a ona, tak jak poprzednio, upewniła się, że wszedł do kamienicy, w której mieszkali Reczyńscy. Wiedziała jednak, że nie będzie mogła za każdym razem zniknąć z domu w tym samym czasie, co mąż. To w końcu mogło wydać się podejrzane. Z drugiej jednak strony – czy i bez tego ciotka nie popatrywała na nią coraz bardziej ponurym

wzrokiem? Czy warto było aż tak łamać sobie głowę ewentualnymi konsekwencjami, skoro życie i bez tego było wielkim ryzykiem, a każdy dzień mógł się okazać ostatnim? Wiedziała jedno – na pewno nie zrezygnuje ze Staszka, z najpiękniejszego prezentu, jaki podarował jej los. Zwłaszcza że udanych prezentów nie dostała w życiu zbyt wiele.

Spotkali się jeszcze kilka razy, ale już nie w warszawskim mieszkaniu. Staszek i Jadwiga kilka lat temu odziedziczyli po dziadkach mały dom w Wawrze. Planowali, że sprzedadzą go po wojnie, teraz dom był opuszczony, niemniej jeździli tam od czasu do czasu, by nie popadł w zupełną ruinę lub by nie zagnieździli się w nim dzicy lokatorzy. Ściślej rzecz ujmując, od pewnego czasu do Wawra przyjeżdżał tylko Staszek – jego kuzynka po urodzeniu dziecka zupełnie nie miała do tego głowy.

Niewielki, zbudowany w głębi zadrzewionej działki domek był niemal niewidoczny z ulicy. Idealny na schadzki, pomyślała Iza, gdy po raz pierwszy się tam znalazła. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że najprawdopodobniej nie była pierwszą zaproszoną tu przez Staszka kobietą, ale wmówiła sobie, że to bez znaczenia, skoro będzie ostatnią. Naprawdę w to wierzyła i, jak miała pokazać przyszłość, w tym jednym przynajmniej się nie myliła. Oczywiście ryzykowała i okłamywała całą rodzinę. Wyprawy do Wawra były w jej przypadku ogromnym wyzwaniem, ale nie wyobrażała już sobie bez nich życia. Czym jednak były te trudności, ryzyko i niebezpieczeństwa wobec faktu, że po raz pierwszy i, jak się miała przekonać, jedyny w życiu czuła się piękna, podziwiana, pożądana? Zaczęła wtedy snuć coraz śmielsze plany. Gdy wojna się skończy, zalegalizują swój związek. Ona oczywiście rozwiedzie się z Janem – nie wierzyła, by mąż stawiał jakiegokolwiek przeszkody – i wreszcie wszystko będzie tak, jak trzeba. Jak powinno być od początku, odkąd przekonała się, ile dla niej znaczył Staszek. Napomknęła mu raz o tym i nie zaniepokoiła

się wcale tym, że nie podjął tematu. Uznała, że wolał na razie nie snuć planów na przyszłość, nie w czasach, w których przyszło im żyć i kochać. Najważniejsze, by nie wpakował się znowu w jakieś ryzykowne działania; nieraz wprawdzie dawał jej do zrozumienia, że już z tym skończył, ale wciąż nie była pewna, czy mówił jej całą prawdę.

– Pamiętaj, że konspiracja to prawie pewna śmierć – powiedziała mu kiedyś, zupełnie bezwiednie powtarzając opinię męża.

Roześmiał się wtedy i przytulił ją do siebie.

– Każda śmierć jest pewna – odpowiedział.

Nie mieli wystarczająco dużo czasu, by pomieścić w nim zarówno miłość, jak i rozmowy, dlatego rozmawiali mniej, wystarczająco jednak dużo, by przekonała się, jakie miał poglądy i gusta literackie, który filozof go zachwyił, a który irytował. Jego zapatrywania dotyczące wojny i polityki już przecież znała. Tylko o Janie, a zwłaszcza o Wandzie, nie rozmawiali nigdy. Jakby tych dwoje w ogóle nie istniało.

Otrzeźwienie przyszło pod koniec maja czterdziestego czwartego roku. Gdy zupełnie niespodziewanie na ulicy Grójeckiej w Warszawie natknęła się na szwagierkę. A ta, rozpromieniona i szczęśliwa jak nigdy dotąd, pokazała skromny zaręczynowy pierścionek. I oznajmiła, że spodziewa się dziecka. Dziecka Staszka.

Rozdział 17

1944

Gdy tylko się pożegnały, Iza, nie zwlekając, pobiegła prosto do mieszkania Staszka. Nie widziała go od miesiąca, w tym czasie kilka razy próbowała skontaktować się z nim telefonicznie, ale nie podnosił słuchawki. Nie docierały do niej żadne wiadomości o nim, a zapytać nie miała kogo. Rodzina z pewnością przyjęłaby takie pytania ze zdumieniem, o ile nie odniosłaby się do nich podejrzliwie. A przecież musiała się dowiedzieć, co się stało. Czemu tak długo milczał? Dlaczego nie odbierał telefonu? Nie domyślał się, jak tęskniła, jak szalała z niepokoju? Nie potrafiła się uspokoić ani skupić na codziennych, coraz bardziej irytujących ją obowiązkach. Wszystko leciało jej z rąk, dziecko drażniło jak jeszcze nigdy dotąd, a do tego czuła się bezustannie zmęczona. Zniechęcona. Przygnębiona. Spotkania ze Staszkiem (nawet jeśli nie tak częste, jak by tego pragnęła) były jej potrzebne do życia jak woda. Dzięki nim ponura, beznadziejna codzienność była łatwiejsza do zniesienia. Miała o czym marzyć i za kim tęsknić. Bez tego nie potrafiła już normalnie funkcjonować.

Wreszcie zdecydowała, że musi osobiście sprawdzić, co się stało. Tylko dlatego zdecydowała się przyjechać do Warszawy, choć oczywiście

wiedziała, że łamała w ten sposób wszystkie ustalone wcześniej zasady. Były one jasne – nie mogli widywać się w jego mieszkaniu przy placu Narutowicza, o niezapowiedzianych wcześniej wizytach nawet nie wspominając. Każde spotkanie było wcześniej starannie zaplanowane. Ale trudno, tym razem postanowiła postąpić inaczej. Tym razem sytuacja była wyjątkowa.

W najgorszych nawet domysłach nie podejrzewała, że prawda okaże się tak okrutna, tak bolesna. A przede wszystkim, że najpierw dowie się wszystkiego nie od Staszka, lecz od Wandy, którą niespodziewanie spotkała na swojej drodze. W dodatku tak niedaleko od celu wyprawy. Równie dobrze mogły się na siebie natknąć w jego mieszkaniu. Na samą myśl o tym po jej plecach przeszły ciarki. Potrzebowała dłuższej chwili, by nad sobą zapanować. Jeszcze więcej czasu zajęło jej zrozumienie tego, co szwagierka miała do powiedzenia. Potem, gdy patrzyła na rozpromienioną twarz Wandy, gdy zmuszona była oglądać zaręczynowy pierścionek na jej palcu, czuła się jak skazaniec, któremu odczytują wyrok śmierci. Narastające w niej bunt i gniew walczyły z rozpaczą i świadomością, że wszystko stracone, lecz nie zamierzała bez walki pogodzić się z losem.

Równocześnie jednak, gdy słuchała szczebiotu tej dziewczyny, tej rozpieszczonej smarkuli, która nie przepuściła dotąd żadnej okazji, by ją zranić, zbierało jej się na mdłości. I nie tylko w przerośni, ale jak najbardziej dosłownie. Kurczowo zaciskała dłonie, w przeciwnym wypadku chybaby się na tamtą rzuciła z pięściami, a przy okazji powyrywała jej włosy z głowy. Wanda bredziła coś o przyjaźni, miłości i wybaczeniu. Przepraszała za swoje wcześniejsze słowa i zachowanie – Iza w myślach życzyła jej śmierci. Na głos złożyła jednak gratulacje. A potem, gdy wreszcie tamta pozwoliła jej odejść, pomknęła jak oszalała do mieszkania Staszka. Nie miała już najmniejszych skrępowań, że łamie wcześniejsze

ustalenia. To on je wymyślił, teraz już wiedziała dlaczego, a ona, głupia, respektowała je, naiwnie wierząc, że chodziło głównie o jej dobro.

Nie dbała już o ostrożność. Wręcz przeciwnie, stukot jej obcasów rozniósł się echem po niewielkim, zamkniętym podwórzu kamienicy przy placu Narutowicza. Zdecydowanie za głośno zapukała do drzwi. Choć właściwiej byłoby powiedzieć, że załomotała. Nie czekała długo na reakcję. Najpierw usłyszała szmery dochodzące z mieszkania sąsiadów – wiadomo z czyją „wizytą” kojarzyły się wówczas ludziom takie hałasy – a po chwili w progu swojego lokum stanął Staszek. Dostrzegła wyraźne zdenerwowanie na jego twarzy. Także, rzecz jasna, zaskoczenie, z pewnością jednak nie radość. Zdecydowanym ruchem wciągnął ją do środka i rozejrzawszy się bacznie po korytarzu, zamknął drzwi.

– Oszalałaś? – syknął. Nie, zdecydowanie nie był rozradowany.

– Tak, moje szaleństwo zaczęło się dobrych kilka miesięcy temu. A ty dopiero dzisiaj je zauważyłaś? – odparła zuchwale, wcale nie ścisząc głosu.

– Umawialiśmy się, że nie będziesz tu przychodziła...

– Tak. I co z tego?

– Nie wrzeszcz tak. – Ścisnął ją za łokieć i pociągnął za sobą do pokoju. Prawie cisnął na kanapę. Tak jak wtedy, przed kilkoma miesiącami, gdy przyjechała tu po raz pierwszy, gdy drżącymi rękami rozpinali swoje ubrania, a droga z przedpokoju do sypialni zdawała się nie mieć końca. Tyle że wtedy towarzyszyły im radość, oczekiwanie, pożądanie, a teraz... Teraz czuła wciekłość, teraz przejmował ją ból... Mimo to wciąż go pragnęła. Dlatego nie potrafiła się uspokoić. Zresztą nawet nie próbowała.

– Mam być cicho, tak? – warknęła. – Miałam się tu nie pokazywać. Dla mnie przeznaczyłaś łóżko w chałupie w Wawrze. A kanapa w warszawskim mieszkanku była przewidziana dla Wandy? Niedawno sobie stąd poszła,

tak? Jeszcze wszystko jest tu ciepłe. – Uderzyła pięścią w mebel, aż zajęczała sprężyna. – A może masz jeszcze inne mieszkania? I inne kobiety? Prowadzisz jakiś grafik? Jak ci się to nie pomyli?!

– Zamknij się wreszcie! – Usiadł ciężko obok niej.

– Filozof! Niezależny myśliciel! – wyliczała mściwie. Czuła, że zaraz zacznie bełkotać zupełnie bez sensu, ale nic jej to nie obchodziło. Co niby mogło ją jeszcze obchodzić? – Krytyk działań polskiego Podziemia i innych wielkich tego świata! Myślałby kto, prawdziwy bohater i romantyk! – szydziła. – W każdym razie przysparzający ojczyźnie kolejnych dzielnych obrońców, jak by to ujął Sienkiewicz. Jedynie na to cię stać, taka jest prawda!

Nie od razu odpowiedział. Jego ponure spojrzenie nie zapowiadało jednak niczego dobrego. Choćby dlatego, że nie dostrzegła w nim ani odrobiny tego ciepła, które rozgrzewało jej serce niemal od pierwszej chwili, gdy go poznała. Nie mogło to, rzecz jasna, złagodzić jej gniewu i urazy.

– Bądź rozsądna – odezwał się wreszcie bardzo spokojnym, a zarazem bardzo zimnym tonem. – Nigdy niczego ci nie obiecywałem. Przecież to była twoja inicjatywa, sądziłem więc, że wiesz, jak się sprawy mają.

– Rozumiem. Narzucałam ci się, a ty nie mogłeś się obronić przed taką nachalną babą! – Aż się wzdrygnęła, gdy to powiedziała, ale nie mogła się powstrzymać.

– Nie mów tak – zaprotestował. – Nie bądź wulgarna.

– Wulgarna? – Dobrze wiedziała, że tak właśnie zabrzmiały jej słowa, ale mimo to nie mogła oprzeć się nowej fali goryczy. – Czy ty naprawdę nie masz sobie nic do zarzucenia?! Przez kilka tygodni nie miałam pojęcia, co się z tobą dzieje, jakbyś się zapadł pod ziemię! – Ponownie podniosła głos. – Odchodziłam od zmysłów. Potrafisz to sobie wyobrazić?!

– Jesteśmy dorośli – odparł spokojnie. – Było mi z tobą dobrze, ale przecież to od początku nie miało przyszłości. Sądziłem, że to dla ciebie oczywiste.

– Przecież nie raz dawałam ci do zrozumienia, że traktowałam to inaczej. – Spokojny, wyważony ton jego głosu sprawił, że przestała krzyczeć. Zamiast tego poczuła wielkie znużenie. Takie, które dopada każdego człowieka, gdy uświadamia sobie, że jednak przegrał walkę. Tak właśnie się czuła. – I co ja teraz zrobię? – Wiedziała, że zabrzmiało to jak bolesna skarga, w dodatku coraz bardziej się upokarzała, ale trudno. I tak nie widziała przed sobą żadnej przyszłości.

Osiągnęła przynajmniej tyle, że jego spojrzenie wyraźnie złagodniało.

– Masz męża i dziecko – powiedział cicho. – Masz dla kogo żyć.

– Co ty powiesz?! – ponownie się zirytowała. – Myślałby kto, kaznodzieja się odezwał! – Zacisnęła dłonie, a jednocześnie zaświtała jej nowa, mściwa myśl. – A nie przyszło ci do głowy, że mogłabym jej o tym powiedzieć? – spytała, mrużąc oczy. – A także reszcie rodziny?

Skrzywił wargi w pogardliwym uśmiechu. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy jego spojrzenie wyrażało autentyczną wzgardę i lekceważenie.

– Zatem zrób to – odparł takim tonem, jakby naprawdę nic go to nie obchodziło. – Ale wtedy naprawdę wszystko stracisz. Nic ci już nie zostanie.

Podniosła się i choć czuła się zupełnie pokonana i upokorzona, zdobyła się jeszcze na to, aby popatrzeć mu prosto w oczy.

– Nienawidzę cię – rzekła, akcentując każde słowo. – Jesteś tchórzem i nędznym zdrajcą, niczym więcej.

Znowu go tak nazwałam, przemknęło jej przez głowę, znowu nazwałam go zdrajcą. Choć przecież obiecywała kiedyś sobie i jemu, że więcej tego

zrobi. Co z tego, że teraz powiedziała to w innym kontekście? Takie słowo ma przecież tylko jedno znaczenie.

– Lepiej już idź – odparł spokojnie. – Musisz ochłonać.

Nie mogła jednak pozwolić, aby ostatnie słowo należało do niego.

– Gdy usłyszałeś, jak dziś dobijałam się do twoich drzwi, miałeś pietra, prawda? – spytała ironicznie. – Myślałeś, że to gestapo? – zakpiła, choć zaraz uzmysłowiła sobie, jak to zabrzmiało.

Nie odpowiedział, nie odprowadził jej nawet do drzwi. Poczowała łyzy w oczach, gdy przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie w tym domu. A potem każde kolejne.

Na podwórzu zastała stróża, który odprowadził ją spojrzeniem aż za bramę, ale postanowiła go zignorować. Wciąż przede wszystkim czuła gniew i urazę, a świadomość własnej bezradności i beznadziejnego położenia jedynie wzmagają w niej wściekłość i frustrację. Drań miał rację – jeśli nie chciała pogarszać swojej sytuacji i stracić tego, co już miała, nie pozostawało jej nic innego, jak pogodzić się z faktami. Nie miała innego wyjścia, jednak z każdym kolejnym krokiem wzmagał się w niej bunt.

Nie, tak nie powinno być, dumiała ponuro. Wiedziała, że to wszystko się zaczęło z jej inicjatywy, to ona pierwsza do niego przyjechała, on nawet nie kiwnął palcem, aby ją zdobyć, sama tego chciała. To prawda, że niczego jej nie obiecywał, niemniej jeśli w związku z tym sądził, że zwalniało go to z wszelkiej odpowiedzialności, to się, do cholery, mylił.

Nieodpowiedzialny zarozumialec. Potraktował ją jak zużyte naczynie. Dał do zrozumienia, że powinna się jakoś pozbierać, poradzić sobie. Ma widać wprawę w udzielaniu podobnych rad kobietom, które mu się znudziły. A przecież nikt nie może żyć tylko dla siebie, bez ponoszenia żadnych konsekwencji.

Przeraziła się, gdy pomyślała o przyszłości. O tych wszystkich nadchodzących latach, gdy każde z nich będzie żyło z kim innym, a jednocześnie w jednej rodzinie, gdzie siłą rzeczy stale będą się o siebie potykali.

Przecież ja tego nie zniosę, myślała z rozpaczą, zupełnie nie dbając o to, dokąd idzie, ani o to, co się dzieje wokół niej. W pewnej chwili przyszło jej jednak do głowy, by zawrócić i raz jeszcze wykrzyzczyć mu w twarz, co o nim myśli. Raz jeszcze mu zagrozić, prosić, żebrać o litość. Zachwiać tym jego samozadowoleniem, tym poczuciem, że zawsze tak dobrze kontrolował każdą życiową sytuację. Dać mu do zrozumienia, że podobnie jak ona, także i on nie będzie w przyszłości szczęśliwy. A nieszczęście może przyjść w każdym, najmniej spodziewanym momencie.

Podskoczyła, gdy usłyszała głośnie trąbienie nadjeżdżającej ciężarówki i zorientowała się, że stoi na środku ulicy. Kiedy na nią weszła? Zupełnie nie potrafiła sobie tego przypomnieć, a gdy przebiegła na drugą stronę, była niemal cała mokra od potu. Jednocześnie jednak dygotała z zimna.

– Trzeba uważać, życie pani niemiłe? – zagadała przechodząca nieopodal starsza kobieta.

Iza nie odpowiedziała, oddaliła się pospiesznie. Teraz była skłonna każdego uważać za wroga. Gdy wreszcie ochłonęła, porzuciła wcześniejszy zamiar, by ponownie zobaczyć się ze Staszkiem, a zamiast tego ruszyła w kierunku dworca. I tak nie chciałby mnie już widzieć, tłumaczyła sobie przez całą drogę do Bożanowa, może nawet nie otworzyłby mi drzwi. Nie, nie będę się przed nim upokarzać.

Patrząc na przesuwany się za oknami pociągu krajobraz, na pola i drzewa skąpane w majowym słońcu, wspominała tamten listopadowy dzień sprzed kilku miesięcy, gdy rozkojarzona i prawie nieprzytomna ze szczęścia wracała ze swojej pierwszej miłosnej schadzki. Zdawała sobie

sprawę, że nie powinna już o tym myśleć, że musi wziąć się w garść i stawić czoła realiom, ale nie potrafiła, a po prawdzie nie chciała, pójść za głosem rozsądku. W końcu to przecież zrobię, tłumaczyła sobie. Będzie musiała, nie ma innego wyjścia. Ale jeszcze nie w tej chwili, nie dziś i nie jutro. W gruncie rzeczy nie wyobrażała sobie dalszego życia bez tych wspomnień, nawet jeśli – a była tego pewna – będzie im towarzyszyć cierpienie.

Gdy weszła do sieni i zerknęła w lustro, przekonała się, że jej twarz zdążyła jednak przybrać swój zwykły, jakby wyprany z wszelkich emocji wyraz. Maską wciąż była dobrze dopasowana. Dobrze, bo nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie jej potrzebna. Tym razem bez możliwości pozbycia się jej, być może, na długie lata.

Ledwo uchyliła drzwi do salonu, a mała Weronika z piskiem przywarła do jej kolan. Powstrzymując łzy, Iza przyklękła i przytuliła do siebie dziecko, lecz w tym samym momencie usłyszała oziębły, karcący głos ciotki.

– Znowu byłeś u lekarza, moja droga? Ach, byłabym zapomniała, że tym razem chodziło o krawca. W gruncie rzeczy nie obchodzi mnie, dokąd faktycznie tak często cię nosi, ale przypomnę, że czasy, gdy można się było stale wyręczać służbą, minęły już bezpowrotnie. Dziecko potrzebuje przede wszystkim obecności matki. Nawet tak płocha kobieta jak ty powinna zdawać sobie z tego sprawę.

– Ma cioteczka rację – uśmiechnęła się zimno Iza. – W rzeczy samej nie powinno to cioci obchodzić.

Po czym, kompletnie ignorując oburzenie starszej pani, wraz z córeczką podążyła do tonącego w majowej zieleni ogrodu. Po ostatnich deszczach rozwinęły się wreszcie liście i pąki kwiatów. Krzaki bzu niemal zupełnie zarosły dróżkę, która biegła od altany do furtki. Nieopodal tarasu pławiły

się w słońcu konwalie, a stokrotki, niczym kobierzec, ozdabiały wyrosłą bujnie trawę.

Jak tu spokojnie, pomyślała, bezwiednie rozglądając się wokół. Nawet jeśli życie w tym miejscu pod wieloma względami ją rozczarowało, to przynajmniej dawało jej poczucie bezpieczeństwa i jakiejś takiej życiowej stabilizacji. Być może właśnie to starały się jej uzmysłwić Piotrowa i Matylda, gdy kilka miesięcy temu mówiły, że jej tęsknota za Warszawą i marzenia, by wyrwać się z wiejskiej monotonii, niosą ze sobą poważne ryzyko. Zbyt poważne, by je podejmować. Nie posłuchała ich wtedy, zaryzykowała, a teraz ponosiła tego konsekwencje. Samo wspomnienie rozmowy z Wandą, a potem awantury ze Staszkiem, ponownie wywołało w niej uczucie rozpacz, gniewu i upokorzenia. Pozwoliła zrobić z siebie idiotkę. Czy jednak w głębi serca żałowała, że dała się porwać tamtemu szaleństwu? Przez kilka miesięcy czuła się przecież spełniona i szczęśliwa. I właśnie o tym postara się pamiętać za każdym razem, gdy będzie zmuszona patrzeć na Wandę i Staszka. Może jednak w jakimś sensie zatriumfowała nad swoją szwagierką?

Jan wrócił do domu dopiero o zmroku, niemal w ostatniej chwili przed godziną policyjną. W milczeniu zjadł odgrzaną kaszę ze skwarkami, a Iza nie przerywała tej ciszy. Odezwał się dopiero, gdy Matylda postawiła na stole samowar z herbatą.

– Mała już śpi? – spytał, ale takim tonem, jakby go to niespecjalnie interesowało.

Myślami był gdzie indziej – Iza odgadywała zresztą gdzie. Matylda jednak tego nie wiedziała i popatrzywszy ze smutkiem i troską na dwoje siedzących przy stole ludzi, odpowiedziała twierdząco. Weronika spędziła dziś niemal cały dzień w ogrodzie, toteż już wczesnym wieczorem była bardzo zmęczona.

– Niedługo będzie się miała z kim bawić w tym ogrodzie – powiedział. – Skoro nasza rodzina ma się powiększyć o kolejne dziecko...

W jego głosie nie było gniewu, nie było też radości. Raczej rezygnacja wynikająca z przyjęcia do wiadomości tego, czego zmienić się już nie da. Iza spodziewała się zresztą takiej reakcji, nie okazała więc zdumienia. W przeciwieństwie do niani, która otworzyła szeroko oczy, po czym spojrzała pytająco na swoją panią. Jan podążył za jej spojrzeniem.

– Wiem, że Wanda o wszystkim ci powiedziała – rzekł cicho.

– Panienska Wandzia? – spytała wyraźnie zszokowana Matylda. Nie ulegało wątpliwości, że inaczej zinterpretowała wiadomość o nowym, spodziewanym dziecku w rodzinie. Z pewnością nie wiązała tej nowiny z Wandą.

– Tak. Spotkałyśmy się dziś przypadkowo w Warszawie – odparła Iza.

– Mają się pobrać.

– Tak.

– O mój Boże... – westchnęła Matylda. – Niby wiem, że takie rzeczy zdarzały się i zawsze się będą zdarzać na tym świecie, ale akurat nasza Wandzia...

– Niby dlaczego nie? – przerwał jej sarkastycznie Reczyński. – Jest przecież nieodrodną córką swoich rodziców.

Staruszka stropiła się nieco, ale pokiwała głową.

– Wobec tego niech młodzi pobiorą się jak najszybciej – oświadczyła trzeźwo. – W takiej sytuacji nie ma co czekać. Zresztą każdy widział, że Wandzia świata poza tym młodzieńcem nie widziała. A i on oczami za nią wodził.

Jan nie odpowiedział, lecz Iza w dalszym ciągu czuła na sobie jego spojrzenie. Ze złością poczuła, że się czerwieni.

– Będzie należał do naszej rodziny – odezwał się po chwili głuchym, jakby wypranym z wszelkich emocji tonem.

– Na to wygląda – odparła Iza, wzruszając ramionami. Dokładała wszelkich starań, by jej głos zabrzmiał w miarę spokojnie, chłodno i obojętnie. Odruchowo zacisnęła jednak obie dłonie.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć to do wiadomości i zaakceptować. Zresztą ty chyba nie będziesz robiła z tego problemu? Przecież już jakiś czas temu sama wspominałaś, że chętnie ugościłabyś tu Stacha.

Czyżby usłyszała ironię w jego tonie? A może jeszcze coś? Ponownie poczuła gniew, nie była przecież ze stali. Jej nerwy także miały swoją wytrzymałość, a cierpliwość określone granice, które właśnie zostały przekroczone. Dość tego!

Kątem oka zdążyła jeszcze dostrzec wycofującą się z pokoju nianię i dopiero potem się uniosła.

– Jakie to ma znaczenie, skoro i tak cię nie obchodzi, co myślę i czuję? Sam mi przecież zakomunikowałeś, że to twój dom i ja nie mam tu nic do gadania!

– Uspokój się. – Podniósł do góry dłoń. – Nie ma sensu do tego wracać. Co było, to było – dodał.

Czy to mają być przeprosiny? – zakpiła w duchu. A potem uświadomiła sobie, że chyba nie ma prawa ani z niego kpić, ani się na niego gniewać. Nie powinna też zarzucać go pretensjami. Nie po tym, co robiła w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Nie znaczyło to jednak, że miała jakiegokolwiek wyrzuty sumienia.

– Widziałem się z nim dzisiaj – oznajmił nagle, a Izie w tym momencie serce niemal podeszło do gardła.

– Z kim? – spytała głucho. – Z Mikołajskim?

Z trudem wytrzymała jego spojrzenie.

– Tak. Musiałem z nim pogadać.

– Ach tak... – mruknęła. Nic innego nie przychodziło jej do głowy, a odniosła wrażenie, że mąż czekał na jakąś reakcję z jej strony.

– Chciałem mieć pewność, czy ten facet poważnie potraktuje swoje zobowiązania wobec Wandy. Czy jednak w ostatniej chwili nie wystawi jej do wiatru.

Po raz drugi tego dnia poczuła, jakby cała krew uderzyła jej do głowy.

– Tak? A w jaki sposób cię o tym zapewnił? – spytała z ironią. – Zażądałeś, aby zrobił to na piśmie i podpisał krwią?

Natychmiast zauważyła, że zaskoczyły go nie tylko jej słowa, lecz także pełen zapalczywości ton, jakim zostały wypowiedziane. Rozsądek podpowiadał jej, że powinna być ostrożna – zwłaszcza w takiej sytuacji, w jakiej się obecnie znajdowała – mimo to nie mogła powstrzymać wzburzenia.

Jan nie odpowiedział, podniósł się i wyszedł z pokoju. Tej nocy żadne z nich nie zmrużyło oka, odwróceniu do siebie plecami, starali się uporać z własnymi myślami. Przez kilka kolejnych dni złe przeczucia nie opuszczały Izy, a towarzyszył im narastający stale niepokój.

Gdy kilka dni później, podczas zabawy z dzieckiem w ogrodzie, zobaczyła idącego drogą teścia, w ułamku sekundy odgadła, że musiało stać się coś złego. Coś, co miało związek z Wandą i Staszkiem, a niewykluczone, że także i z nią. Jednak to, co usłyszała, na moment pozbawiło ją tchu i wszelkiego czucia. Poprzedniego wieczoru w domu w Wawrze znaleziono ciało Staszka. Wstępne oględziny wykazały, że nie żył już od ponad doby. Zażył cyjanek. Niezwłocznie zawiadomiono o tym jego kuzynkę, Jadwigę Mielską.

– Przybiegła zaraz do nas – relacjonował przygnębiony doktor Reczyński. – Krzyczała, że nie wierzy w jego samobójstwo. Że na pewno został zamordowany. – Opuścił głowę, mówił teraz bardzo cicho, ale rozumieli każde słowo. I słyszeli szloch wyrywający się z jego piersi. – Wandzia zemdląła. Próbowaliśmy jej pomóc... Przyszedł mi z pomocą doktor Ćwilowski, mój dawny znajomy, ale... Nic nie dało się już zrobić. Nie uratowaliśmy dziecka.

Iza rozplakała się dopiero w nocy. Płakała w poduszkę, mając nadzieję, że mąż nie usłyszy jej rozpaczliwego szlochu. Stało się jednak inaczej. Poczuła, że dotknął jej ramienia, a potem usłyszała, że wypowiedział jej imię. „To, co się stało, jest bardzo smutne – tłumaczył – ale nic się już nie poradzi”. Przede wszystkim jednak mówił o Wandzie – znowu o niej – że jakoś będzie musiała się pozbierać. Jest jeszcze taka młoda, w przyszłości na pewno kogoś pozna, niewykluczone, że będzie miała jeszcze inne dzieci. Teraz cierpi, ale czas leczy nie takie rany.

Słuchając go, Iza nie mogła powstrzymać odruchu zdumienia. Czyżby mąż próbował ją pocieszyć? Ubzdurał sobie, że płakała wyłącznie nad Wandą? Na to wyglądało, skoro nawet nie wymienił imienia Staszka.

Był twoim przyjacielem, chciała zaprotestować, nawet jeśli potem wasze kontakty się rozluźniły, nawet jeśli z powodu Wandy miałeś do niego żal, to przecież kiedyś dobrze się rozumieliście.

Oczywiście nie wykrzyczała tego na głos. Nie wyprowadziła go też z błędu, że wcale nie płakała nad Wandą. Że miała swoje własne powody do rozpaczki, do których jednak nie zamierza się przyznawać. Nie opowie mu, co łączyło ją ze Staszkiem, bo i po co? Nic by na tym nie zyskała, za to straciłaby nawet to, co jeszcze miała. Nic by jej wtedy nie zostało. Dokładnie tak, jak to ujął Staszek, gdy widziała go po raz ostatni.

Wspomnienie tamtej ostatniej rozmowy sprawiło, że instynktownie, wciąż płacząc, wtuliła się w ramiona męża, a on, choć początkowo zaskoczony, bynajmniej jej nie odtrącił.

Trzy tygodnie po pogrzebie Staszka nie miała już wątpliwości, że spodziewa się dziecka. Na początku czterdziestego piątego roku wydała na świat syna. Wszyscy wtedy mówili, że dziecko jest podobne do niej. W miarę upływu lat Iza dostrzegała w nim jednak coraz więcej cech, które wywoływały w niej żywsze bicie serca: wesołe, wręcz zawadiackie spojrzenie, towarzyskie usposobienie, żywiołowy temperament. I stale akcentowaną potrzebę niezależności, przejawiającą się także w odważnym wyrażaniu poglądów, które niekoniecznie musiały się innym podobać. I które na ogół nie podobały się jej mężowi.

Kiedyś, w młodości, ona także taka była: odważna, niezależna i samodzielna. Wyznaczyła sobie cel w życiu i śmiało kroczyła do przodu. W pewnym momencie się jednak pogubiła, skręciła nie tam, gdzie należało, i nie potrafiła już znaleźć powrotnej drogi. Małżeństwo okazało się błędem i pułapką. Poślubiła człowieka, którego – jak się okazało – właściwie nie знаła. On zresztą także jej nie znał. Podobnie jak mieszkańcy Jaktorowa, gdzie mieszkała już tyle lat, ciesząc się powszechną sympatią i szacunkiem. Ludzie ci jednak niewiele o niej wiedzieli, nie mieli też pojęcia, jak wyglądało jej życie, gdy była popychadłem w domu wujostwa, a potem ambitną, dobrze sobie radzącą studentką. Wreszcie zamkniętą w sobie, samotną i nieszczęśliwą żoną dziedzica na Bożanowie. Nikt też z poczciwych, bogobojnych mieszkańców Jaktorowa nawet nie podejrzewał, do jakiej miłości i szaleństwa była zdolna ponad czterdzieści lat temu. I jak skończyła się tamta historia, nie tylko zresztą dla niej. Nie tylko jej mąż porzucił swoje młodzieńcze ideały i poszedł na kompromis z rzeczywistością, którą przecież – nawet przez moment w to nie wątpiła –

w gruncie rzeczy gardził. Ona postąpiła tak samo. Z tego samego powodu co on – po prostu uznała, że nie ma innego wyjścia. I chyba nie najgorzej odgrywała rolę oddanej, spolegliwej żony, sympatycznej sąsiadki, miłej i kompetentnej pani weterynarz. A także kochającej matki, wreszcie babki. Choć zawsze towarzyszyła jej świadomość, że nawet ukochane dzieci i wnuki także niewiele o niej wiedzą.

Jedynym człowiekiem, który zdołał ją poznać, był Staszek. Tylko on zdawał sobie sprawę, jaka była naprawdę. A ich syn na każdym kroku jej o tym przypominał – patrząc na niego, słuchając go, widziała samą siebie sprzed lat. A przy okazji także człowieka, dla którego w przeszłości straciła głowę. W takich chwilach nigdy nie żałowała, że dała się ponieść tamtej namiętności. Nawet jeśli jej cena okazała się bardzo wysoka.

Teraz, gdy dzieci i wnuki coraz rzadziej zaglądały do Jaktorowa, pociechą były już tylko wspomnienia. A także pielęgnowana całymimi latami nadzieja, że jej uczucie było jednak odwzajemnione. Przynajmniej przez pewien czas, przynajmniej do pewnego stopnia. Rozsądek podpowiadał wprawdzie co innego, ale postanowiła zignorować jego głos. Zresztą – czy te wspomnienia, ta nadzieja mogły jeszcze komukolwiek zaszkodzić?

Rozdział 18

Dziś, z perspektywy ponad dwudziestu lat, potrafię już zdobyć się na pewien dystans do tamtych spraw. Lecz owego wiosennego dnia pięćdziesiątego pierwszego roku, gdy po rozmowie z Jadzią Mielską wybiegłam z jej mieszkania, nie było to możliwe.

Nie pozwalając, aby emocje choć trochę opadły – wręcz przeciwnie, naładowana nimi po brzegi – pobiegłam na dworzec autobusowy, skąd udałam się do Jaktorowa. O mój Boże, cóż to była za podróż! Resztki rozsądku powstrzymywały mnie, by nie wyskoczyć po drodze z pojazdu i nie pobiec tam na własnych nogach, na przełaj, przez pola i lasy. Nadludzkim wprost wysiłkiem wytrzymałam w zatłoczonym autobusie, z tłumem ludzi przestępujących z nogi na nogę, a kiedy wreszcie znalazłam się na miejscu i dosłownie bez tchu wpadłam do domu mojego brata i bratowej, w pierwszej chwili nie byłam w stanie wydusić z siebie głosu. Mój widok zaskoczył ich, a zarazem przeraził. Nic dziwnego, skoro zupełnie się mnie nie spodziewali, a w dodatku nawet nie starałam się ukrywać wzburzenia.

Byli sami, w każdym razie nigdzie nie widziałam dzieci. Zresztą ich obecność z pewnością by mnie nie powstrzymała przed wykrzyczeniem tego, co leżało mi na sercu. Dziś jednak dziękuję Bogu, że Weronika i Oskar nie byli świadkami tamtej awantury. Że szczęśliwym zrzędzeniem losu akurat

przebywali poza domem. W szkole? W przedszkolu? W odwiedzinach u koleżanek i kolegów? Nie pytałam i do tej pory tego nie wiem.

– Na litość boską, co się stało?! – spytał zaniepokojony Janek, podchodząc do mnie szybkim krokiem. Chwycił mnie za rękę i w tym samym momencie zobaczył obrączkę na moim palcu.

Przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, a ponieważ wciąż miałam jeszcze ściśnięte gardło, zapanowała wokół nas prawdziwie grobowa cisza. Podniosłam wzrok na bratową, siedziała jak przykuta do krzesła, a po wyrazie jej twarzy poznałam, że domyśliła się, dlaczego przyjechałam. Ale i ona milczała.

– Więc jednak to zrobiłaś – odezwał się wreszcie Janek, wskazując wzrokiem na obrączkę. W jego głosie słyszałam gniew, zawód, dezaprobatę. – Uparłaś się jak osioł. Jak zwykle postawiłaś na swoim. Chociaż ci tłumaczyłem, dlaczego nie powinnaś tego robić. Zawsze byłaś narwana i tak ci zostało.

Już wcześniej przewidywałam, że tak właśnie zareaguje na wiadomość o moim małżeństwie, ale równocześnie naiwnie wierzyłam, że koniec końców zaakceptuje mój wybór. Przecież zawsze w końcu mi ustępował, musiałam tylko cierpliwie poczekać. Lecz spotkanie z Jadwigą i to wszystko, czego się od niej dowiedziałam, rozwiało wszystkie dotychczasowe złudzenia.

– Tak – odparłam wzburzona. – Coś tam bredziłeś. Czy wobec tego planujesz spotkać się z moim mężem? Będziesz go przekonywał do rozwodu ze mną? A jeśli się nie zgodzi, to co zrobisz? Postraszysz go swoimi nowymi, bardzo wpływowymi przyjaciółmi? Staszкови także groziłeś? W końcu, jak by na to nie patrzeć, zginął wkrótce po tym, jak odwiedziłeś go w jego domu.

– Odbiło ci? – spytał niebezpiecznie przyciszonym tonem, ale nie miałam wątpliwości, że moje słowa nim wstrząsnęły.

– Być może się mylę – odparłam, nie poznając własnego głosu. Brzmiał tak metalicznie, obco. – Być może zawsze się myliłam i wszystko, co się stało ze Staszkiem, ma zupełnie inne wytłumaczenie.

– Opamiętaj się wreszcie, idiotko – syknął. Zrobił taki ruch, jakby chciał mną potrząsnąć, lecz w ostatnim momencie się opanował. – Co się z tobą dzieje, do jasnej cholery?!

Domyślałam się, jak to musiało wyglądać z jego punktu widzenia. Przecież od lat nie rozmawialiśmy już o Staszku. Nie wspominaliśmy, nie analizowaliśmy tych wszystkich pogłosek na temat okoliczności jego śmierci. Po prostu zawarliśmy milczące porozumienie, że nie będziemy się tym zajmować. Po śmierci Staszka i stracie dziecka niewiele mnie już w życiu obchodziło. Wszelkie dochodzenia i wyjaśnienia nie były mi już do niczego potrzebne. Tak czy owak, nie wierzyłam przecież w żadne znieślawiające go pogłoski. To on był ofiarą, a oprócz niego ja i nasze dziecko. Żadne dochodzenie ani ewentualne zadośćuczynienie nie mogły zrekompensować mi tej straty. Nie mogły przywrócić życia zmarłym. Zresztą czas w końcu zrobił swoje, a bryła lodu, w którą zamieniło się moje serce, okazała się skutecznym kompresem na tamtą ranę. Dlatego bardzo pilnowałam, aby jej nie poruszyć. Nie pozwalałam sobie na żadne wspomnienia o Staszku i unikałam ludzi, którzy starali się te wspomnienia wywołać. Wobec tego w pewnym momencie przestałam spotykać się z Jadzią. Stare znajomości zastąpiłam nowymi. Tylko dzięki temu mogłam jakoś funkcjonować. Pracować i studiować. Cierpienie zastąpiła obojętność. I tak naprawdę dopiero Paolo przywrócił mnie do życia. Tylko dzięki niemu, gdy lód w sercu stopniał, stare rany nie otworzyły się na nowo.

W każdym razie do pewnego stopnia rozumiałam zaskoczenie, a nawet wzburzenie mojego brata, gdy tak nagle, po kilku latach zaatakowałam go w sprawie Staszka. Nie spodziewał się tego, dlatego zareagował tak gwałtownie. W gruncie rzeczy jednak nie o niego najbardziej mi teraz chodziło.

– A co ty robiłaś u Staszka niedługo przed jego śmiercią?! – zwróciłam się do bratowej, siedzącej nieruchomo na krześle. – Jak to w ogóle możliwe, że go odwiedzałaś, skoro podobno tak go nie znosiłaś? A może jednak było inaczej? Widocznie coś mi umknęło.

– Tobie naprawdę odbiło – powtórzył mój brat. – Może to skutek uboczny łóżkowych wygibasów z tym twoim włoskim kochasiem?

Dosłownie cedził każde słowo spokojnym, lodowatym, twardym tonem, ale widziałam, że po jego twarzy przebiegło nerwowe drgnienie. Nagle przypomniał mi się tamten dzień, gdy przedstawił mi swoją narzeczoną, a potem stanowczo zabronił, abym ją krytykowała. Tym razem jednak zdawał się przekraczać wszelką miarę. Takim tonem i takimi słowami nie przemawiał do mnie nigdy dotąd. Czy to dlatego, że teraz naprawdę dopieklam mu do żywego? Bez porównania bardziej niż wówczas, gdy stwierdziłam, że Jadzia Mikołajska daleko bardziej by mi odpowiadała w roli bratowej?

Iza jednak w dalszym ciągu milczała. Nie odpowiedziała na moje pytanie, nie odwzajemniała także mojego spojrzenia. Nie odwracała wzroku od okna. Jakby nie docierały do niej żadne słowa, choć ja nie miałam wątpliwości, że usłyszała każde z nich.

Gdy na nią patrzyłam, przypominałam sobie chwilę, gdy jej wyznałam, że spodziewam się dziecka i zaręczyłam się ze Staszkiem. Jej zdystansowana reakcja wcale mnie wówczas nie dziwiła – nie spodziewałam się przecież entuzjastycznej aprobaty ani z jej strony, ani ze strony moich rodziców

i brata. A jednak... W zachowaniu bratowej, w jej spojrzeniu, w jej głosie było coś, co już wówczas powinno było mnie zastanowić. Ale wtedy czułam się zbyt szczęśliwa, aby łamać sobie tym głowę.

Zrobiłam to teraz i... poczułam się tak jak tamtego straszego dnia, gdy dowiedziałam się o śmierci Staszka. To był dokładnie ten sam ból. Jakby Staszek umarł po raz drugi. Cóż, w pewnym sensie tak właśnie było. Tyle że tym razem już po nim nie zapłakałam. Przeciwnie – czułam, jakbym w piersiach zamiast serca miała twarde, zimny kamień.

– Nie chcę was znać – oznajmiłam, dziwiąc się, że udaje mi się to mówić tak spokojnie, bez emocji, bez najmniejszego drgnienia w głosie. – Nie chcę was już nigdy widzieć. Jesteś żaloszny. – Ta uwaga dotyczyła Janka. Przy drzwiach rzuciłam jeszcze ostatnie spojrzenie na nią. – A ty chyba sama wiesz, kim jesteś. Nigdy ci nie wybaczę i nigdy nie zapomnę, co mi zrobiłaś.

Żadne z nich nie odpowiedziało, żadne nawet nie ruszyło się z miejsca.

Przed samym wyjazdem do Paryża zdecydowałam się jeszcze odwiedzić kuzynkę Rozalię, którą do tej pory tak niefrasobliwie zaniedbywałam, także wówczas, gdy po śmierci rodziców została zupełnie sama. Mimo to przyjęła mnie jak przyjaciółkę, wysłuchała, okazała zrozumienie. Szczerze żałowałam, że nigdy wcześniej nawet nie próbowałam się do niej zbliżyć.

Dziś, z perspektywy ponad dwudziestu lat, jestem już w stanie zdobyć się na pewien dystans do tamtych spraw. Sprawilo mi to wielką ulgę. Nie boję się już wspomnień, bo nie towarzyszą im żadne niedobre emocje. Zamiast nich czuję już tylko spokój... i tęsknotę. Być może pomogły mi w tym lata spędzone u boku Paola, jego oddanie, szczerza i bezwarunkowa miłość. Udało mi się także zaprzyjaźnić z dziećmi – pokochałam je i nadal traktuję tak, jakby naprawdę były moje. W Paryżu zawarłam liczne znajomości, życzliwych ludzi nigdy mi tutaj nie brakowało. To sprawilo, że przez długie lata nie wracałam już myślami do przeszłości. Mogłoby się wydawać, że się

od niej odcięłam, przekreśliłam ją. W pewnym sensie narodziłam się na nowo. Chyba podświadomie tak to właśnie odbierałam. Tak właśnie czułam.

Ale to się zmieniło.

Teraz, gdy już wiem, że nie mam przed sobą długiej przyszłości, potrafię, a przynajmniej próbuję, zdobyć się na pewien obiektywizm. I przychodzi mi to nadspodziewanie łatwo, bez tamtej goryczy, złorzeczeń. Bez nienawiści. Dojrzałam wreszcie, by pogodzić się z tymi, którym przed laty wykrzyczałam, że nigdy więcej nie chcę ich widzieć i nigdy im nie wybaczę. Wybaczyłam, jestem gotowa zrozumieć. To właśnie starałam się wyjaśnić w moich listach. Czy mi się udało? Nie wiem, wciąż czekam na odpowiedź.

Nigdy się tej odpowiedzi nie doczekałaś, westchnęła w duchu Weronika, wodząc palcami po cienkich, pożółkłych już kartkach starego notesu podarowanego jej przez Rozalię. A potem sięgnęła po fotografię Wandy.

Po powrocie z Jaktorowa zasiadła beczynnienie w fotelu, choć przecież następnego dnia zaczynał się nowy tydzień pracy, powinna była zatem przygotować się do poniedziałkowych zajęć szkolnych. Machnęła jednak na to ręką. Mniejsza z tym, jakoś to będzie. Czasem trzeba dać sobie trochę luzu i przynajmniej odrobić zwolnić.

Jeszcze raz wróciła myślami do weekendu spędzonego z rodzicami. Do rozmowy z ojcem. I do tego wszystkiego, czego dowiedziała się od matki. Izabella uparła się, że tym razem to ona podwiezie córkę na przystanek autobusowy w miasteczku, choć, podobnie jak poprzedniego dnia, Weronika wolała udać się tam piechotą. Sama, jedynie w towarzystwie własnych myśli. Ale tak jak wczoraj, gdy powstrzymała odruch niezadowolenia na widok czekającego na nią ojca, dzisiaj też nie opierała

się długo prośbom matki. Przy okazji jednak postanowiła zapytać ją o listy z Paryża. Czy rzeczywiście nigdy nie dotarły do Jaktorowa? A może jednak było inaczej?

– Zniszczyłam je – odparła cicho Izabella. – To ja je odebrałam i spaliłam. Przeraziłam się, gdy zobaczyłam, kto jest nadawcą. Przecież wcześniej zapowiedziała, że nie chce mieć z nami nic wspólnego. Że nigdy mi nie wybaczy i nie zapomni. Dlaczego nie dotrzymała słowa? Skoro przez tyle lat trzymała się od nas z daleka, mogło już tak pozostać. Tak wtedy myślałam. Nie chciałam, żeby na nowo zaczęła jątrzyć w naszej rodzinie i tym samym poruszyła skamielinę, której oboje z twoim ojcem nie tykaliśmy już od lat. Po prostu nie mogłam do tego dopuścić.

– Przeczytałaś je? – Zadając to pytanie, Weronika nie patrzyła na matkę; wodziła wzrokiem po koronach mijanych drzew.

– Nie. Nawet ich nie otworzyłam.

– Nic cię nie tłumaczy – skomentowała oschle.

Izabella mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy.

– Obchodziło mnie tylko jedno: aby twój ojciec nie dowiedział się o tych listach. Nie mogłam mieć pewności, czy ktoś na poczcie, choćby mimochodem, o nich nie wspomni. Mimo to postanowiłam zaryzykować. W razie czego gotowa byłam wytłumaczyć mu, że po prostu wybrałam mniejsze zło. Choć oczywiście nie mogłam przewidzieć jego reakcji. No, ale... – Ponownie westchnęła. – Najwyraźniej nikt na poczcie o niczym mu nie wspomniał. W każdym razie ojciec o nic mnie nie zapytał.

Weronika rzuciła krótkie spojrzenie na matkę i przez ułamek sekundy miała wrażenie, że na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech. Oczywiście mogło to być tylko złudzenie, niemniej naszała ją chęć, by nieco dokuczyć Izabelli.

– My jednak zapytaliśmy – rzekła. – To znaczy ja i Oskar – uściśliła.

– Tak – odparła ponuro Reczyńska i tym razem cień na jej twarzy z pewnością złudzeniem już nie był. – Wtedy dotarło do mnie, że być może nie da się dłużej trzymać tamtych spraw w tajemnicy przed wami. Po tym, jak dotarliście do Lucii Bellodi i do Rozalii, było kwestią czasu, że zapytacie. Twój ojciec dał mi to jasno do zrozumienia. Ja jednak wciąż trzymałam się resztek nadziei. Jak widać nie miało to sensu.

Zaparkowała samochód na poboczu drogi, nieopodal przystanku, przy którym zebrała się już gromadka podróżnych.

– Powiesz o tym Oskarowi? – zagadnęła nagle Weronika.

– Myślisz, że się jeszcze nie domyślił? – odpowiedziała prawie szeptem matka.

– Jak mógł się domyślić?! – obruszyła się Weronika i w tym samym momencie pojęła, że to wcale nie było takie niemożliwe. Oskar już od pewnego czasu podchodził z zastanawiającą rezerwą do wszelkich pomysłów w kwestii dalszego drażenia rodzinnej przeszłości.

„Wiem już wszystko, co trzeba” – tak to jakoś ujął. Dał do zrozumienia, że zna prawdę.

– Zawsze był taki bystry, taki przenikliwy – podjęła po chwili Izabella. Nawet nie starała się ukryć dumy w głosie. – Już jako dziecko bez trudu rozwiązywał różne zagadki i łamigłówki. Potrafił czytać między wierszami i wyciągać właściwe wnioski. A przecież tym razem wskazówek mu nie brakowało.

– Bez wątplenia bystrzak. Jak ty i jak tamten! – wyrzuciła z siebie Weronika. – Inaczej niż ja i mój ojciec. To chciałaś powiedzieć?

– Nie chciałam cię urazić. – Matka wykonała ruch, jakby chciała dotknąć jej ramienia, ale Weronika zręcznie się uchyliła. W tym momencie nie życzyła sobie żadnych czułości. Marzyła o tym, by matka wreszcie zostawiła ją samą i odjechała do domu.

Kątem oka dostrzegła wreszcie autobus, który wyłonił się zza zakrętu. Dzięki Bogu, pomyślała. Czując, że matka nieśmiało, jakby lękliwie dotknęła jej dłoni, odwzajemniła uścisk, nie odwzajemniając jednak spojrzenia. Szczęśliwie wewnątrz pojazdu nie było tłoku, toteż bez trudu znalazła miejsce siedzące, w dodatku przy oknie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że matka machała jej na pożegnanie, ale udała, że jest bardzo zajęta upychaniem swojej podróźnej torby pod siedzeniem. Potem, gdy autobus wyjechał wreszcie na trasę, zupełnie obojętnie i bezrefleksyjnie śledziła przesuwane się przed jej oczami jesienne krajobrazy.

Po powrocie do domu raz jeszcze przejrzała pamiętnik ciotki i z czułością popatrzyła na jej zdjęcie. I dopiero przed samym zaśnięciem wróciła myślami do matki. Do Wandy przynajmniej los się w końcu uśmiechnął... Związała się z człowiekiem, który ją kochał i nie zawiódł, który był jej szczerze oddany. Była bardzo szczęśliwa. Izabelli Reczyńskiej pozostały jedynie wspomnienia, którymi rozpaczliwie próbowała wypełnić coraz bardziej dotkliwą pustkę w swoim życiu.

Rozdział 19

Pierwszy tydzień grudnia przyniósł ze sobą bardzo zimną, ale bezśnieżną pogodę. Odrobina białego puchu z pewnością sprawiłaby, że świat nie wyglądałby tak przygnębiająco i tak ponuro, nic jednak nie zapowiadało opadów. W każdym razie na pewno nie opadów śniegu.

Cholerny ziąb, pomstował w duchu Oskar, otulając szczelniej szalikiem szyję. Gdy z nagich gałęzi pobliskiego drzewa spadły mu na głowę lodowate, wilgotne krople, w pierwszym odruchu chciał zawrócić. Poszedł jednak dalej.

Przyszło mu do głowy, że przy tak marnej aurze jest bardzo mało prawdopodobne, aby ktokolwiek oprócz niego kręcił się po cmentarzu. Na wszelki wypadek, gdyby jednak miało stać się inaczej, mógł zawsze w porę uczynić w tył zwrot. Grób Stanisława Mikołajskiego znajdował się w takim miejscu, że z daleka można było dostrzec ewentualnych odwiedzających.

Oskar zdecydował się tu przyjść po raz drugi w ciągu ostatniego miesiąca. Zarówno wtedy, jak i teraz nikomu nie pisań na ten temat słowa. Za pierwszym razem, gdy zasięgnął dokładnych informacji u administratora cmentarza, gdzie ma szukać tego właśnie miejsca, pogoda była jeszcze gorsza niż dziś, bo padał ulewny deszcz. Miało to jednak tę zaletę, że faktycznie, zarówno przy grobie Mikołajskiego, jak i przy innych pomnikach, jak okiem sięgnąć, nie było nikogo. I choć kilka dni później

wypadał dzień Wszystkich Świętych, nikt nie kwapił się, by sprzątać i myć nagrobki.

Dzięki temu mógł pobyć tu sam, a jedynym towarzystwem były jego własne myśli i pytania, na które wciąż nie potrafił sobie odpowiedzieć, lecz nie chciał ich nikomu stawiać. Także temu zmarłemu, leżącemu pod starą, podniszczoną już płytą. Pewnie przydałaby się nowa, pomyślał nawet, patrząc na zatarte litery imienia i nazwiska. Jadwiga Mielska najwyraźniej dokładała wszelkich starań, by miejsce ostatniego spoczynku jej kuzyna nie sprawiało wrażenia zaniedbanego, niewykluczone jednak, że nie miała dość środków, by je odnowić.

Oskar wzruszył ramionami. Nie przyszedł tu po to, by zastanawiać się nad renowacją grobu. To zadanie dla bliskich zmarłego, on zaś nie zaliczał siebie do tego grona. Tym samym do niczego się nie poczuwał. Nie miał żadnych zobowiązań wobec tamtego. Niczego mu nie zawdzięczał – przeciwnie – ilekroć o nim pomyślał, czuł gniew i urazę. A jednak tu wrócił. Przyszedł po raz drugi. Nie potrafił tego w żaden racjonalny sposób wytłumaczyć; po prostu czuł, że musi ponownie się tu pojawić. Jak gdyby coś go przyzywało. Jakby ktoś go tu wołał. Wobec tego pojawił się na cmentarzu, umyślnie wybierając ten paskudny dzień, w nadziei, że nikogo tu nie zastanie. I teraz, zziębnięty prawie do szpiku kości, przemierzał cmentarne alejki, na wszelki wypadek uważnie rozglądając się wokół. Jednak i tym razem, podobnie jak to miało miejsce poprzednio, nikogo nie zauważył.

Staął więc ponownie nad tym grobem i od razu nasunęło mu się spostrzeżenie, że stary, wapienny krzyż był chyba bardziej przechylony niż miesiąc temu. Potem jednak odsunął od siebie tę myśl. To tylko złudzenie, pomyślał. Czego by nie dał, aby ta cała koszmarna historia mogła okazać się jednym wielkim złudzeniem!

Podobnie jak miesiąc temu, miał pustkę w głowie. I tak jak wówczas nie czuł niczego prócz dojmującego chłodu.

Włożył zmarznięte dłonie do kieszeni, powiódł wzrokiem po sąsiednich pomnikach. I wtedy drgnął na całym ciele, jakby zobaczył upiora. W istocie była to postać z krwi i kości.

Jan Reczyński stał kilkadziesiąt metrów dalej, w głównej alejce, i patrzył na niego bez słowa.

Cholera, chyba mam przywidzenia, zdrygnął się mimowolnie Oskar, czyżby umysł zaczął płać mi figle? Nie było przecież żadnego racjonalnego wytłumaczenia dla obecności ojca (wciąż nie potrafił inaczej go nazywać) w tym miejscu, o tej porze, przy takiej pogodzie.

W dodatku właśnie dzisiaj, gdy i ja się tu przywlokłem, dodał w myślach. Żadnego, kompletnie żadnego wytłumaczenia, chyba że...

– Co ty tu robisz? – zapytał na tyle głośno, by tamten go usłyszał. Jeśli nie odpowie, to znaczy, że jest jednak zjawą. A ponieważ zjawy należą do świata zmarłych...

Zrobiło mu się słabo, czuł, jak uginają się pod nim kolana. Zaraz jednak wziął się w garść. Baran ze mnie, ofuknął się w duchu. Tym bardziej że w tej samej chwili usłyszał odpowiedź.

Jej treść ponownie go zmroziła.

– Przyjechałem tu za tobą.

Czyli nie tylko ja fiksuję, skonstatował Oskar. Zmusił się do parsknięcia śmiechem.

– Mam rozumieć, że mnie śledziłeś?

– W pewnym sensie tak.

Coraz lepiej, uznał Oskar, w dodatku rozmowa zaczyna nam się kleić. Choć przecież nie przypominał sobie, by kiedykolwiek rozmawiali ze sobą w taki sposób. Te ich wszystkie dotychczasowe rozmowy, te spory,

dyskusje, ustawiczne skakanie sobie do oczu – przynajmniej teraz potrafił zrozumieć, dlaczego w taki, a nie inny sposób układały się stosunki między nimi. Do niedawna inaczej to interpretował.

– Nie podejdziesz i nie przywitasz się ze swoim kumplem? – zakpił, wskazując na grób. Wiedział, że te słowa i ten ton nie przystawały ani do miejsca, ani do okoliczności, ale przeszedł nad tym do porządku dziennego.

Reczyński w odpowiedzi pokręcił głową.

– Zaczekam tutaj, nie spiesz się.

Na sąsiednim drzewie zaskrzeczała wrona; zabrzmiało to jak upiorny śmiech, jak komentarz całej tej anormalnej sytuacji.

– Już skończyłem – ponownie parsknął Oskar i podszedł do starego. Naprawdę w ostatnim czasie się postarzał, pomyślał, rzuciwszy na niego uważniejsze spojrzenie. – A zatem śledziłeś mnie. Co to ma znaczyć? Zmieniłeś fach? Bawisz się w detektywa? Pewnie nudzisz się na emeryturze? Nie dziwię się, emerytura na takim zadupiu jak Jaktorowo każdego mogłaby skłonić do dziwacznych zachowań.

Wzruszył ramionami i nie oglądając się na ojca (jak niby miał go teraz nazywać?), ruszył przed siebie. Jan Reczyński po chwili się z nim zrównał.

– Chciałem się z tobą zobaczyć – rzekł. – Dawno u nas nie byłeś.

– Dawno – zgodził się Oskar. – Czy to powód, by snuć się za mną ulicami Warszawy? Dlaczego nie przyjechałeś do mojego mieszkania?

Dzięki Bogu, że tego jednak nie zrobił, dodał w myślach. Nie przypominał sobie, kiedy stary odwiedził go ostatnio. Chyba nie lubił do niego przyjeżdżać, a Oskar także nie upominał się o te wizyty. Niemniej, dla zachowania pozorów, wypadało zadać takie pytanie. W danej sytuacji jak najbardziej zresztą uzasadnione. Jeśli ojciec koniecznie chciał się z nim widzieć (o przyczynach, które za tym stały, Oskar wolał na razie nie myśleć), to czemu, na Boga, nie pojawił się u niego w domu?

– Ciężko cię tam zastać – mruknął Jan. – Prowadzisz wybitnie nieunormowany tryb życia.

– Aha – skinął głową Oskar. – I wobec tego przyszło ci do głowy, aby poszukać mnie na Cmentarzu Brudnowskim?

– Czekałem na ciebie przy budynku twojej firmy. – Stary Reczyński puścił mimo uszu sarkazm i kpinę zawarte w słowach Oskara. – Usiadłem w tej małej kawiarence naprzeciwko. Stamtąd miałem dobry widok na każdego wchodzącego i wychodzącego.

– Jak rasowy detektyw – skwitował Oskar w pozornym podziwie. W istocie ponownie poczuł mróz rozchodzący się po kościach.

– Nie bardzo. Jednak się zagapiłem i początkowo cię przeoczyłem. Gdy się zorientowałem, byłeś już niedaleko przystanku. Niemal cudem wskoczyłem do tego samego autobusu, co ty. Tym razem nie spuściłem cię z oka, choć dzielił nas spory tłum ludzi.

– No, proszę. Punkt dla ciebie. – Tym razem podziw nie był bynajmniej pozorny. – Miałeś szczęście, że nie jechałem samochodem.

– Właśnie. Coś się stało?

– Skrzynia biegów, oddałem do warsztatu – rzucił niedbale, nawet nie odwracając się do tyłu.

– Oskar... – Jan nie wytrzymał. – Na litość boską, zwolnij trochę. Na dłuższą metę nie dam rady za tobą nadążyć.

Rzeczywiście z trudem łapał oddech. Oskar rzucił na niego przelotne, niechętne spojrzenie, ale zatrzymał się. A potem dostosował tempo marszu do kroków starszego mężczyzny.

– Dobrze się czujesz? – spytał po dłuższej chwili.

– Nic mi nie jest – odparł Jan, a następnie dodał: – Za nim także nigdy nie mogłem nadążyć... Nie wspominając już o tym, że on również prowadził nieunormowany tryb życia.

Słyszając to, Oskar chciał w pierwszym odruchu ponownie przyspieszyć, i to tak, aby stracić starego z oczu, powściągnął jednak emocje. Nie miał zamiaru zachowywać się jak rozhisteryzowany nastolatek.

– Rozumiem, że masz do mnie jakąś sprawę? – zagał chłodno.

– Wiem, że matka zapraszała cię do nas na święta – zawahał się Reczyński. Miał w tym momencie bardzo niepewną minę, w oczach prośbę i lęk. – Podobno odmówiłeś.

– Zgadza się. W tym roku lepiej będzie, jeśli zostanę u siebie. Dla dobra nas wszystkich.

– Oskar... – Reczyński położył mu dłoń na ramieniu. – Nie rób jej tego. Nie rób tego nam, proszę.

Nigdy dotąd, ani razu w swoim życiu Oskar nie słyszał takiego tonu w głosie tego człowieka. I pomimo najbardziej intensywnych wysiłków nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek go o coś prosił. By w taki sposób zwracał się do kogokolwiek z rodziny.

– Może innym razem – odparł wobec tego łagodniejszym tonem. – Na pewno w końcu do was wpadnę. Ale dajcie mi trochę więcej czasu. Muszę to wszystko jakoś sobie poukładać w głowie. – Poczul, jak stopniowo zaciska mu się krtań. – Do Bożego Narodzenia nie zdążę tego zrobić.

Zajęci rozmową, w pierwszej chwili nie zauważyli, że już minęli przystanek autobusowy. Gdy to sobie uświadomili, obaj, jak na komendę odwrócili głowy, ale kontynuowali marsz.

– Ja to naprawdę rozumiem. Wiem, co czujesz – podjął stary. – Ale... Jak by to ująć... Tu już nie ma czego układać sobie w głowie. Po co jeszcze bardziej wszystko komplikować? Jakby mało było, że po tylu latach znowu to rozgrzebano. Zupełnie bez sensu.

– Zupełnie bez sensu by było, gdybym jednak przyjechał do Jaktorowa na święta – zniecierpliwiał się Oskar. – Jak to sobie wyobrażasz? My

wszyscy przy wigilijnym stole, z choinką i świętym Mikołajem? – skrzywił się ironicznie.

Gdy tylko to sobie wyobraził, zrobiło mu się niedobrze.

– Może nie będzie tak źle – uśmiechnął się nagle Jan, a w wyrazie jego twarzy było coś, co Oskara zastanowiło.

I choć nie zamierzał ustępować, poczuł, że jednak zaczyna trochę mięknąć. W uporze człowieka, którego przez całe dotychczasowe życie uważał za swojego ojca, w jego determinacji, by nadchodzące święta spędzili razem, było coś poruszającego. Nawet wzruszającego.

– Nie będziecie przecież sami – mruknął. – Na pewno przyjedzie Weronika, z nią chłopaki...

– Tak. Ją już udało mi się przekonać.

– Przekonać?

Oskar nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Stary musiał przekonywać ukochaną córkę, by przyjechała na święta do Jaktorowa? To prawda, że Weronika, a także jej synowie, w ostatnim czasie rozluźnili nieco związki z rodzicami i dziadkami, lecz trudno było sobie wyobrazić, by dotyczyło to także Bożego Narodzenia.

Chyba faktycznie niepotrzebnie po latach rozgrzebano tamtą sprawę. Cena prawdy była jednak zbyt wysoka dla całej ich rodziny.

– Weronika także nie chciała do was przyjechać? Musiałeś ją do tego namawiać? – Nie miał pewności, czy dobrze zrozumiał. Siostra nie wspominała mu o swoich wątpliwościach.

– Ale przyjedzie – odparł stary i w jego oczach ponownie pojawił się ten sam uśmiech, co kilkadziesiąt sekund temu. – Zresztą nie tylko ona – dodał, niby od niechcienia.

– Przecież wiem, że nie ruszyłaby się bez Michała i Piotrka. – Oskar wzruszył ramionami. – A zatem sprawa załatwiona. Nie będziecie z matką

sami.

Naprawdę poczuł w tym momencie ulgę. Mimo wszystko nie życzył tym dwojgu, aby w czasie świąt byli skazani jedynie na swoje własne towarzystwo. Wystarczyło, że tak właśnie wyglądała ich codzienność.

– Mówiąc, że Weronika nie przyjedzie sama, wcale nie miałem na myśli chłopaków – odparł pozornie obojętnym tonem Reczyński. – W każdym razie nie tylko ich.

Już się nie uśmiechał, ale patrząc na niego, Oskar dałby sobie rękę uciąć, że w środku śmiał się do rozpuku. Choćby na widok jego kompletnie osłupiałej miny. Oskar sam w duchu przyznawał, że musiał w tym momencie wyglądać nad wyraz pociesznie. Przez dobrą chwilę stał jak wryty na środku chodnika, a kiedy wreszcie doszedł do siebie, postanowił się jednak upewnić, czy dobrze słyszał. Albo czy do końca zrozumiał.

– Zauważyłem, że od pewnego czasu częściej się ze sobą widują – podjął, ostrożnie badając grunt. – Wprawdzie ani Weronika, ani Jarek z niczego mi się nie zwierzali, ale odniosłem wrażenie, że...

– Wiem – przytaknął Jan z udaną, żartobliwą rezygnacją w głosie.

– Zawsze za sobą tęsknili. Wciąż się kochają. Nigdy nie powinni się rozstawać. Nigdy. – Teraz Oskar mówił już śmieiej, nawet z pewnym wyzwaniem w głosie.

– Wiem.

– Nawet jeśli w przeszłości Weronika potrzebowała jakiegoś wsparcia, to z pewnością nie takiego, jakiego oboje z matką jej udzielaliście.

– Pewnie masz rację.

Mierzyli się uważnymi spojrzeniami, ponownie zwolnili kroku.

– Co sprawiło, że wreszcie się ze mną zgodziłeś? – spytał cicho Oskar.

– A jakie to ma teraz znaczenie? – odparł Jan, odprowadzając wzrokiem przejeżdżające samochody.

Chcesz powiedzieć, że z wiekiem człowiek mądrzeje? – zakpił w duchu Oskar, powstrzymał się jednak przed wypowiedzeniem tych słów na głos. Podobne komentarze nie miały już sensu, były zupełnie niepotrzebne. Stary miał rację, liczyło się już tylko to, że przynajmniej jeden fatalny błąd w życiu ich rodziny miał realną szansę na naprawę. Nie pozostawało zatem nic innego, jak się cieszyć i kibicować całemu przedsięwzięciu. Jaka szkoda, że na naprawę innych pomyłek, na wycofanie się z innych nietrafionych decyzji było już za późno.

I nagle Oskar zupełnie spontanicznie postanowił zagadnąć o przeszłość. O tamte „niepotrzebnie rozgrzebane” sprawy, pomyłki, złe decyzje, choć przecież jeszcze parę minut temu ewentualność rozmowy na ten temat przyprawiała go o białą gorączkę.

– Jak to wytrzymałeś? Wtedy, gdy o wszystkim się dowiedziałeś. I potem, gdy całymi latami musiałeś znosić moją obecność w swoim życiu? – spytał.

Stale skakałem mu do oczu. Na każdym kroku go krytykowałem, o wszystko się wyklócaliśmy, ale to ja go prowokowałem. A on to jakoś znosił. Jak sobie dawał z tym radę? I w ogóle w imię czego to znosił? Oskar czuł, że gdyby to on znalazł się na miejscu starego, nie sprostałby podobnej sytuacji.

– Staralem się o tym nie myśleć, w każdym razie niezbyt często. W końcu chyba mi się udało – odparł po dłuższej chwili Jan. W tym momencie wydawał się dużo starszy niż w rzeczywistości.

– Tak... po prostu?

– Tak po prostu.

Przez dłuższy czas szli w milczeniu, które wreszcie przerwał starszy Reczyński.

– Wtedy, po tamtej awanturze z Wandą, twoja matka powiedziała mi... To znaczy... – Zatrzymał się, postawił kołnierz płaszcza. – Coś tam nawet mamrotała, że jest gotowa odejść, ale nie zgodziłem się, aby zabrała ze sobą dzieci.

– Na pewno chodziło ci tylko o Weronikę – uściślił Oskar, ale stary natychmiast zaoponował. W dodatku gniewnie i ze zniecierpliwieniem.

– Powiedziałem przecież wyraźnie: dzieci. Chodziło mi o was oboje. Nie mogłem pozwolić, aby was zabrała. Nie chciałem o tym słyszeć. Spytała, czy wobec tego pozwalam jej zostać. „Oczywiście – odparłem – dzieci potrzebują matki. Jaka by tam ona nie była. A ten dom potrzebuje gospodyni”. Zaproponowała, żebyśmy przy okazji porozmawiali o nas, bo może to wszystko by się nie stało, gdybyśmy... Ale nie dałem jej dokończyć. Byłem wściekły, że jeszcze do tego wszystkiego chciała mnie wziąć na te babskie fanaberie. Oświadczyłem, że nie chcę słyszeć żadnych tłumaczeń, zwierzeń i tego typu dyrdymałów. To dobre we łzawych romansidłach, na pewno nie w życiu. Co się stało, już się nie odstanie, ale więcej ani słowa o tym. Będziemy dalej nieść chomąto zwane naszym małżeństwem, ale to wszystko. Na nic więcej nie mogła już z mojej strony liczyć. Tak jak nigdy więcej nie zgodziłem się na żadną rozmowę o tym, co się stało.

– Mimo to... – zawahał się Oskar. Wyznanie ojca jakby odjęło mu siły.

– Nie ma i nie mogło być żadnego „mimo to”. – Jan Reczyński w tym momencie był znowu sobą. Energicznym twardzielem, przekonany o własnej racji. Patrząc na niego, Oskar z trudem porównywał go z wrażliwym „intelektualistą”, o którym wspominały zarówno matka, jak i ciotka Wanda w swoim pamiętniku. Kiedy tak bardzo się zmienił? Wreszcie odpowiedź na to pytanie stała się oczywista.

– Ty i twoja siostra byliście najważniejszym, decydującym powodem, dla którego nie doszło do rozwodu – kontynuował stary – ale to nie znaczy, że nie było też innych. Mieliśmy przecież wspólny dom, oboje prowadziliśmy praktykę weterynaryjną, pod względem materialnym zdołaliśmy jakoś stanąć na nogi, choć przecież po wojnie zaczynaliśmy prawie od zera. Potem założyłem szklarnię. Dorobiłem się jakiejś pozycji, liczono się ze mną w całym powiecie. Rozwód by to wszystko skomplikował, może nawet zniszczył. Nie żyjemy przecież w bogatej Ameryce. U nas rozwód oznacza, że wszystko trzeba zacząć od nowa w każdym tego słowa rozumieniu. Ale jeszcze raz powtarzam, że najważniejszym argumentem, by to dalej ciągnąć, były dzieci. – Ponownie głos mu drgnął. – Bez was to wszystko nie miałoby żadnego sensu. I dlatego teraz nie możecie się od nas odwrócić. Nie wolno wam. Jesteście nam to winni. Wiem, że macie prawo do własnego życia, ale święta...

Zniecierpliwionym, gniewnym ruchem otarł oczy. Tym razem Oskar położył dłoń na jego ramieniu i spojrzał mu z powagą prosto w oczy.

– Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas znaczyłem dla ciebie tyle samo, co Weronika?

– Przecież, do cholery, cały czas próbuję ci to wytłumaczyć – zaperzył się stary. Znowu zachowywał się tak, jak za każdym razem, gdy się o coś spierali. Lecz, paradoksalnie, to właśnie sprawiło Oskarowi ulgę. – Uważam się za twojego ojca, czy ci się to podoba, czy nie – kontynuował gniewnie Reczyński. – Byłem obecny przy twoich narodzinach, to ja nauczyłem cię pływać i jeździć na rowerze. I nie chwaląc się, także dzięki mnie, jeszcze zanim zapisałeś się na kurs prawa jazdy, umiałeś już jeździć samochodem, potrafiłeś go naprawić. Chyba to pamiętasz? Bo ja pamiętam, jak pomagałeś mi w szklarni, na działce, w obejściu. Bez ciebie nie dałbym sobie rady. Nie wspominając już o tym, że zawsze czekałem, aż

przyjedziesz, bym mógł z kimś pogadać o naprawdę interesujących mnie sprawach. A nawet sensownie się pokłócić.

– I naprawdę udawało ci się w tych wszystkich sytuacjach, przez cały ten czas nie myśleć o tamtym facecie? – Oskar pokręcił głową. – Wierzę, że próbowałeś, ale jednak nie wyszło. I pewnie dlatego nie umieliśmy się dogadać. Teraz przynajmniej potrafię cię zrozumieć.

– Nadal tego nie potrafisz – westchnął Jan. – I przypomnę, że to ty zawsze zaczynałeś nasze słowne szermierki. Nigdy ja.

Z tym ostatnim trudno się było nie zgodzić, Oskar nawet nie próbował zaprzeczać. Zerknąwszy na idącego obok człowieka, nie miał wątpliwości, że zawsze będzie go nazywał ojcem. Że zawsze tak będzie o nim myślał. Nic i nikt już tego nie zmieni. Zarazem jednak zawsze będzie pamiętał o zmarłym leżącym pod starą, zniszczoną płytą. I pewnie za jakiś czas ponownie go odwiedzi, a kto wie, czy pewnego pięknego dnia nie zdecyduje się jednak na odnowienie jego nagrobka. Ta myśl sprawiła, że niemal zaśmiał się w duchu. A potem przyszło mu do głowy, że nie ma sensu omijać tego tematu. Jan Reczyński nie chciał rozmawiać o swoim dawnym kumplu z siostrą ani – tym bardziej – z żoną, a także z córką. Dla niego jednak zrobił wyjątek. Przecież po to właśnie dziś do niego przyjechał. Czekał pod pracą, „śledził” przez pół Warszawy. Przyszedł na cmentarz. Nie zrobiłby tego, gdyby chodziło jedynie o przekonanie go do przyjazdu na święta.

I to właśnie on jako pierwszy zaczął mówić o Mikołajskim. Wspomniał, że Oskar pod pewnymi względami przypomina mu tamtego. Przecież nie dokonał tego odkrycia dzisiaj. Musiał to widzieć od dawna. Musiało to od dawna w nim siedzieć. A teraz chciał wreszcie to z siebie wyrzucić. Pogadać o tamtych sprawach z człowiekiem, którego zawsze uważał za swojego syna.

– Myślisz, że te wszystkie oskarżenia... – zawahał się Oskar. – Te pogłoski, jakoby uwikłał się w jakąś formę współpracy z Niemcami, że coś jednak mogło być na rzeczy?

Ojciec rzucił mu spojrzenie z ukosa i wzruszył ramionami.

– Jego kuzynka nigdy w to nie uwierzyła – odparł sucho. – Podobnie Wanda.

I matka, dodał w myślach Oskar, lecz zachował te uwagę dla siebie.

– A... ty?

– Ja? – Reczyński zatrzymał się i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Przez chwilę szukał zapalniczki, a gdy syn wyjął swoją, w milczeniu skorzystał z jego pomocy. Zaciągnął się i zapatrzył w coraz bardziej mroczne niebo. – Ja także w to nie wierzyłem. Niezależnie od tego, jakiego bałaganu narobił w moim, i nie tylko w moim, życiu, do tych wszystkich pogłosek, jakoby był kolaborantem i szpiclem, podchodziłem z bardzo dużym sceptycyzmem. Zawsze uważałem, że cała jego wina polegała na tym, że za dużo gadał. Kłapał dziobem nawet wtedy, gdy zdrowy rozum kazał się zamknąć. To, co mówił, prawie nikomu się nie podobało, wielu za to przerażało. Pozbawiało nadziei, a ludzie tego nie lubią. Wtedy chcieli wierzyć, że wszystko dobrze się skończy, bo Wielka Koalicja nie pozwoli nas skrzywdzić. – Zamyślił się, wciąż nie odrywając wzroku od przesuwających się chmur. W jego spojrzeniu była przeszłość, wspomnienie dawno minionej młodości. I mimo wszystko... wzruszenie. – Tak naprawdę mało kto go rozumiał. Do tego za bardzo się rzucał w oczy. Wszędzie go było pełno. Niby pomagał wujowi w sklepie i knajpie, a zawsze na wszystko miał czas. Albo konspirował, albo kombinował. Wiecznie w rozjazdach, na przykład po wałówkę na wieś. W czasach, gdy wielu ludzi przymierało głodem, jego spiżarnia zawsze była pełna. Był bardzo zaradny, a po tym, jak udało mu się wydostać z Pawiaka, każdy był

pevien, że nie ma takiej przeszkody, której by nie pokonał. Niby wiedzieliśmy, że wykupili go wujowie, ale po cichu wielu snuło inne przypuszczenia. Na przykład, że poradził sobie bez pomocy krewnych, bo miał własną kasę. Albo że jakoś zdołał wykiwać Niemców. Z drugiej jednak strony nie brakowało takich, którzy podejrzewali, że sprawa miała drugie dno. Że Stach zobowiązał się do współpracy, do kablowania. Ostrzegałem go, żeby przynajmniej przez pewien czas wtopił się w tłum i siedział cicho. Rosjanie mają takie dobre przysłowie: ciszej jedziesz, dalej zajedziesz. Ale ten wariat nic sobie z tego nie robił. Nadal żył tak, jakby był królem miasta. Śmiał się z podejrzeń. Nie umiał usiedzieć na dupie. I dlatego chciałem, aby przynajmniej od nas trzymał się z daleka. Ale nawet na to nie mogłem z jego strony liczyć. – Spochmurniał. Przestał patrzeć w niebo. Z nagłą złością wyrzucił niedopalonego papierosa i rozgniół go obcasem na płycie chodnikowej.

Oskar był niemal pewien, że nie usłyszy już nic więcej na ten temat, jednak się mylił.

– Nie brakowało takich, którzy go nie znosili, których drażnił, wzbudzał w nich zawiść. Za dobrze sobie radził. Z Niemcami, z biedą... Z kobietami. – Ruszył z miejsca i tym razem to Oskar z trudem za nim nadązał. – Niby twierdził, że po wyjściu z Pawiaka rozluźnił dawne kontakty, niektóre nawet zerwał. A nawet dowodził, że metody działania organizacji konspiracyjnych są błędne, bo wbrew zamierzeniom nie są w stanie osłabić wroga, za to ściągają na nas jego odwet. W praktyce jednak od czasu do czasu kręcił się przy starych kumplach. Twierdził, jakoby na niektórych z nich natknął się tu i ówdzie przez przypadek. Miał widać wyjątkowego nosa do takich zbiegów okoliczności, bo i na Wandę także ponoć natknął się przez przypadek. Tyle że gdy potem niektórzy z tych kumpli wpadli w ręce gestapo, Staszek okazał się kandydatem numer jeden

do roli oskarżonego. Nie słyszałem, aby istniały jakieś twarde dowody jego winy. Może jakieś poszlaki, ale z ich wiarygodnością, jak wiesz, na ogół bywa różnie. A w tamtych czasach nie zawsze należycie je weryfikowano. Zresztą wolałem tego nie dochodzić. Ani w czasie okupacji, ani po wojnie. I bez tego nie brakowało mi innych kłopotów i zmartwień. Nie, ja także nigdy nie uwierzyłem w jego winę. Ale to przecież bez znaczenia. Bo ta sprawa zniszczyła nie tylko jego, lecz całą naszą rodzinę.

– Tak – przyznał cicho Oskar. Nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

Jak się jednak okazało, Jan Reczyński nie zamierzał jeszcze porzucać tego tematu.

– Zapytałeś, czy patrząc na ciebie, czasem nie wspominałem starego kumpla. Oczywiście, nie ukrywam, widziałem podobieństwo między wami. Stach też był taki porywczy. Taki niezależny, taki... zawsze pod prąd. Gdyby nawet udało mu się przetrwać wojnę, i tak najpewniej skończyłby w ubeckich kazamatach. Biorąc pod uwagę jego poglądy i sposób, w jaki je wyrażał, nie mogło być inaczej. Nie poszedłby na żaden kompromis z nową władzą. I z pewnością nie pochwaliby moich powojennych wyborów. Tak czy inaczej, nasze drogi pewnie by się rozeszły. – Zerknął na idącego obok Oskara. – Ty także nie pochwalałeś moich decyzji. Mojego konformizmu, jak to czasem nazywałeś. Chciałeś być moim politycznym sumieniem. Niepotrzebnie, sam wiedziałem, ile kosztował mnie ten konformizm. – Zaśmiał się, tym razem z goryczą. – Nawet się nie domyślasz, ile razy miałem wszystkiego dość! Ile razy marzyłem, aby to wszystko rzucić w cholerę! Ale nie w każdym przypadku jest to takie proste. Twoja matka też nieraz o tym marzyła. Nie musiała mi mówić, sam widziałem. Wbrew pozorom wcale nie byłem takim bezdusznym, drętym kołkiem, za którego zawsze mnie miałeś.

Tym razem Oskar położył mu dłoń na ramieniu, zmuszając go, aby się zatrzymał. Przez dobrych kilka minut mierzyli się uważnymi spojrzeniami.

– A więc upierasz się, abym z okazji nadchodzącej Gwiazdki zasilł rodzinne grono?

– Tak. – Stary skinął głową. – Nie wyobrażamy sobie, że mogłoby cię zabraknąć. Proszę cię... synu.

Na jego twarzy malowała się teraz nie tylko prośba, lecz także ogromne zmęczenie. Nic dziwnego, pomyślał z ponownym wzruszeniem Oskar. Ojciec miał za sobą długi, bez wątpienia męczący dzień. Godziny oczekiwania, gonitwa, teraz rozmowa, wyznanie i ten szybki marsz, który wywołałby zadyszkę u znacznie młodszego człowieka. I napięcie, które towarzyszyło mu nie tylko dziś, ale przez wiele minionych lat. Wreszcie wyjątkowo koszmarna pogoda, ziąb, który przenikał na wskroś, odczuwalny zwłaszcza w tym momencie, gdy ponownie zaczął wiać silniejszy wiatr.

W dodatku obaj zaczęli już zwracać na siebie uwagę przechodniów, mijający ich ludzie przypatrywali im się znacząco i temu również trudno było się dziwić. Wyglądamy jak dwóch ululanych kumpli, z których jeden pomaga utrzymać się na nogach drugiemu, skonstatował Oskar. Przy czym spostrzeżenie to nie tyle go ubawiło – choć to także – co przede wszystkim nasunęło pewien pomysł.

– Wstąpimy gdzieś na jednego? – zapytał. – Dobrze by nam to zrobiło. Co ty na to?

Stary patrzył na niego bez słowa. Wreszcie zrobił taką minę, jakby nagle dokonał zaskakującego odkrycia.

– A tego chyba jeszcze razem nie robiliśmy – stwierdził półzartem, lecz w połowie jak najbardziej serio.

– Także sobie nie przypominam – roześmiał się Oskar. – No to ruszajmy. Pokombinujmy. Gdzieś tu musi być jakaś sensowna spelunka.

– On też tak czasem mówił – westchnął Jan, ale zaraz pożałował, że się z tym wyrwał.

Tak w każdym razie uznał Oskar, gdy popatrzył na jego zakłopotaną minę.

– Wiesz, dopiero dzisiaj odkryłem, jak cholernie mało o tobie wiedziałem. – Starał się mówić spokojnie, głos mu jednak drgnął.

Starszy pan poklepał go życzliwie po plecach, jego spojrzenie było przyjazne, ciepłe. Zarazem jednak pełne powagi.

– A ja o tobie... wszystko. A przynajmniej bardzo wiele – odparł.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Karta redakcyjna

Aż po horyzont. Tom II

Wydanie pierwsze

ISBN: 978-83-8219-390-9

© Agnieszka Janiszewska i Wydawnictwo Novae Res 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Cyrulik Wioletta

Korekta: Emilia Kapłan

Okładka: Izabela Surdykowska-Jurek



NOVAE RES

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek